*Andrzej Butra*

## Z wizytą w siedzibie Eduarda Meiera

(Korespondencja własna ze Szwajcarii)

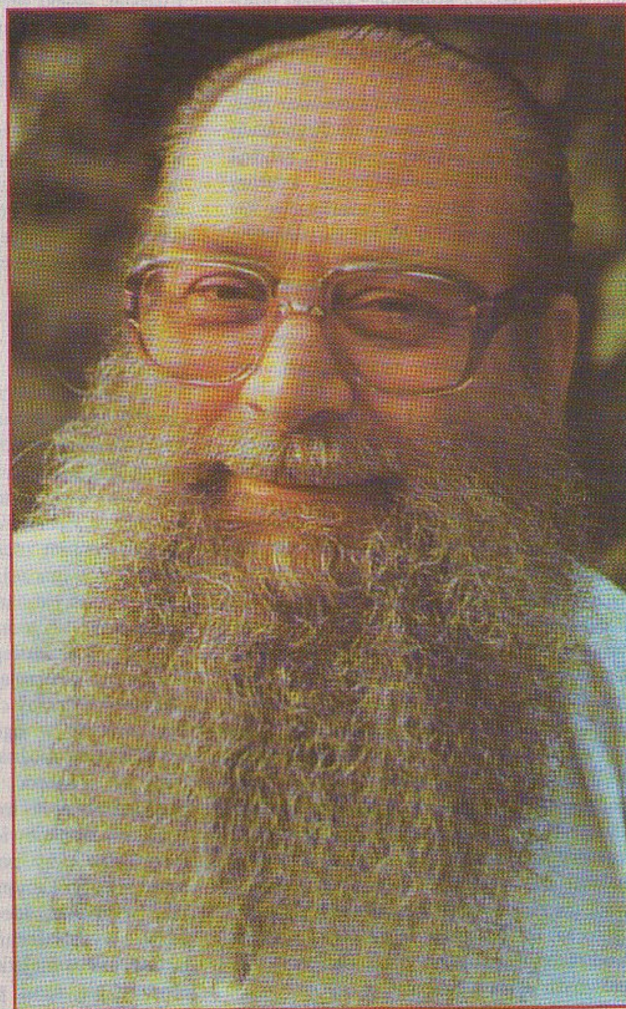
**W zasadzie nie rozmawia z gośćmi i z rzadka tylko pokazuje się publicznie. Wygląda na człowieka zmęczonego, o słabej kondycji fizycznej, lecz bardzo pogodnego.**

Ponad dwadzieścia lat temu Szwajcar Eduard „Billy" Meier przedstawił światu pierwsze ze swoich fotografii, ukazujące niezidentyfikowane obiekty latające (UFO). Ich jakość i ilość (w sumie ponad tysiąc zdjęć) przewyższyła wszystko, co do tej pory widziano. Wzbudziły one wśród ufologów ogromne zainteresowanie, ale i liczne kontrowersje. Jedni uznali Meiera za fałszerza, inni twierdzili, że coś w tym jednak musi być. Eduard Meier nakręcił także ujęcia domniemanych statków powietrznych Plejadan 8-milimetrową kamerą filmową; nagrał również dźwięk wydawany przez jeden z nich. Wszystko to było przedmiotem licznych publikacji prasowych i książkowych z najciekawszą, jak się wydaje, spośród nich na czele: *„Latami Świetlnymi"* Gary Kindera (niestety, jej polski nakład został już dawno wyczerpany).

Wszelako Meier miał do przekazania innym coś jeszcze - co on sam uważał za bardziej istotne niż zdjęcia. Miały to być, otrzymane od Plejadan - przybyszów z kosmosu, nauki duchowe, służące ludzkości w jej rozwoju. Żądne sensacji gazety nie zwracały jednak większej uwagi na ten aspekt sprawy i koncentrowały się głównie na zdjęciach.

W 1978 r. Meier założył FIGU (nieoficjalnie organizacja ta działa od 1975 roku). Skrót ten pochodzi od *Freie Interessengemeinschaft für Grenz- und Geisteswissenschaften und Ufologiestudien* i oznacza Niezależne Stowarzyszenie do spraw Nauk Pogranicza, Wiedzy Duchowej oraz Studiów Ufologicznych (tłumaczenie za książką Guido Moosbrugera „UFO z Plejad", którą na język polski przełożyła Halina Ostapczuk). Jaki jest cel działalności FIGU? I jak wygląda ta historia po 20 latach?

Aby się o tym przekonać, do szwajcarskiego Hinterschmidrüti pojechał współpracujący z nami krakowski autor **Andrzej Butra**, którego wyposażyliśmy w specjalne pismo z redakcji „Nieznanego Świata". Miało ono pomóc w otwarciu niektórych zamkniętych dla przeciętnego śmiertelnika drzwi. A oto plon tej relacji. („NŚ")



*Eduard Meier. Zdjęcie z książki Guido Moosbrugera „UFO z Plejad" wydanej w Polsce w 1994 r. przez Agencję „NOLPRESS".*

Do Hinterschmidrüti w Szwajcarii przyjechałem po południu w niedzielę. Jest ona dniem - nazwijmy to tak - otwartych drzwi, kiedy członkowie stowarzyszenia FIGU są do dyspozycji gości. Oprowadzali mnie najpierw **Philia Stauber** i **Christian Frehner**, a następnego dnia przewodniczką była pochodząca z Pomorza pani **Brunhilde Koye**.

Wybierając się do Szwajcarii założyłem, że nie ma przy tej okazji sensu wnikać w spory dotyczące osoby Eduarda Meiera, gdyż cała sprawa z upływem lat została tak zagmatwana, że można określić ją mianem swoistego *pata*. Niemniej nie sposób przynajmniej skrótowo ustosunkować się tu do dwóch publikacji odnoszących się do całej tej historii. Uważam bowiem, że, niezależnie od tego czy ktoś wierzy lub nie w „sprawę Meiera", w jego przypadku **mamy do czynienia z jednym z najciekawszych umysłów naszych czasów**. I to niezależnie od zajmowanego stanowiska. W takiej sytuacji krytyka jednego z czołowych polskich ufologów (zob. książkę Zbigniewa Blani-Bolnara *„Zdarzenie w Emilcinie"*) jest zbyt uproszczona i wymagała

# Bez odpowiedzi

raczej sięgnięcia do więcej niż jednego źródła, a także wykazania większej rzeczowości niż przyklejanie z góry przesądzających sprawę etykietek w stylu *„Meier - oszust"*. M.in. dlatego, że jak twierdzą członkowie FIGU, Meier miał i ma sporą liczbę wrogów, którzy **często czuli się zagrożeni z racji tego co głosił**. W rezultacie kradziono mu zdjęcia, a następnie podrabiano je, „wstawiając" np. nitki w celu ośmieszenia lub dyskredytowania. Jak wiadomo - próbowano go również zabić.

Sama analiza komputerowa - o czym nie wszyscy wiedzą - powodowała zniekształcenia obrazu, stwarzające niekiedy wrażenie, że statek-model wisi na kilku nitkach. O wiele ciekawszą ocenę wspomnianych zdjęć można znaleźć w numerze 3 *„Wizji Peryferyjnych"* z ub.r. Dokonano tam analizy fotografii z książek Kindera i Moosbrugera wydanych w Polsce.

Z braku specjalistycznego wykształcenia nie czuję się na siłach polemizować z opiniami fachowców. Moja wiedza w tej dziedzinie ogranicza się jedynie do naciskania migawki aparatu z *auto-focusem*, choć dla mnie, jako laika, kwestia tła czy zniekształceń wydaje się być względna. Co się natomiast tyczy sławnej *sceny słonecznej*, należy przypomnieć, że zdjęcie to było „wyostrzane" za pomocą obróbki komputerowej. Sądzę, że to samo dotyczy serii zdjęć widniejących na plakacie FIGU, który posiadam. Te, które znajdują się w albumach Meiera, są zdecydowanie mniej wyraźne. Notabene Meier i Moosbruger twierdzą, że zdjęcia przedstawione w książce oraz w albumie nie były modyfikowane komputerowo, a ich jakość jest taka sama (fax. z 22 listopada 1996 r.).

Korzystając z uprzejmości szefa STUDIA S-5 Radia Kraków S.A. **Konrada Myślika**, miałem okazję porozmawiać z fachowcami od obróbki dźwięku na temat posiadanej przeze mnie taśmy Meiera, nagranej przez niego 18 lipca 1980 roku. Taśma ma zawierać zarejestrowany dźwięk wydawany przez jeden ze statków Plejadan. Jak wykazali po jej przesłuchaniu panowie **Marek Skrzypczak** (inżynier dźwięku i samego studia), **Aleksander Wilk** (realizator dźwięku) i **Bartłomiej Gliniak** (kompozytor, pianista i realizator) stworzenie podobnego materiału dźwiękowego jest obecnie całkowicie możliwe, jak również było możliwe przed szesnastu laty. **Wniosek ten wcale jednak nie oznacza, że kaseta jest fałszerstwem.** Owszem m o ż e nim być, ale n i e m u s i. Cytowana opinia świadczy jedynie o możliwościach współczesnej techniki. Sam materiał dźwiękowy wymaga natomiast dalszej analizy.

Generalnie zaś trudno oprzeć się wrażeniu, że wszystko to jest bardziej złożone, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Ja także przebywając w Szwajcarii dotknąłem jedynie czubka góry lodowej... Każde pytanie bowiem pociąga za sobą serię dalszych, zaś analizując przypadek Meiera należy odrzucić wszystko, w co się wierzy, i **podejść do sprawy bez żadnych uprzedzeń światopoglądowych**. Dlatego muszę podziękować członkom FIGU za udzieloną mi na miejscu pomoc i cierpliwe wyjaśnianie różnych zagadnień.

## Album nieomal rodzinny z pozaziemskim rodowodem

Ze Schmidrüti do Hinterschmidrüti, gdzie mieści się FIGU, prowadzi wąska, żwirowa dróżka (jest to tylko kilkaset metrów). Przybysza wita przymocowana do głazu **odlana z brązu tarcza**. Widnieje na niej wizerunek statku Plejadan i napis: FIGU SEMJASE-SILVER-STAR-CENTER, 1978.

Uderza niezwykłe piękno przyrody tego zakątka. Roślinność jest tu bardzo zróżnicowana, a każdy krzak starannie wypielęgnowany.

Idąc dalej dróżką po lewej, mija się ogród warzywny, a po prawej - stromy stok pokryty bujną roślinnością. Za ogrodem można dostrzec wzniesiony przez członków FIGU rodzaj pomnika, stanowiącego podziękowanie dla Meiera. Obok znajduje się maszt z flagą centrum. Potem trafiamy na domek zajmowany przez przebywających w centrum członków FIGU. Mijamy sadzawkę i mnóstwo figurek krasnoludków, tak charakterystycznych dla niemieckiego obszaru językowego. Później dochodzi się do altanki, gdzie członkowie rozmawiają z gośćmi odpowiadając na ich pytania, a następnie przechodzi obok parkingu i ogromnej klatki z ptakami, przed którą stoją, a jakże, figurki skrzatów, Wenus, łabędzia itp. Wszystko skąpane jest w soczystej zieleni i przepięknych kwiatach, a wokół panuje iście szwajcarska czystość i porządek.

Nieco dalej wznosi się właściwa siedziba FIGU wraz z biurem i mieszkaniem rodziny Meierów. Nie widać tu bogactwa tak chętnie opisywanego przez Billy'ego. Przykładem typowo szwajcarskiej oszczędności jest zabudowana wewnątrz tego budynku przyczepa kempingowa. Służy ona jako zaciszne miejsce do prowadzenia rozmów z gośćmi w zimne, wietrzne dni. Miałem okazję przebywać w niej nazajutrz wieczorem, gdy temperatura spadła poniżej przyzwoitego, jak na tę porę roku, poziomu.



*Wykonany przez członków FIGU pomnik-podziękowanie dla Meiera.*

Czas przejść do tego, co usłyszałem i zobaczyłem w ciągu dwóch dni.

Jak prawie każdy przybywający, chciałem oczywiście przede wszystkim ujrzeć sławne, kontrowersyjne zdjęcia Eduarda Meiera. Wszystkie one - a raczej to, co z ich początkowej liczby pozostało - zebrane zostały w czterech albumach i jest ich obecnie około 400. Jak mnie poinformował **Christian Frehner** - większość została skradziona przez różnych „przyjaciół", a niektóre były następnie fałszowane i wykorzystywane do oczerniania Billy'ego. **Te, które pozostały, robią spore wrażenie.** Szczególnie ich ilość. Rzecz jasna, najbardziej zainteresowały mnie fotografie z okresu młodych lat Meiera, w tym jedna - zrobiona w Ashramie Ashoka w Mehrauli w Indiach. Te dwa zdjęcia są czarno-białe i widać, że pożółkły ze starości.

Po raz kolejny pojawia się pytanie, czy jeden człowiek byłby w stanie sfałszować taką ogromną ilość zdjęć? Muszę przyznać, że patrząc na kolejne ujęcia UFO poczułem pewne znużenie i przesyt. Oto NOL w pozycji nad drzewami, nad domem, jeszcze gdzie indziej... Wygląda to prawie jak oglądanie rodzinnego albumu. A przecież mają to być pojazdy pozaziemskiej cywilizacji.

na str. 36

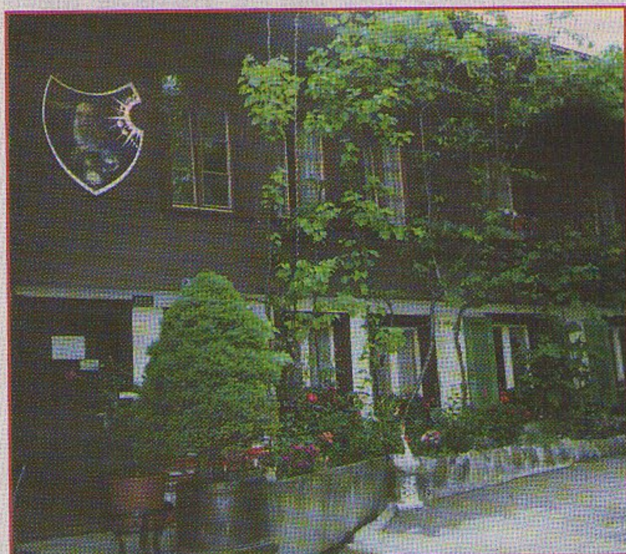
ze str. 35

Prezentacja tak obfitego materiału zdjęciowego - jak mi powiedziano - ma zainteresować ludzi tym, co się za konkretnym zjawiskiem kryje. Chodzi mianowicie o przekaz duchowy.

Następnie przeszliśmy do rozmowy na temat samego FIGU. Siedziba tej organizacji zajmuje obszar 14 hektarów i stanowi własność wspólnoty-stowarzyszenia. Meier i jego rodzina mają tu prawo dożywotniego zamieszkiwania, sama posiadłość natomiast nie stanowi jego własności.

## Szwajcarski łącznik

Czym jest FIGU? Jest - jak wyjaśniono - stowarzyszeniem skupiającym ludzi o podobnych poglądach, pochodzących z różnych państw, którzy **poszukują w swoim życiu prawdy i starają się żyć według praw Kreacji.** Przyłączyli się oni do wspólnoty na zasadzie pełnej dobrowolności, aby zyskać wiedzę



*Centrum FIGU oraz dom rodziny Meierów.*

i mądrość, a następnie przekazać ją innym na Ziemi. Ponadto FIGU ma inne zadania, takie jak walka z przeludnieniem planety, karą śmierci czy niszczeniem środowiska naturalnego. Członkostwo dzieli się na aktywne i bierne, przy czym członkiem organizacji może zostać każda osoba, która ukończyła 18 rok życia.

Podstawowym zadaniem FIGU jest szerzenie wiedzy przekazanej przez Eduarda Meiera, który otrzymał ją od mieszkańców Plejad oraz z tzw. sfer duchowych. Plejadanie, mając wspólnych z nami przodków, czują się w obowiązku pomagać ludzkości poprzez szerzenie nauki i prawdy, gdyż w zamierzchłej przeszłości naszej planety ich przodkowie, mówiąc delikatnie, nieco tutaj nabroili. Wszystko to ma stworzyć ludzkości szansę duchowego rozwoju po tysiącach lat stagnacji.

Czy ludzie z tych nauk skorzystają, to już inna sprawa. Będąc jedyną osobą na Ziemi, mającą w ostatnich latach **świadome kontakty** z wyżej rozwiniętymi cywilizacjami, Meier jest **pośrednikiem** między Obcymi a ziemianami. FIGU służy zaś nauczaniu, nie wtrącając się w prywatne życie członków stowarzyszenia.

Jak już wspomniałem, najważniejszym celem jest właśnie szerzenie nauk duchowych, przede wszystkim w formie licznych publikacji. Wszyscy członkowie grupy głównej pracują na miejscu, godząc przyjęte przez siebie obowiązki w FIGU z życiem zawodowym. Koszty publikacji pokrywają z własnej kieszeni. Przestrzegają rygorystycznie wewnętrznego regulaminu i podziału obowiązków. Nauki i nauczanie połączone są z pracą fizyczną, taką jak chociażby oporządzanie inwentarza lub przygotowywanie obiadów. Ośrodek funkcjonuje niezwykle sprawnie. Warto dodać, że FIGU prowadzi indywidualną akcję wspomagania grupy osób na Litwie, Syberii i w Moskwie, przesyłając im ubrania i żywność.

Meier z reguły nie rozmawia z gośćmi, funkcję tę spełniają członkowie grupy. Niemniej widziałem go kilkakrotnie z daleka, zaś drugiego dnia wymieniliśmy pozdrowienia. Wyglądał na człowieka zmęczonego, o słabej kondycji fizycznej, lecz bardzo pogodnego.

Co się tyczy samych kontaktów Eduarda Meiera, zostały one przerwane w 1995 roku, gdy Plejadanie zakończyli swą, trwającą wiele lat, misję. Przekazali znaną im wiedzę duchową, pozostawiając sprawę jej wykorzystania samym ludziom. Kontakty Meiera kontynuowane są odtąd jedynie w formie czysto prywatnej.

Osoby zainteresowane UFO powinny zdawać sobie sprawę, że nasz układ słoneczny nie jest szczególnie interesujący dla innych ras czy też cywilizacji. Niebo nad Ziemią nie jest, jak chcieliby widzieć to niektórzy ufolodzy, zapełnione setkami statków kosmicznych. Według Billy'ego (czytaj: Plejadan) odwiedziny mają miejsce 2 do 3 razy w ciągu miesiąca, przy czym nie wszystkie obserwowane dyski są pochodzenia pozaziemskiego! Niektóre wywodzą się jak najbardziej z naszej planety. Reszta - to chora wyobraźnia ludzi i żądza pieniędzy.

W pewnym momencie pobytu w Hinterschmidrüti funkcję mojego przewodnika przejęła Phylia Stauber, z którą prowadziłem korespondencję jeszcze przed wyprawą do Szwajcarii. Zastąpiła ona na jakiś czas Christiana Frehnera. Porozmawialiśmy wówczas o różnych sprawach, między innymi o filmie z Roswell. Według Billy'ego film nie prezentuje kosmity, lecz ziemską dziewczynkę dotkniętą chorobą genetyczną.

## W co wierzyć?

Z Christianem Frehnerem umówiłem się na kolejne spotkanie o 16:30. Gdy po godzinie wracałem ścieżką, już na mnie czekał. To, co od niego usłyszałem, chciałbym połączyć z relacją z rozmowy z **Brunhilde Koye** w dniu następnym. Oto ta kwintesencja:

Każdy człowiek jest odpowiedzialny za swoje myśli i czyny. I nikt nie może tej odpowiedzialności z nas zdjąć; żadna osoba, żaden autorytet świecki czy religijny. **Człowiek sam musi**




*Tablica z napisem: FIGU SEMJASE-SILVER-STAR-CENTER, 1978.*

**podjąć decyzję, w co wierzy.** Musi analizować wiedzę zbieraną w ciągu życia; odrzucić to, co jest fałszywe i kłamliwe. Sam musi ułożyć tę skomplikowaną układankę. Każdy ma swoją indywidualną ścieżkę i nikt go nie poprowadzi za rękę. Są jednak pewne rzeczy, o których każdy powinien wiedzieć.



*Słynne drzewo Semjase, nazwane imieniem kobiety ze statku Plejadan, która miała kontakty z Meierem. Widoczna na nim zarastająca dziś już dziura - to ślad po przestrzeleniu drzewa pistoletem laserowym należącym do Semjase.*

Przeciętny mieszkaniec Ziemi może dożyć stu lat, jeśli oczywiście nie dotkną go choroby wynikające ze sposobu życia, zanieczyszczenia środowiska itd. Wraz ze śmiercią ciała fizycznego istnienie nasze się nie kończy. Dusza opuszcza ciało fizyczne i przenosi się w *zaświaty*. Ma tu czas na przemyślenie i ocenę swojego życia. Ponieważ cykl ten powtarza się, mamy do czynienia z reinkarnacją. Nie jest to jednak bynajmniej reinkarnacja typu wschodniego, gdzie człowiek może przemienić się w... zwierzę. Człowiek będzie człowiekiem, zaś zwierzę pozostanie zwierzęciem.

Nadmierny przyrost naturalny powoduje zachwianie cyklu reinkarnacyjnego. Dusza wraca wówczas na Ziemię zanim zdąży przeanalizować swe czyny. Ma to negatywny wpływ i tacy ludzie nie mogą dostosować się do realiów świata. Również *Kreacja*, czyli czysta energia Wszechświata, wytwarza nowe skupiska dusz. Startujemy więc na Ziemi z różnych poziomów. Są dusze „starsze" i „nowsze". Nie oznacza to, że starsi duchowo muszą posiadać o wiele większą wiedzę od nowicjuszy.

Ziemia, jak każda zamieszkała planeta, otoczona jest płaszczem będącym bankiem danych. Jest to tzw. Kronika Akaszy. Zawiera ona wszelką wiedzę, dane o życiu na Ziemi zebrane od początku istnienia naszej planety.

Jak wygląda powrót STAMTĄD? Dwudziestego pierwszego dnia po zapłodnieniu następuje wejście duszy oraz bloku pamięci zbiorowej do *embrionu*. Mimo że dusza i blok funkcjonowały w poprzednim życiu razem, nie jest to odrodzenie tej samej osobowości. Poprzez impulsy z poziomu duchowego duszy oraz wiedzy z poprzednich wcieleń zostaje stworzona całkowicie nowa osobowość. Jest to nowy człowiek, nie powiązany z czynami ani osobowością poprzednich świadomości materialnych.

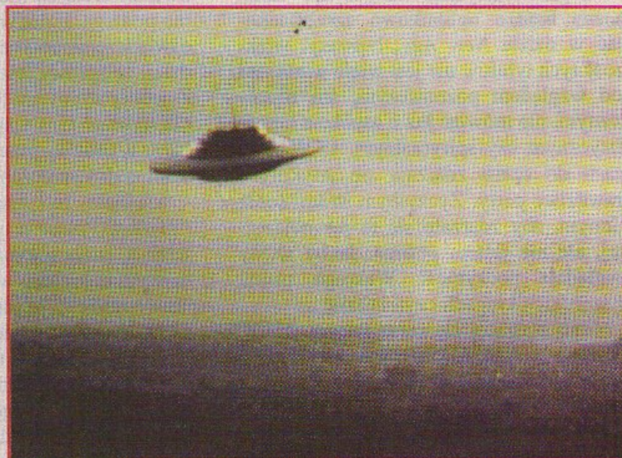
Należy zwrócić uwagę, że wcześniejsze przerwanie naturalnego cyklu przez wypadek lub samobójstwo nie powoduje rozwiązania problemów danej osoby. Powrócą one w przyszłym życiu i trzeba będzie znów stawić im czoła. Samobójstwo nie jest żadnym wyjściem.

Jak wygląda sprawa ewolucji człowieka na Ziemi? Na danej planecie powstaje życie, które stopniowo ewoluuje od form prymitywnych do coraz bardziej złożonych. Owocem tych przemian jest człowiek. Nie pochodzi on od małp, gdyż jest to zupełnie odrębna gałąź ewolucji. Ludzka materialna forma również z czasem się zmienia. Po 60-80 miliardach lat (nie wystarczy tu życie na jednej planecie) osiągnie on postać, która nie będzie całkowicie materialna. Dalsza ewolucja prowadzi do czysto duchowych form bytu poziomu Arahat Athersata. Jest to *pierwszy poziom czysto duchowy*, ostatni zwie się Petale. Ostateczny krok to połączenie się z *Kreacją*, a więc punktem wyjścia...

Być może czytelników zainteresują publikacje FIGU. Nie będę ukrywał, że - jak na polskie warunki - są to pozycje drogie. Ceny wynikają z niskiego nakładu i druku w najbogatszym państwie Europy. Większość, ze zrozumiałych względów, wydawana jest w języku niemieckim. Istnieją też tłumaczenia na język angielski. A jest tego wszystkiego dużo: książki, biuletyny informacyjne, zeszyty itd.

Książki Meiera to spore tomiska, np. *„OM"* liczy 455 stron, *„Existentes Leben im Universum"* - 388, *„Leben und Tod"* - 213, a *„Einführung in die Meditation"* - 238. Zeszyty i biuletyny dotyczą takich spraw jak przeludnienia naszej planety, ochrona środowiska, walka z karą śmierci, równouprawnienie kobiet, rasizm i przede wszystkim **rozwój duchowy człowieka.** Można również nabyć kasety wideo, zdjęcia, kartki pocztowe, a także bardzo ciekawy plakat z sekwencją 34 zdjęć wykonanych w 1976 roku. Celem wydawania publikacji jest zebranie pieniędzy na następne, które mają informować o najbardziej aktualnych problemach Ziemi.

Jak ocenić to wszystko, z czym miałem okazję się zapoznać. Nie udzielę, niestety, w tej mierze odpowiedzi, ponieważ jej nie znam. Sądzę jednak, że zawsze i wszędzie, a więc także i w tym



*Statek promienny Semjase podczas lotu demonstracyjnego. Zdjęcie wykonane 27 lutego 1975 r. Reprodukcja za NOLPRESSEM.*
Autor pozostałych zdjęć: Andrzej Butra.

przypadku **lepiej sięgać do różnych źródeł i następnie wyciągnąć własne wnioski.** Przypadek Meiera ma to do siebie, że z biegiem czasu może, choć nie musi, sam się obronić. Dotyczy to zwłaszcza wiedzy Meiera z zakresu astrofizyki i astronomii. Jeśli nasz Księżyc był w zamierzchłej przeszłości planetą - a tak twierdzą ostatnio naukowcy - jeśli Saturn ma jeszcze jeden Księżyc, jeśli w naszym Układzie Słonecznym istnieją jeszcze dwie malutkie planetki o bardzo wydłużonych orbitach, jeśli Mars był zamieszkały - to odpowiedź na pytanie o autentyczność przypadku Eduarda „Billy" Meiera będzie twierdząca. Pozostaje tylko czekać...



# Kontakt nietelepatyczny



 Telewizja publiczna emituje od pewnego czasu serial „Tajemnice Sagali". Wszystko

ze str. 33

byłoby OK, ale... - kiedy to Scytowie napadli na Biskupin? Rozumiem, że jak się robi film w koprodukcji z Niemcami, to Germanowie są cacy, a reszta świata be... Wszystko ma jednak swoje granice. Odkrywca i restaurator Biskupina chyba przewrócił się w grobie... Czy taki jest sens wejścia do Europy?

*R.L.*
***woj. nowosądeckie***

 Pisząc do Was chciałbym w pierwszym rzędzie wyrazić słowa mojego uznania dla Waszego pisma i Waszej, wyraźnie widocznej, zdroworozsądkowej postawy.

Piszę do Was z dalekiej Kanady, a dokładnie mówiąc z Edmontonu w Albercie. Jestem wiernym czytelnikiem Waszego pisma. Szczególnie podoba mi się postawa zespołu redakcyjnego i jego naczelnego redaktora; wydajecie się otwarci na wszystkie poglądy i nie dajecie się zamknąć w stereotypach i ciasnych ramach tej czy owej idei. W połączeniu z wyjątkową wrażliwością i taktem w traktowaniu innych ludzi (a także zwierząt) jesteście chyba zjawiskiem wyjątkowym w dzisiejszym świecie totalnej komercjalizacji.

Wiem, co piszę, gdyż od lat czytuję różne angielskojęzyczne magazyny, które można bardzo ogólnikowo zaszufladkować w dziale *New Age*. Niestety, większość tych tytułów nie jest wiele warta, ani pod względem poznawczym, ani filozoficznym, nie mówiąc już o aspekcie humanistycznym czy spirytualnym. U Was od czasu do czasu zdarzają się artykuły - prawdziwe perły. Życzyłbym Wam, sobie i innym, aby zdarzało się to jak najczęściej, ale nie jestem pewien, jakby wtedy wyglądała poczytność Waszego pisma w szerokich kręgach czytelników.

Mimo budzącej się coraz szerzej wrażliwości na „nieznanoświatowe sprawy", nadal ludzie nie rozumieją, że naprawdę ważne jest tylko to, czy człowiek, jako osoba żyjąca tu i teraz na planecie Ziemia, odkryje kim naprawdę jest i jaka jest jego relacja do Stwórcy i co powinien zrobić, aby się do niego zbliżyć tu i teraz, a nie gdzieś tam, po przekroczeniu granicy, którą nazywamy śmiercią. Taka postawa wymaga ogromnej otwartości umysłu, poczucia wewnętrznej wolności i czegoś, co nazwać można iskrą Bożą albo Jego łaską. Wymaga to odrzucenia wszelkich dogmatów, antycznych tradycji i - niestety - dużej samotności, gdyż tak trudno znaleźć duszę, która posiada podobne tęsknoty. Może się mylę, ale sądzę, że u Was gdzieś siedzi taka dusza i stąd ten list. Większość z nas zastanawia się nad tymi sprawami, o których piszę w tym miejscu, kłopot tylko z tym, że praktycznie nic w tym kierunku nie robimy. W ostatecznym rozrachunku bowiem tylko to waży, co zrobimy, a nie to co zamierzamy. Z reguły, czując się totalnie zagubieni, idziemy śladami innych, mając nadzieję, iż wielu - idąc w tym samym kierunku - nie może się mylić. Niestety, historia i doświadczenie uczą czegoś innego - ilość nie przechodzi w jakość. Podążanie śladami innych, tylko dla samego podążania, jest tylko samooszukiwaniem się i dowodem niedojrzałości i ignorancji. Widać wyraźnie, iż czas wielkich religii się kończy (przynajmniej w kręgu kultury zachodniej) - człowiek czegoś szuka, chociaż w większości przypadków nie zdaje sobie jeszcze sprawy czego - i Wy jesteście tej głębokiej potrzeby poszukiwania wyrazem, dlatego jesteście potrzebni. To nic, że na razie to poszukiwanie jest przeważnie fascynacją rzeczami, które trudno zrozumieć intelektualnie (jak fenomen UFO, „spirytualne" uzdrowienia, czy extrasensytywne zachowania). Czas ten nie jest stracony i - jestem przekonany - zaprowadzi do postawienia pytania - no dobrze, a gdzie ja jestem, pośród tego wszystkiego, co ja mam z tego wszystkiego, czy mnie nie mogą przydarzyć się te wszystkie wspaniałe opowieści o wyższych stanach świadomości, rozwiązaniu prastarej Tajemnicy życia i śmierci i oglądaniu Przedwiecznego własnymi, a nie cudzymi oczami? Myślę, że Wy, ludzie redagujący to pismo, jeśli już nie zadajecie sobie tych pytań, to wkrótce je zadacie.

***Marek A. Laskowski***
***Edmonton, Kanada***

 Od lat towarzyszę „Nieznanemu Światu" i cieszą mnie zmiany, jakim pismo podlega. Z dużym uznaniem przyjęłam oświadczenie dotyczące telewizji, tym bardziej, że sprawa jest mi podwójnie bliska. Z jednej strony moje pasje duchowe czynią mnie w tym względzie bardziej wrażliwą, z drugiej przemawia moje osobiste smutne doświadczenie życiowe.

Niewiele, lub prawie wcale, mówi się i pisze w Polsce o tym, że oglądanie telewizji w wielu przypadkach staje się prawdziwym nałogiem, w efekcie którego stopniowo może dojść do chorobliwego stanu, kiedy to człowiek nie wyobraża sobie dnia bez telewizji. Może to na koniec doprowadzić do całkowitego wyczerpania fizycznego i psychicznego; sytuacji, w której człowiekowi brak energii na cokolwiek innego oprócz dalszego oglądania telewizji.

Przez ostatnich kilkanaście lat żyłam u boku człowieka uzależnionego od telewizora. Kiedy poznałam swojego męża, był wspaniałym, poszukującym duchowego rozwoju człowiekiem, ale ostatnio miałam wrażenie, że żyje tylko po to, aby usiąść przed telewizorem. Wolał oglądanie telewizji od rozmowy, spaceru, zabawy z dziećmi. Mógł zapomnieć o kupieniu lekarstwa dla chorego dziecka, ale nigdy nie zapomniał o pożyczeniu kasety video, nawet gdy mieliśmy trudności finansowe. Oglądał po kilka filmów dziennie. Efektem było ogromne wyczerpanie, brak energii, problemy w radzeniu sobie z codziennym życiem, trudności, aby rano wstać i wyjść do pracy. Stało się to w dużej mierze przyczyną wypadku, w którym zginął. Był świadomy swoich problemów.

Na kilka dni przed śmiercią powiedział do mnie: *„Nie czuję się już na siłach zmienić. Chciałbym umrzeć i zacząć wszystko jeszcze raz"*. Przeżyłam ogromny dramat wynikający z poczucia przegranej własnego uczucia z małą, bezduszną skrzynką, pełną kolorowych obrazków. Najtrudniejsze było jednak towarzyszenie ukochanemu człowiekowi w Jego przegrywaniu z samym sobą. Szukaliśmy pomocy u terapeutów i bioenergoterapeutów. Niestety, nigdzie nie znaleźliśmy nawet zrozumienia. Mimo iż był to ewidentny wypadek, sądzę, że cierpienie mojego męża stworzyło wewnętrzne warunki, które sprowokowały los. Do końca nie byłam świadoma, w jak głębokiej bezradności wobec życia i siebie samego żył ostatnio mój mąż. Zostawione przez Niego notatki uświadomiły mi, że oglądał wiele brutalnych filmów, a potem nie radził sobie z przeżywaną agresją. Oglądał więc następne filmy, mając nadzieję, że utożsamiając się z postaciami pełnymi agresji uwolni się od niej, ale zwiększał równocześnie poziom własnej agresji. Bał się coraz bardziej, że ta agresja wybuchnie pewnego dnia bez kontroli, robiąc komuś krzywdę. Tym sposobem znalazł się w błędnym kręgu, o którym nawet ja nie wiedziałam, bo na zewnątrz był usposobieniem opanowania, za co Go nieraz podziwiałam. Jestem zdania, że problem telewizji i jej niszczącego wpływu jest ciągle niedostrzegany. Prawdopodobnie jest więcej osób żyjących u boku człowieka, dla którego szklane „okno na świat" stało się oknem więziennym.

W przypadku wykorzystania tego listu do druku, proszę o zachowanie moich danych personalnych do wiadomości Redakcji. Bardzo kochałam mojego męża. Łączyły nas wspólne, duchowe pasje. Nie chcę, aby ktoś z naszych znajomych połączył te informacje z jego osobą.

Z życzeniami dalszego rozwoju

***Krystyna K.***
***Gliwice***

laksu. Jeśli powiem sobie, że „siedzę i nie myślę", to tak jest rzeczywiście. Odprężam się całkowicie, nie tylko fizycznie. Większość ludzi w takim momencie z napięciem myśli, że „ma nie myśleć". Ale umiejętność sterowania sobą, zmiany sposobu życia, innego podejścia do wielu spraw, lepszego poznania i doskonalenia swoich możliwości, można osiągnąć przez medytacyjne ćwiczenia oddechowe.

## Co oferuje PTP?

Poza sekcjami, które zajmują się działalnością szkoleniową, Towarzystwo prowadzi działalność usługową. Można „zamówić" sprawdzenie mieszkania, zainstalowanie ekranu, kupić w lokalnym sklepiku ozdoby z magnesami, które wywierają korzystny wpływ na pole elektromagnetyczne człowieka, obniżają ciśnienie lub (wkrótce w sprzedaży) poduszkę z nasion, zapewniającą zdrowy sen.

Duże zapotrzebowanie jest na ekrany, i na specjalistów, którzy je instalują. Ponieważ jest ich niewielu, dlatego wciąż wydłuża się kolejka. Bardziej niecierpliwi kupują ekrany i instalują je sami, według załączonej instrukcji. PTP apeluje o rozwagę. Niewłaściwie ułożony ekran przynosi więcej szkody niż pożytku — bo nie spełnia swego zadania i wręcz niekorzystnie oddziaływuje na organizm. Może to zrobić wyłącznie doświadczony radiesteta posiadający uprawnienia . Konieczne jest również wielokrotne sprawdzenie funkcjonowania zainstalowanego ekranu. Tylko to może zagwarantować jego skuteczność.

— Chętni pytają o koszty. Robimy kalkulację — informuje pani prezes. — Sądzę, że cena wyniesie około 50 tysięcy złotych. Ale jest to trwała inwestycja, jednorazowa. Dobrze położony ekran jest „wieczny". Czynimy także starania, by atestować ekrany i inne wyroby psychotroniczne znajdujące się w sprzedaży.

* * *

Działanie ekranów zainstalowanych w URM kontrolowane jest na planie pomieszczeń metodą teleradiestezji. Działają prawidłowo!

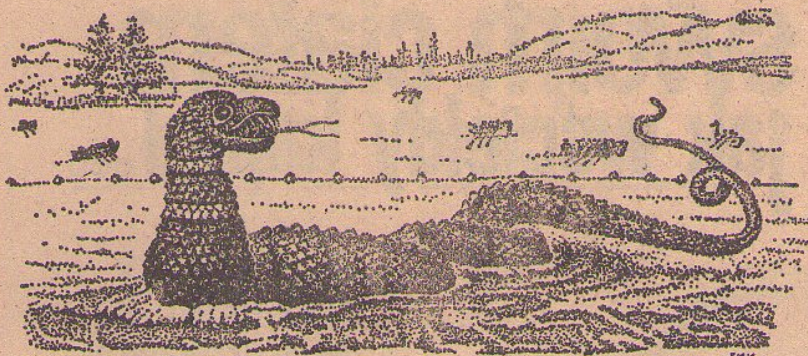
**Post scriptum.** Badania i ekranizowanie gabinetu„PTP potraktowało jako dar dla premiera Mazowieckiego.

■

Monsters




# PODPOWIEDŹ DINOZAURA




*Znaleziska kości dinozaurów w Stanie Gudżarat i innych rejonach Indii nie należą do rzadkości. Ale paleontolodzy byli bardzo zdziwieni, kiedy odkryli, że prastare skamieliny rozkopane w pobliżu osady Rahioli, w okręgu Khed mają podwyższoną radioaktywność. Uczeni wytłumaczyli to w ten sposób, iż podczas kamienienia kości jony fosforu zostały zamienione przez jony uranowe. To zaś świadczy o istnieniu w glebie pierwiastka promieniotwórczego. W taki oto sposób wykopaliska paleontologiczne pomogły w odkryciu cennych i pożytecznych złóż mineralnych.*
*(Opr. JB)*

# POLOWANIE NA KANADYJSKĄ PASKUDĘ



*Tysiące kilometrów dzieli kanadyjskie jezioro Muskrat od szkockiego Loch Ness. Ale, jak się okazało obydwa, jeśli wierzyć pogłoskom i świadkom, są zamieszkałe przez zagadkowe stwory — potwory prastare.*
*O ile szkocka „Nessi" już dawno została bohaterką światowej prasy i telewizji, o tyle kanadyjskie monstrum dopiero daje o sobie znać. Każdego roku pokazuje się dwa, trzy razy. Ale w opisach świadków jest ono bardzo różne. Jedni mówią, że ten niezwykły zwierz ma około 27 metrów długości, czyimś innym oczom ukażą się zwodniczo tylko dwie przednie łapy, jeszcze inni twierdzą, że jest to olbrzymia żmija. A wielu te oświadczenia po prostu uważa za wytwór ludzkiej wyobraźni...*
*Cały ten zamęt wokół potwora zdenerwował mieszkańca Toronto, M. Bradleya, autora siedmiu książek naukowych, który postawił sobie za cel złowienie nowoobjawionej „Nessi" w jeziorze Muskrat oddalonym o 80 kilometrów od Ottawy.*
*Opierając się na najczęściej powtarzanym przez świadków opisie zwierzęcia (podobne do ogromnego robaka o długości sześciu metrów i średnicy jednego metra), Bradley skonstruował dziewięciometrową pułapkę, o wysokości i szerokości półtora metra. Wykonał ją z aluminiowych prętów i pokrył gęstą siatką.*
*Bradley ma już nawet własną teorię na temat karmienia potwora. Przypuszcza, że ten ogromny robak z rybim ogonem i o ślepiach wysuniętych poza obręb tułowia żywi się martwymi rybami, które znajduje w mulistym dnie jeziora.*
*Czterdziestoletni pisarz i poszukiwacz przygód zamierza po złapaniu zagadkowego burzyciela spokoju sfotografować go, wziąć próbki tkanki i wypuścić z powrotem do jeziora, którego głębokość miejscami dochodzi do 60 kilometrów.*
*(Oprac. JB)*

też prędzej, niż dało się cokolwiek odczytać.

Trzeba poczekać na Larrego i kolektory energii słonecznej. Szczęściem słońce wschodziło na bezchmurnym niebie i baterie będą się szybko ładować. Nad kotliną kładły się teraz długie cienie masywów skalnych, mgła parowała, obnażał się jałowy, pusty krajobraz wielkiej, skalnej misy, upstrzony rzadkimi, kolczastymi krzewami. Wśród kamieni bielały jakieś skorupy i kleszcze krabów, które zagnał tu kiedyś wielki pływ — być może fala tsunami — a że skały były strome, kraby nie mogły się stąd wydostać.

Ken spojrzał przez parów, biegnący w stonę wody. Lubił patrzeć na to nieosiągalne morze. Widać stąd było mały jego wycinek. Tam, za rafami przyboju, woda wydawała się czysta i błękitna, i — być może — poza szelfem przybrzeżnym są tam nawet ryby...

Równo biegnące, spienione fale, jaśniejący błękit nieba i ożywcza bryza, niosąca zapach morza — stwarzały zachęcający miraż dalekich podróży. Do nowego, nieznanego świata, na tej dziwnie odmienionej ziemi.

Ale nic z tego. Nikt nie zdołał się wydostać poza niebezpieczną strefę przyboju. Wśród alg, miotających swoimi łodygami o mocy sizalowych lin, gnieździły się dziwaczne mutanty wężowideł i żachw, które przenosiły się z głębin i tu zagrażały ludziom. Kraby, żyjące w symbiozie z tym wodnym bractwem, pierwsze atakowały ludzi, wychodząc na ląd. Ich kleszcze, o średnicy sześciocalowej rury, cięły wszystko. Były jednak mniej prymitywne od tamtych — i dlatego może dawały się łapać — bo umiały koncentrować uwagę na... manekinach i pułapkach.

Doktor Rea Nils, szef medyczny Misji Ocalenia, stwierdziła, że u alg powstały zaczątki prymitywnych centrów mózgowych, sterujące w celowy sposób ruchami łodyg. Efekt selekcji mutantów. Było to coś przerażającego — istoty na pograniczu rośliny i zwierzęcia.

Jak długo mogła trwać taka ewolucja? Ile lat minęło od chwili zamknięcia włazów statku? Czy mogli tak długo przetrwać ludzie? Jest jedno wytłumaczenie — rozwój skokowy. Zagrożenie promieniotwórcze przyspieszyło działanie enzymów restrykcyjnych. Organizmy, które przeżyły, niosą w sobie doświadczenia przeszłości...

Ken, który pamiętał jeszcze tamten świat, nie mógł oswoić się z tym wszystkim, co dla nowego pokolenia było oczywistością. Na ścieżce zazgrzytał żwir. Był to wreszcie Larry, zmęczony dźwiganiem ładunku, ale zadowolony z wykonanej pracy.

Larry urodził się już tutaj. Miał pogodną twarz, okoloną jasnym, kędzierzawym zarostem. Nie obciążony pamięcią starego świata, był żądny przygód, wiedzy i doświadczeń. Zawsze złościł Kena swoimi pytaniami o naukę, o dziedzictwo ludzkości.

A przecież dyski pamięci nie zawierają już nic. Wszystko trzeba zaczynać od nowa. Larry tego nie rozumiał, był zafascynowany resztkami techniki, skazanej na ostateczne zniszczenie. Trzeba będzie sporządzać siekiery z kamienia, sztylety z kleszczy krabów, odzież z włókna alg. Zaranie nowej cywilizacji jeszcze się nie zaczęło. Na razie giną resztki starej...

Larry nie wiedział, o czym myśli Ken. Złożył swój ładunek ostrożnie na kamieniach i czekał cierpliwie, aż Ken spojrzy na niego.

— No, jestem już! I co teraz? — rzucił niecierpliwie.

Ciąg dalszy na stronie 24

Ciąg dalszy ze strony 9

# OGIEŃ ZNIKĄD

nym ogrodzie w Aberdeen w Szkocji znaleziono zwęglonego mężczyznę, którego tożsamości nie udało się stwierdzić, prawdopodobnie żołnierza. Szczególnie silnie miał zwęgloną jamę brzuszną i leżał wewnątrz osmalonego koliście kawałka terenu...

Tu właśnie powstało najstarsze na świecie zdjęcie podobnego incydentu, wykonane przez lekarza ze szpitala wojskowego w Aberdeen.

Wspomniana książka podaje również opis przypadku spalenia się kilkunastoosobowej załogi łodzi pływającej przy brzegu morza w pobliżu Chelmaford w Anglii w 1938 roku. Stało się to na oczach wielu ludzi będących na brzegu. I tu też sama łódź nie uległa spaleniu, nawet nie była mocno osmalona, mimo że zawierała kilka zwęglonych ciał... Wprawdzie nie stwierdzono „wypaleniska" na wodzie... ale przy okazji możemy zauważyć, że woda morska, z racji dużej zawartości soli jest doskonałym środkiem przepływu różnych energii...

A teraz coś z „łączki krajowej":
14 stycznia 1983 roku pewien ufolog z Warszawy przypadkiem natknął się na kawałku nieużytku przy zbiegu ulic Wolickiej i Czerniakowskiej w Warszawie na opisywane powyżej „czarcie koło".

Tym razem miało kształt owalu o rozmiarach około 4 x 3 metry. Natychmiastowe prawie przybycie grupy badawczej na to miejsce pozwoliło stwierdzić, że wnętrze „owalu" jest dokładnie zwęglone w ten sposób, że budowa komórkowa trawy jest nienaruszona, a jej korzenie pod ziemią też są zwęglone, przy czym sam grunt wokoło nie nosi cech oddziaływania wysokiej temperatury...

I tu ciekawostka: kompas położony na „owalu" wykazywał dewiację, igła odchylała się o 17° w kierunki wschodnim, zaś wokół śladu, w odległości 100 metrów pokazywała kierunek północny normalnie. W tym przypadku, biorąc pod uwagę, że „owal" pochodził sprzed paru miesięcy, przeprowadzono poszukiwania wśród okolicznych mieszkańców i dopiero po pół roku — raczej przypadkiem odnaleziono dwóch świadków, a po pięciu latach jeszcze jednego, którzy poświadczyli, że „nocą z 29 na 30 września 1982 roku, na tym kawałku terenu widzieli tajemniczy, półwidzialny, jarzący się pomarańczową poświatą obiekt o kształcie spłaszczonego dysku. Unosił się on ćwierć metra nad trawą, jakby »podparty« słupem jasnoognistego promieniowania". Rzekomo widzieli również kilka postaci o wzroście około jednego metra, krążących wokoło tego obiektu...

Już 15 stycznia 1983 r. wykonano serię zdjęć tego wypaleniska, nieco przyprószonego śniegiem. O dziwo! Oprócz samego „śladu" i osób stających w pobliżu, uchwycono na niebie... UFO. Było w postaci koła, o wnętrzu barwy brązowo-fioletowej, tj. takiej, jaka rzadko daje się uchwycić na barwnym slajdzie, a która powstaje przy naświetleniu emulsji światłoczułej... ultrafioletem.

Oglądając jeden taki slajd można by uważać to za „błąd w sztuce fotografowania". Rzecz jednak w tym, że taki sam obiekt, w pobliskim terenie, w różnych czasach, przez różne osoby, na różnych filmach i aparatach był „chwytany" kilkanaście razy, w tym dwa razy z rzędu 28 października 1988 r., przy czym na tych dwóch klatkach ujawnił się słabo widziany słup różowego promieniowania, bijący z ziemi w górę...

Można by więc przypuścić, że to może UFO... atakuje i spala ludzi? Wydaje się, że jest jednak nieco inaczej...

W odniesieniu do owych zwęgleń możliwe jest, że oddziaływanie jakiegoś nieznanego promieniowania powoduje rozbicie struktury cząsteczkowej wody na składowe pierwiastki: wodór i tlen oraz powoduje ich ponowne łączenie się, przy czym może ono mieć charakter jonowego łączenia się atomów z wytworzeniem bardzo wysokiej temperatury. Wówczas rozkładowi termicznemu podlegałoby wszystko to, co zawiera wodę, natomiast suche substancje uniknęłyby tego losu, zwłaszcza, że wzrost temperatury trwałby ułamek sekundy...

Tak więc możliwe jest, że zarówno te samospalenia jak i ...UFO u swojego podłoża mają te same zjawiska...

**KAZIMIERZ BZOWSKI**





Stwór posuwał się do przodu. Pod powierzchnią dudniło i trzaskało. Korzenie rozsadzały skałę. W miejscu, gdzie wzdymała się na stożku gruzłowata narośl, łuskowa pokrywa pękła i zaczął się szybko powiększać ślepy otwór. Otwór ten pokrywał się nabrzmiałą powłoką, opalizującą odbiciem nieba. — Oko, pokryte bielmem — pomyślał Ken. Czy „to" nas widzi? — wyjąkał sam do siebie.

Ale wydarzenia nie pozwoliły mu przyglądać się bezmyślnie. Ujrzał z przerażeniem, jak skalna misa kotliny pękła i jak ze szczeliny wyskoczył w górę, świszcząc jak batog, gruby, czarny korzeń, oklejony żwirem a jego odgałęzienia wiły się na boki i szukały czegoś zapamiętale. Poruszył się grunt pod nogami. Z małego pęknięcia wynurzył się cienki korzeń — widać świeży odrostek — i zaczął owijać się wokół nóg Larrego. Larry skamieniał z przerażenie i nie był w stanie się bronić. Wić ściskała mu nogi i pełzła, jak wąż, w górę.

Ken był bezradny. Nie miał siekiery ani noża.

Ale już wiedział co zrobić. Chwycił miotacz, oparł go o skałę i wymierzył w oko skałozwierza. Nawet nie spojrzał na wskaźnik mocy. Zaryzykował. W celowniku przeleciały napisy. Teraz! Pociągnął lewar.

*Ciąg dalszy ze strony 23*

# SKAŁOZWIERZ

— Czas ładować baterie — odrzekł krótko Ken — mamy pełne słońce, więc szkoda czasu.

— A jak naładujemy, to może w końcu wystrzelimy? — krzyknął Larry podnieconym głosem.

— Do licha, Larry! — odparł Ken — nie po to tu jesteśmy! Irytował go nieco infantylny entuzjazm Larrego.

— Podłącz baterie i obserwuj tamte skały — rozkazał — jak coś zacznie się dziać, wtedy zobaczymy... Larry posłusznie ustawił kolektory w stronę słońca i podłączył baterię. Zdjął pokrowce i przetarł pieczołowicie szmatką wszystkie ogniwa. Po chwili indykator drgnął i słońce zaczęło ładować baterię.

Ken był zmęczony. Dał Larremu połówkę lornetki, nasunął czapkę na oczy i postanowił się zdrzemnąć.

W półśnie przypomniały mu się ptaki nad morskimi falami, które pragnął jeszcze choć raz zobaczyć...

Wiatr od morza wzmógł się i wypełnił parów gęstą strugą. Świst tego wiatru w załomach skał zbudził Kena.

Odszukał wzrokiem Larrego. Działo się coś dziwnego.

Larry, klęcząc za skałą, przyciskał kurczowo lornetkę do twarzy. Z pobladłej twarzy spływał pot, zaciśnięte usta nie były w stanie wymówić słowa. Był jak sparaliżowany.

— Ale go wzięło — mruknął Ken — zobaczymy, co to takiego! Kątem oka ujrzał ruch na tamtej przełęczy. Wyrwał Larremu lornetkę i spojrzał.

Kamienny stożek, wielkości nowojorskiej kamienicy, który tkwił za przełęczą, ożył. Skaliste powierzchnie falowały, co chwila spadały z nich lawiny kamieni. Wyłaniała się kamienna skorupa, złożona z płyt-łusek, przyklejonych do galaretowatej masy, pulsującej życiem. Żwirowisko u podnóża stwora ruszało się. Tu i tam z podłoża wyłaniały się łodygi lub raczej korzenie, to uderzając, to chowając się w wyrwanych wśród kamieni bruzdach.

Podwójna błyskawica — ta od ścieżki jonowej i ta niszcząca — zlały się w jeden spójny strumień.

Bielmo potwora rozpadło się, opadając na dno kotliny jak płatki śniegu. W czarnym otworze, pozbawionym powłoki, zaskwierczało, wyleciała smużka dymu. Ogromny stożek opadł i sflaczał. Jakby wypuszczono z niego powietrze.

Z pomiędzy łusek zaczęła wypływać lepka ciecz, twardniejącą szybko w litą skałę. Płynny krzem! — szepnął Ken ze zdumieniem.

Było już po wszystkim. Diabelskie korzenie zaczęły się szybko kurczyć i chować w szczelinach. I już nie było prawie śladu po skałozwierzu — gdyby nie te pęknięcia skał... Larry wreszcie ocknął się. Patrzał na Kena osłupiałym wzrokiem i coś mamrotał. Wreszcie, z wyraźnym obrzydzeniem zaczął masować sobie nogi, odsuwając się ze strachem od szczeliny w skale.

Gdy przyszli do siebie po ataku skałozwierza Ken polecił ładować drugą baterię. Szło to wolniej, bo słońce stało już niżej. Mieli je teraz prawie za plecami i przyjrzeli się tamtej przełęczy.

Widok kamiennych stożków, z których każdy mógł być skałozwierzem, zamaskowanym płytami z wytworzonego przez siebie krzemu, nie wróżył nic dobrego. Zmarnowali drugi strzał do jednego ze stożków, który ani drgnął. Jakby był z kamienia. Bo i był — przecież skałozwierz pokrywał się kamieniem... Z przełęczy zeszli o zachodzie i zameldowali Radzie Starszych o wydarzeniu. Byli pierwszym patrolem, który wrócił cało.

* * *

— Dziękuję, dziękuję wam — powiedział ze wzruszeniem, ochrypłym głosem Doc Quinx, kiedy zebrali się na pokładzie statku, aby zastanowić się nad zagrożeniem, które zawisło nad kolonią Ocalonych.

— Być może, jesteśmy okrążeni całym stadem tych potworów i mogą nas po prostu zasypać lawinami z kamieni — rzucił przed siebie stary Hicks, mechanik pokładowy, jakby chcąc natychmiast usłyszeć uspokajającą odpowiedź.

— A mogą, mogą — mruknął półgłosem Maks Berg, energetyk, wykręcając się tak, aby jak najmniej było widać jego prawą połowę twarzy, oszpeconą bliznami pohibernacyjnymi — ale wydaje się, że trzeba najpierw poznać, kim one są — zająknął się — to znaczy, z czego są zbudowane...

Podniósł się gwar niespokojnych głosów. Widmo zagłady nie sprzyjało zrównoważonym wypowiedziom.

— Właśnie dlatego — wpadł komuś w słowo komandor. — Właśnie dlatego proszę o kilka słów doktor Nils. — Bardzo proszę — dodał zakłopotany. Pierwszy raz czuł się taki bezradny.

— To, co powiem — rozpoczęła doktor Rea Nils — nie wszystkim się spodoba. Cokolwiek by nie wynikło, musimy zdać sobie sprawę, czym jesteśmy w obecnej sytuacji i w ogóle jaka jest nasza rola. Unikniemy przez to rozczarowań. Być może — uśmiechnęła się gorzko.

— A więc, czym jesteśmy? Wobec natury prawie niczym. Jakimś fragmentem przyrody ożywionej, wobec której siły natury są absolutnie obojętne. Nasz ból, nasza zagłada, nasze zamiary nie są w ogóle brane pod uwagę — chyba, że są częścią naturalnego cyklu rozwoju i zaniku jakiegoś gatunku.

Filozofią Misji Ocalenia miało być biologiczne przetrwanie gatunku homo sapiens. Ale czy w ogóle ma sens utrzymanie rodzaju ludzkiego i jego rzekomej dominacji na planecie „ziemia" wbrew prawom natury? Tak, powtarzam, wbrew prawom natury — bo samozagłada rodzaju ludzkiego musiała być zakodowana w zakamarkach ludzkiego intelektu. A więc, wynika także z impulsów biogenetycznych. Człowiek stworzył sobie sztuczną niszę ekologiczną — cywilizację techniczną. W ten sposób przedłużył — wbrew naturze — cykl zaniku swojego gatunku. Może się to komuś podobać lub nie, ale tak jest.

Zapadło przygnębiające milczenie. Ale kiedy zapytał o coś mały Tim, wszyscy odetchnęli i na nowo chcieli wierzyć w sens Misji. Doktor Rea mówiła — Skoro chcecie przeżyć, powiem wam, co myślę o pochodzeniu skałozwierzy. Co nie znaczy wcale, że łatwo się ich pozbędziemy. Jak wiadomo, enzym, który ma zostać utworzony przez DNA z dwudziestu aminokwasów, zawiera sto członów. Przy dowolnym uszeregowaniu dwudziestu rozmaitych aminokwasów w stu rozmaitych pozycjach otrzymamy dwadzieścia do potęgi setnej rozmaitych możliwości. Jest to niewyobrażalna ilość wariantów, większa od ilości atomów we wszechświecie, które oblicza się na dziesięć do osiemdziesiątej. Przy tej ilości możliwych struktur białkowych — mutacja i selekcja genotypów jest w stanie doprowadzić do rozwoju najdziwniejszych organizmów. To tylko kwestia czasu i losowego rozrzutu wydarzeń. Ale może coś innego, może skałozwierz zbudowany jest nie ze struktur białkowych, a krzemowych, których nie znamy... Na to wskazuje sposób wytwarzania pancerza krzemowego — dowodziła doktor Nils.

I kiedy oni wszyscy przysłuchiwali się uczonym wywodom, mały Tim przyglądał się z zainteresowaniem stojącej w kącie kamiennej donicy, służącej do hodowania rzadkich porostów. Bo żwir w donicy poruszył się powoli, pośrodku utworzył się mały stożek, oklejony kamykami, wysunęła się mała, czarna macka i chwyciła chłopca za palec...

■

# INWAZJA UFO!

# BLISKIE SPOTKANIA Z TAJEMNICĄ

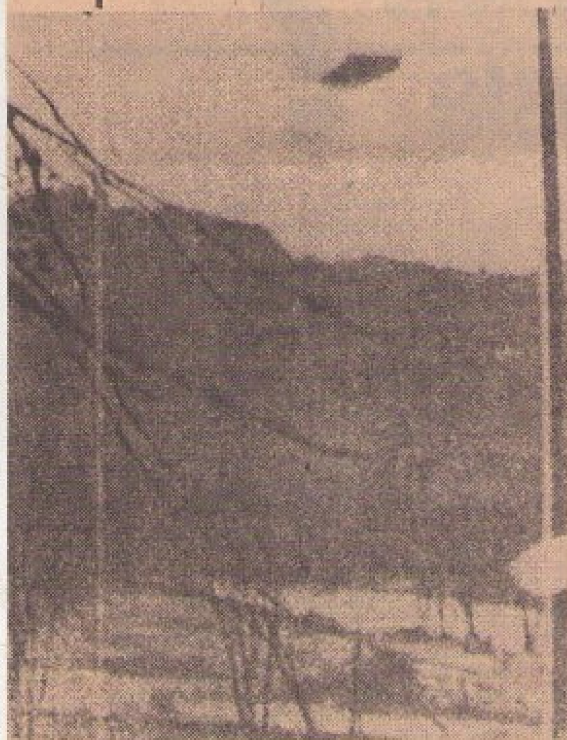
**Obserwacji niezidentyfikowanych obiektów latających, zwanych w skrócie NOL lub z angielskiego UFO od skrótu wyrazów Unidentified Flying Objects, zanotowano i notuje się nadal bardzo dużo i to od bardzo dawna. Wybór choćby tylko kilku z nich będzie zawsze subiektywny. Myślę jednak, że można pokusić się i przytoczyć kilka przypadków obserwacji UFO dla Czytelników, którzy dopiero zaczynają się głębiej interesować tą pasjonującą problematyką. Opiszę więc tu przypadki, które uzyskały duży rozgłos i miały miejsce zarówno w Polsce, jak i w innych krajach.**

**Trzeba zacząć niewątpliwie od przygody, jaką przeżył Kenneth Arnold, amerykański handlowiec z Idaho, w dniu 24 czerwca 1947 r.**

**JERZY DOMAŃSKI**

Fot. JAN ZELMAN

The UFO invasion! Close Encounters with a mystery



Otóż w tym właśnie dniu w sprawach zawodowych wybrał się on własnym samolotem do Yakimy, a potem wprost do stolicy. Miał licencję pilota i nieraz lubił sam polatać, aby nie wyjść z wprawy. Na lotnisku, już właściwie na starcie, podano przez radio komunikat, że w pasmie górskim Great Rockies Range wydarzyła się katastrofa samolotu i prosi się o pomoc przy poszukiwaniu rozbitków. Arnold posłuchał wezwania i postanowił udać się do Waszyngtonu trasą okrężną. Po starcie wprowadził maszynę na odpowiednią wysokość i poleciał w stronę wskazanego rejonu. Lot przebiegał spokojnie. Z kabiny roztaczał się piękny widok na przesuwające się w dole i połyskujące w słońcu góry.

I wtedy, gdy na wysokości 3000 m okrążał płaskowzgórze, z którego wyrasta szczyt Mount Rainier, wypatrując śladów zaginionego samolotu, ujrzał nagle na horyzoncie, na tle szczytów górskich, coś co wprawiło go w zdumienie i osłupienie — w idealnym szyku klucza, z prędkością około 1500 km/h, leciało dziewięć przedmiotów o dziwnym kształcie. Nie przypominały w niczym samolotów, szybowców, balonów, czy sterowców. Były wielkości dużych samolotów, błyszczały w promieniach słonecznych, jak wykonane z metalu, miały bowiem kształt zwykłych okrągłych dysków, były bez skrzydeł i kadłuba, wyglądały jak odwrócone spodki. Arnold obserwował je przez dwie minuty, dopóki nie zniknęły mu z pola widzenia.

Już po wylądowaniu, kiedy opowiadał dziennikarzom o swoim niecodziennym spostrzeżeniu, lecące przedmioty określił jako talerze odwrócone dnem do góry. W ten sposób Kenneth Arnold stał się mimo woli twórcą pojęcia „latających talerzy". Ogłoszone w prasie amerykańskiej i następnie przedrukowane w prasie światowej sprawozdanie Arnolda zapoczątkowało lawinę dalszych informacji o tego rodzaju obiektach w innych rejonach naszego globu.

19 kwietnia 1952 r. wieczorem wielu przypadkowych widzów zafascynowanych było lotem nad Toronto w Kanadzie pięćdziesięciu do sześćdziesięciu obiektów świecących barwą jasnopomarańczową. Sunęły w nienagannym szyku litery V na dużej wysokości i z olbrzymią prędkością. W ciągu zaledwie 6 sekund zniknęły bezgłośnie za horyzontem.

Warte odnotowania wydarzenie spotkało 3 kwietnia 1968 r. na autostradzie w okolicy miejscowości Cochrane w stanie Wisconsin w USA o godzinie 20.10 kierowców dwóch jadących samochodów. Oto co na ten temat zeznała policji prowadząca jeden z nich nauczycielka. „Jechałam samochodem po autostradzie. Prowadziło mi się dobrze. Ruch był niewielki. Nagle zauważyłam, że z zagłębienia między dwoma wzgórzami wynurzył się kulisty czerwono świecący obiekt, lecący bardzo szybko i bezdźwięcznie lotem ślizgowym, niewiarygodnie nisko. Wkrótce raptownie przyhamował i unosił się nad samochodem, który niedawno mnie wyprzedził. Wówczas zauważyłam, że światła tego wozu zgasły, a ja zjechałam na pobocze i zatrzymałam się. Światła mojego pojazdu także nieco przygasły, ale nie myślałam o tym, dopóki reflektory, silnik i radio nie przestały działać. Byłam pochłonięta tym, co się działo. W moim samochodzie nastąpiło to, co w tamtym, dopiero gdy obiekt znalazł się nade mną. Otworzyłam okno, ale nie było słychać żadnego dźwięku. Miałam uczucie, jakbym była pusta i lekka, ważyła bardzo mało, a wszystko było nieważkie. Ponadto czułam przez pewien czas, jakby moje stopy płonęły z gorąca. Kiedy obiekt odleciał i wzniósł się na

większą wysokość, zapaliły się światła w samochodach, a radia z powrotem zaczęły normalnie funkcjonować".

Wielkie emocje przeżyli mieszkańcy Pietrozawodska — stolicy radzieckiej Republiki Karelii. W dniu 20 września 1977 r. byli świadkami niecodziennego zjawiska. Około czwartej rano na niebie pojawiła się nagle ogromna kula, wysyłająca pulsujące światło. Przemieszczała się powoli w kierunku miasta, a potem rozpłaszczyła i zawisła nieruchomo, emitując jednocześnie mnóstwo drobnych promieni świetlnych, które przypominały ulewny deszcz. Po pewnym czasie przekształciła się w jasne półkole i zaczęła się przesuwać w kierunku jeziora Onega, którego horyzont spowijały szare chmury. W półkolu tym powstała półokrągła przerwa o barwie jaskrawej czerwieni w środku i białej po bokach. Naoczni świadkowie stwierdzili, że trwało to 10 — 12 minut. Dyrektor pietrozawodskiego obserwatorium hydrologiczno-meteorologicznego, J. Gromow, powiedział korespondentowi agencji TASS, że pracownicy służby meteorologicznej Karelii nigdy dotąd nie obserwowali podobnego zjawiska. Wiemy również — podkreślił J. Gromow, że w tym czasie nie przeprowadzano żadnych eksperymentów technicznych. Tę niecodzienną obserwację trudno więc zaliczyć do złudzeń optycznych, ponieważ zjawisko to oglądało zbyt wielu świadków, których relacje były niemal identyczne.

W literaturze poświęconej niezidentyfikowanym obiektom latającym i wizytom istot rozumnych z kosmosu najgłośniejszy stał się tak zwany incydent Zeta Reticuli. To właśnie wokół niego rozpętała się burzliwa dyskusja, w czasie której z ogromnym zaangażowaniem wypowiadali się zwolennicy, jak i przeciwnicy uznania go za prawdziwy. Warto dodać, że gdyby miał on miejsce istotnie, wyjaśniłby bardzo wiele.

Wszystko zaczęło się w nocy z 19 na 20 września 1961 r., kiedy to amerykańskie małżeństwo Betty i Barney Hillowie wracało do domu w Portsmouth koło Bostonu z wycieczki po Kanadzie. Państwo Hill jechali samochodem szosą państwową nr 3, prowadzącą przez górzyste, leśne tereny New Hampshire. Podróż przebiegła spokojnie, gdyż szosa była pusta, gdy nagle siedząca z przodu obok męża Betty zauważyła na niebie poruszające się małe światełko. Stawało się ono coraz większe, aż wreszcie, gdy zniżyło się nad ziemię i przesuwało wzdłuż szosy równolegle do pędzącego wozu, przybrało kształt dysku. Po pewnym czasie ów świecący obiekt jakby wylądował w lesie, po prawej stronie szosy. Wówczas Barney Hill zatrzymał się, wyjął z bagażnika lornetkę i poszedł do lasu, w którym zniknął tajemniczy dysk. Po kilku minutach przerażony i skrajnie wyczerpany wybiegł spomiędzy drzew, bez słowa wsiadł do samochodu i szybko ruszył do przodu. Już w czasie jazdy zarówno Barney, jak i Betty usłyszeli dochodzące z tyłu rytmicznie pulsujące odgłosy i zaczęli odczuwać ogarniającą ich senność. Kiedy ocknęli się ze snu, znowu towarzyszyły im podobne, tym razem przerywane dźwięki. Posuwali się powoli. Po upływie paru minut dojechali do drogowskazu informującego, że do Concord pozostało 28 km. Ze zdziwieniem stwierdzili, że do miejsca, w którym Barney po wyjściu z lasu wsiadł do samochodu, przebyli odległość 56 km w ciągu, jak wskazywały zegarki — dwóch godzin. Oboje nie mogli sobie przypomnieć, co działo się w tym czasie. Nie pamiętali nic. Do domu dotarli bez żadnych przeszkód. Dopiero Betty, wyjmując coś z bagażnika zauważyła na jego zakurzonej pokrywie kilka idealnie czystych okrągłych miejsc wielkości srebrnej półdolarówki. Zaintrygowana przyłożyła do nich kompas. Wskazówka wirowała dokoła jak szalona, w innych miejscach ustawiała się normalnie.

Wówczas Betty zatelefonowała do władz amerykańskich sił powietrznych relacjonując swoje i męża przeżycia. Ale te, poza jeszcze dwiema rozmowami telefonicznymi, nic więcej w tej sprawie nie zrobiły. I chyba wszystko poszłoby w zapomnienie, gdyby nie pogarszające się stale samopoczucie państwa Hillów. Nawiedzały ich trudne do wytłumaczenia stany lękowe, nękały koszmarne sny. Częste wizyty u neurologa nie dały, niestety, widocznych efektów. Wtedy doradzono im, aby podjęli leczenie za pomocą hipnozy. Barney Hill skontaktował się z dr. Benjaminem Simonem, znanym hipnologiem i neurologiem z Bostonu, i wraz z żoną rozpoczął kurację pod koniec 1963 r.

Dr Simon stosując przez kilka miesięcy oddzielne leczenie hipnotyczne odblokował pamięć badanych i wreszcie dowiedział się od Betty i Barney'a Hillów, co działo się z nimi przez dwie brakujące im godziny na szosie państwowej nr 3. Z ich relacji wynikało, że zostali uśpieni na odległość i uprowadzeni we śnie przez niewielkie istoty o wzroście do 1,5 m do wnętrza stojącego na leśnej polanie olbrzymiego latającego dysku. Istoty te miały skośne oczy i wystające kości policzkowe. Ubranie ich stanowiły czarne jednoczęściowe stroje. Wobec Hillów zachowywali się grzecznie, ale stanowczo. Małżonkowie zostali wprowadzeni do dwóch osobnych pomieszczeń, w których poddano ich kilku zabiegom. Pobrano ich próbki włosów, skrawki skóry i paznokci. Barneyowi wyjęto sztuczne zęby, położono na stole i prawdopodobnie całego prześwietlono. Do pępka Betty wprowadzono długą igłę. Gdy skończono te czynności, dowódca załogi latającego spodka, zwany przez nich leaderem, wdał się z Betty w rozmowę. Mimo że mówił wydając niezrozumiałe dźwięki, jej treść stawała się jasna w jej świadomości. Wreszcie pod koniec „wizyty", po rozsunięciu jednej ze ścian, pokazał jej mapę. Mapa ta była kolorowa i stanowiła obraz trójwymiarowy o wielkości mniej więcej 100 x 60 cm. Na tle zagwieżdżonego nieba uwagę Betty zwróciło kilkanaście jaśniejszych, większych i bliżej leżących punktów. Były one połączone liniami ciągłymi lub przerywanymi. Kosmita objaśnił, że linie ciągłe, łączące na mapie poszczególne gwiazdy, oznaczają ich zwykłe, normalne szlaki podróży, które często odbywają, linie przerywane natomiast wyprawy badawcze. Później Hillowie cały czas pogrążeni w półśnie, zostali przez przybyszów z kosmosu odprowadzeni do samochodu, w którym ocknęli się po dwóch godzinach w odległości 56 km od miejsca, gdzie zapadli w sen.

Jeżeli tak rzeczywiście było, rozumował leczący ich dr Simon, to Betty, będąc w stanie hipnozy, powinna odtworzyć mapę widzianą w statku kosmicznym. I rzeczywiście, podczas jednego z następnych seansów przypomniała sobie najważniejsze szczegóły i odtworzyła ją na papierze, zaznaczając zasadnicze punkty i linie. Nasuwało się przypuszczenie, że owa mapa, jeżeli jest prawdziwa, przedstawia jakąś konfigurację gwiazd, widzianą z innego punktu obserwacyjnego niż układ słoneczny. Ale z jakiego? Odpowiedzi na to pytanie udzieliła w 1966 r. astronom — amator Amerykanka Marjorie Fish. Zaciekawiona przypadkiem i mapą Betty Hill przez kilka lat, posługując się najdoskonalszym katalogiem gwiazd: „Catalog of Nearby Stars", tworzyła trójwymiarowe fizyczne modele konfiguracji gwiezdnych, oglądane z różnych niezbyt odległych od układu słonecznego punktów przestrzeni kosmicznej. I oto po wielu nieudanych próbach otrzymała model takiego samego schematu gwiazd, widziany z gwiazdozbioru Sieci, w pobliżu gwiazdy Zeta Reticuli. Była to rewelacja i wielka sensacja! Prawdziwość tej mapy zdawał się potwierdzać jeszcze następujący fakt — oto tworzące na schemacie Betty Hill trójkąt gwiazdy: Kappa Fornax, Glise 95 i Glise 86.1, nie powinny się tam w ogóle znaleźć, gdyż pierwsza nie była jeszcze zaznaczona w katalogach ziemskich, a paralaksy dwóch pozostałych obliczono błędnie. Położenie tych dwóch ostatnich ustalono poprawnie dopiero w 1966 r. A więc w czasie, gdy Betty odtwarzała mapę, nikt na naszej planecie jeszcze nie wiedział, że wymienione gwiazdy tworzą akurat taki właśnie układ trójkąta. Model Marjorie Fish poddany został analizom i obliczeniom przy zastosowaniu komputerów. Okazało się, że wielu astronomów potwierdziło interpretację M. Fish.

W tym miejscu warto przytoczyć jeszcze jedną ciekawostkę. Otóż Betty Hill rysując mapę z całą pewnością stwierdziła, że z dołu z prawej strony widziała dwa największe i najjaśniejsze punkty, połączone wieloma ciągłymi liniami. Na modelu mapy M. Fish są to gwiazdy Zeta 1 Reticuli i Zeta 2 Reticuli. Wiadomo, że odległość gwiazd Zeta Reticuli od Słońca wynosi 37 lat świetlnych. A zatem, czy możliwe byłyby odbywanie tak dalekich podróży międzygwiezdnych? Amerykanin Stanton Friedman, fizyk atomowy, zadał sobie trud i obliczył, że przy prędkości lotu statku kosmicznego bliskiej prędkości światła i uwzględnieniu współczynnika relatywistycznego spowolnienia czasu na pokładzie statku lot taki z rejonu Zeta Reticuli na Ziemię trwałby tylko ok. 1 roku i 8 miesięcy. A więc byłby całkiem możliwy.

Tak, czy inaczej, przypadek zwany incydentem Zeta Reticuli jest najbardziej kontrowersyjnym i budzi do dziś spory zwolenników jego prawdziwości i sceptyków.

A oto kilka przypadków obserwacji UFO w Polsce.

31 lipca 1953 r. o godz. 19 na wyspie Wolin, na polu, w pobliżu torów kolejowych, siedmiu przygodnych obserwatorów — pięciu Polaków i dwóch Niemców — było świadkami przelotu jakiegoś obiektu latającego, który, po nagłym

Dokończenie na stronie 14

Ciąg dalszy ze strony 13

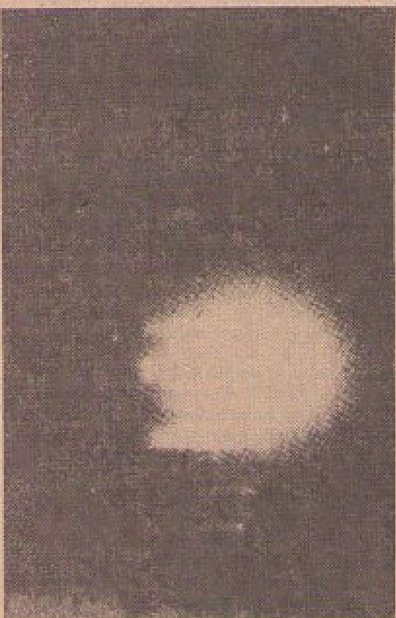
INWAZJA UFO!

# BLISKIE SPOTKANIA Z TAJEMNICĄ



zmniejszeniu prędkości i wysokości lotu, niespodziewanie wylądował. Zdumieni obserwatorzy stwierdzili, że nie był to żaden przymusowo lądujący samolot, a jakiś metaliczny obiekt w kształcie dysku, z licznymi otworami na obwodzie. Jego średnica w przybliżeniu wynosiła 22 m. Po kilku minutach tajemniczy statek raptownie wystartował i odleciał z dużą prędkością. Do tej pory jest to prawdopodobnie pierwsze odnotowane i potwierdzone przez kilku świadków lądowanie niezidentyfikowanego obiektu latającego na terenie Polski.

W styczniu 1957 r. ciekawe zjawisko zaobserwował w Milówce koło Żywca pan R.G. Ze swego mieszkania, stojąc na balkonie, zobaczył na niebie w lewo od widzianej na wprost góry, w kierunku wsi Istebna, trzy jasno świecące kule. Były symetrycznie ułożone względem siebie i miały mniej więcej jednakową wielkość. W kilka dni potem zauważył słońce, jak się wyraził, w niewłaściwym miejscu. Zaraz też zorientował się, gdzie ono znajduje się naprawdę. Zaobserwowana na niebie jakaś dziwna krwistoczerwona kula swym światłem zabarwiła całą okolicę. Niestety, świadek nie potrafił odtworzyć, w jaki sposób i kiedy zjawisko to znikło. Pani K. z tej miejscowości twierdziła, że widziała wyraźnie w powietrzu



lecący okrągły przedmiot koloru srebrzystobiałego. Kształtem przypominał kapelusz. Miał płaskie dno i u góry kopułę, ale nie spostrzegła na niej żadnych szczegółów. Jego średnicę oceniła na ok. 20 m. Dziwny obiekt nadleciał od strony Żywca na wysokości ok. 500 m. Kołysał się na boki i lśnił jak lustro w promieniach słońca. Po chwili wykonał nagły zwrot i odleciał ze znacznie większą prędkością na północy wschód, w kierunku wsi Borzęta, po czym zniknął za górami. Pani K. w rozmowie stwierdziła, że nie wie co to mogło być i że przedtem o żadnych latających talerzach ani nie słyszała, ani nie czytała.

Liczni przechodnie na ulicach miasta Skaryszew w województwie radomskim, w niedzielę 10 listopada 1957 r., na południowej stronie nieba, na tle bladego błękitu, zauważyli wyraźnie odcinający się przedmiot w kształcie wielkiego cygara. Świecił jaskrawym kolorem żółtozłocistym, a od spodu emanował barwę pomarańczową. Tajemnicze cygaro przesuwało się wolno ku zachodowi, a po upływie 30 minut „schowało się" za horyzontem. Mieszkańcy miasteczka byli pod wrażeniem tego zjawiska przez kilka dni.

Jakiś tajemniczy obiekt udało się przypadkowo sfotografować w Muszynie 22 grudnia 1958 r. ok. godziny 15.00 nieżyjącemu już lekarzowi warszawskiemu dr. Kowalczewskiemu, który przebywał tam na wypoczynku. Wydarzenie to tak zrelacjonował w tygodniku „Dookoła Świata": „... patrząc przez okno zauważyłem ciekawy odblask, jak gdyby zachodzącego słońca, przebijającego się przez chmury. Ponieważ zapomniałem zabrać ze sobą filtr fotograficzny, sądziłem, że tak silny odblask barwy pomarańczowo-żółtej pozwoli lepiej uwidocznić na zdjęciu chmury utrzymujące się nad grzbietem górskim. Skłoniło mnie to do sfotografowania pejzażu widocznego z mego okna, przedstawiającego drogę do Żegiestowa, tor kolejowy, a na dalszym planie rzekę Poprad i wznoszące się za nią wzgórze z drzewami na tle chmur. Odległość od mego okna do szczytu wzgórza wynosiła ok. pół kilometra. Zanim zdążyłem nacisnąć migawkę zza chmur wyskoczyła błyszcząca pomarańczowożółtawym światłem tarcza, którą wziąłem za słońce. Po paru dniach oddałem rolkę do wywołania fotografowi w Muszynie. Zdziwiłem się, gdy na odbitce w miejscu rzekomej tarczy słonecznej zobaczyłem dziwny ciemny przedmiot kształtu grubego dysku. Widoczne wyraźnie na zdjęciu cienie drzew oraz cień stojącego przed oknem masztu wskazują bez żadnej wątpliwości, że prawdziwe słońce znajdowało się w momencie fotografowania pejzażu daleko po prawej stronie. Okazało się więc, że w chwili robienia zdjęcia wziąłem za słońce jakieś inne zjawisko, które klisza wykazała jako ów tajemniczy przedmiot".

Redakcja „Dookoła Świata" dodała od siebie taki komentarz: „Fachowcy, którzy oglądali błonę filmową i odbitki, zgodnie twierdzą, że na kliszy utrwalono zupełnie autentyczne zjawisko, którego nie umieją wytłumaczyć..."

W dniu 20 sierpnia 1979 r. jeden z mieszkańców Świecia nad Wisłą — będąc na polowaniu w okolicach miejscowości Dziki, zauważył nagle, jak od strony horyzontu zbliża się w jego kierunku pomarańczowa kula, która z każdą chwilą stawała się coraz większa. Zainteresowany podniósł lornetkę do oczu i zastygł w bezruchu. Pomarańczowa kula okazała się być zaledwie oświetlonym przodem długiego na ok. 200 m cygara, które w pewnej chwili zatrzymało się w odległości ok. 400 m od przerażonego świadka. Stalowe cygaro wisiało nieruchomo nad ziemią na wysokości ok. 100 m przez ok. pół minuty. Cygaro miało rząd kilku okien świecących kolorem pomarańczowym. Mieszkaniec Świecia, który to zobaczył, nie mógł uwierzyć, że oto w powietrzu, bez żadnego odgłosu, wisi nieruchomo, jak się wyraził, „setki ton żelastwa". Zdał sobie sprawę, że jest świadkiem czegoś wyjątkowego, gdy wtem z pobliskich zabudowań usłyszał okrzyk przerażonego gospodarza: „A to co za cholera..." Po pół minucie z tyłu cygara wystrzelił snop iskier i obiekt nagle wystrzelił do przodu w ciągu sekundy niknąc bezgłośnie na horyzoncie. Obiekt ten parę minut wcześniej widziano w Jastrzębiu, Laskowicach Pomorskich, a potem w Czerwińsku nad Wisłą. W sumie obserwowało go 20 osób.

Starałem się tu przytoczyć i opisać nie tylko głośne, ale i jednocześnie ciekawe przypadki obserwacji UFO. Przemyślenia i wnioski pozostawiam Czytelnikom. Celowo opuściłem „przygodę" z UFO, jaką przeżył 10 maja 1978 r. Jan Wolski ze wsi Emilcin, gmina Opole Lubelskie, gdyż przypadek ten wymaga odrębnego i wnikliwego omówienia.

*JERZY DOMAŃSKI*

Ciąg dalszy ze strony 11

# JESTEŚMY ZAPROGRAMOWANI W KOSMOSIE?

**— *Działają liczne biura matrymonialne specjalizujące się w kojarzeniu par na zasadzie astrologicznego powinowactwa. Czy taki dobór gwarantuje małżeńskie szczęście?***

— Popieram działalność placówek, które pośredniczą w nawiązywaniu kontaktów między ludźmi, pomagają wyjść z samotności. Pod warunkiem jednak, że robią to uczciwie, bez szarlatanerii. Dobór małżonków na zasadzie korzystnych znaków z pewnością ma pozytywne znaczenie. Ale... Tak naprawdę poznajemy się dopiero w życiu, na co dzień, i bywa, że niekiedy w dwadzieścia lub więcej lat po ślubie, okazuje się, czy do siebie pasujemy.

**— *Karty. Magiczny rekwizyt do wróżb. Co z nich można wyczytać, jaki mają związek z ludzkim losem?***

— Mnie karty nie są potrzebne. Wystarczy data urodzenia. Ale rzeczywiście każda karta coś oznacza, symbolizuje określone treści. Zaś tradycje tej symboliki sięgają dawnych wieków...

Mam różnego rodzaju karty, na przykład bardzo ciekawe są benchardy, liczące sobie ponad 250 lat. W zależności od daty urodzenia każda karta co innego oznacza. Każda z nich ma siedem znaczeń. Poznanie ich zajęło mi trzy lata! Albo te karty, np. tarot, średniowieczne — nie ma w nich 13, wróżyli nimi Borgiowie. W starych kartach hiszpańskich nie ma dam. Kobieta się nie liczyła, więc cóż mogłaby mieć do powiedzenia? W kartach starochińskich, liczących ponad pięć tysięcy lat, zawarta jest cała filozofia Wschodu. Ich znaczenie trzeba tłumaczyć, przenosić na dzisiejszą rzeczywistość, by było zrozumiałe, co oznacza na przykład „ten sąsiad, co ukradnie ci ryż".

Karta i magia towarzyszy więc człowiekowi od wieków... Co ciekawe — większość osób, z którymi się spotykam, niezależnie od stopnia wykształcenia, oczekuje uzupełnienia tego, co mówię rozłożeniem kart.

**— *Kiedyś symbolem tajemniczości był księżyc. Dziś układ planetarny nie jest tak zagadkowy. Czy rozwój nauki wpływa na sposób czytania z gwiazd?***

— Wyprawy w Kosmos, rozmaite badania planet — to pasjonujące. Uważam, że żyjemy w jednej z najbardziej interesujących epok. Przed nauką, przed człowiekiem odkrywają się coraz to nowe możliwości poznania, to daje niesłychane szanse na przyszłość. Wiele spraw, wiele pojęć ulega zmianie. Myślę, że nowe odkrycia nie pozostają bez wpływu także na horoskopy.

**— *Czy to prawda, że zna Pani datę swojej śmierci?***

— Tak. I w niczym mi to nie przeszkadza. Śmierć jest zjawiskiem naturalnym, czeka każdego. Wiem, jak wykorzystać czas, który mi pozostał.

**— *Czy w tym roku gwiazdy zaświecą jaśniej?***

— Czeka nas niełatwy okres, nie tylko dla Polaków, ale dla dużej części świata. Najważniejsze, aby nie zatracić zdrowego rozsądku w ocenie wszelkich sytuacji. A mamy tendencje do komplikowania sobie życia.

**— *Czy odpowiada Pani na wszystkie listy?***

— To przekracza fizyczne i psychiczne możliwości. Ten stos listów, który tu leży, to korespondencja z dwu miesięcy. A jest ich pięć tysięcy.

**— *Przydałby się sekretariat...***

— To niemożliwe. Bazą mojej pracy jest pełna dyskrecja. Nikomu nie mogłabym powierzyć czytania tych listów.

**— *Czy znaki Zodiaku można dzielić na bardziej lub mniej szczęśliwe, dobre i złe?***

— Raczej należałoby powiedzieć, że ludzie urodzeni pod określoną datą wykazują większe lub mniejsze tendencje do komplikowania sobie życia. Znaki szczęśliwe? Trzeba by zdefiniować, co to jest szczęście. Między innymi to, czego oczekujemy od życia. Jeśli ktoś ma wygórowane ambicje zawodowe, dla kobiety najlepszym znakiem są Bliźnięta, dla mężczyzny Koziorożec.

**— *Po seansie nie czuje Pani zmęczenia?***

— Ogromne. Każdego człowieka odbieram bardzo emocjonalnie. Sprawy innych osiadają na mnie.

**— *Najlepsza metoda relaksu...***

— Absolutna cisza.

**— *Czy poza wróżeniem znajduje Pani czas na inne sprawy?***

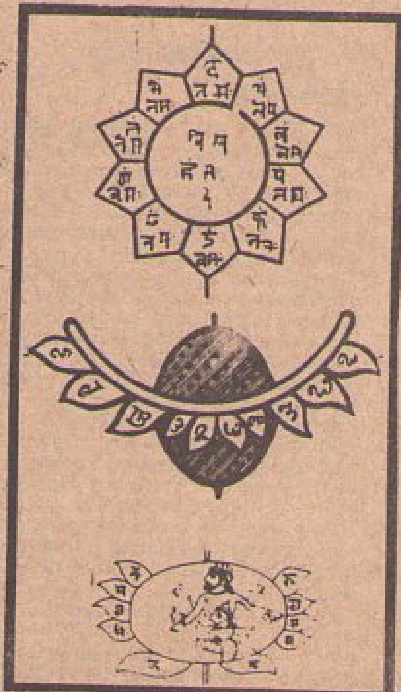
— Niewiele. Działam trochę w „Syrenie", moim macierzystym teatrze, mam także spotkania horoskopowe. Życie towarzyskie ograniczyłam do minimum, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto zapyta: „czy dobrze, że urodziłem się 14 grudnia?". Jest to bardzo uciążliwe. Ubolewam, że nie mam czasu czytać, że nie mogę poświęcić się drugiemu hobby — historii.

**— *Największe marzenie?***

— Chciałabym zdążyć przeczytać kilka książek i zwiedzić parę miejsc na świecie.

**— *Życzę, by się spełniło.***

Rozmawiała
LUCYNA ŁUCZYŃSKA



SFINKS

### 3. Seans z ekierką

**Liczba uczestników**: 4—8 osób. **Pomieszczenie**: Pokój o zasłoniętych oknach, oświetlony świecą. **Przyrządy**: 1/ Arkusz czystego papieru. 2/ Ekierka. W sprzedaży znajdują się ekierki bez trójkątnego wycięcia w środku. Taka właśnie nadaje się najlepiej do naszych celów. Trzeba wybrać ekierkę średniej wielkości, w kształcie trójkąta równoramiennego. W najostrzejszym kącie ekierki wywierca się otwór tak szeroki, aby można w nim ściśle osadzić ołówek (Rys. 3 A).

Ołówek nie powinien być na końcu zatemperowany stożkowo, lecz trzeba ściąć go prostopadle do tkwiącego wewnątrz grafitu, aby był widoczny na długość około 1 cm (Rys. 3B). Ołówek osadza się w ekierce tak, aby na dole wystawał tylko grafit (Rys. 3C).

**Przebieg seansu**: Obecni opierają lekko po dwa palce prawej ręki na krawędzi ekierki „stojącej" na arkuszu papieru i oczekują na zjawiska... Kiedy zostanie ona przez spirytystyczne siły wprowadzona w ruch, skonstruowany przyrząd zacznie przesuwać się, wskutek czego ołówek kreśli z początku jakieś niewyraźne zygzaki, z których jednakże później wyłaniają się słowa, zdania, a nawet rysunki.

### 4. Seans z pukającym stolikiem

**Liczba uczestników**: 6—10 osób. **Pomieszczenie**: Zupełnie ciemny pokój, oświetlony jedynie tabliczką fosforyzującą. Sporządza się ją w następujący sposób: deseczkę powlekamy warstwą gumy arabskiej, obsypujemy siarczanem wapnia lub strontu i odkładamy do wyschnięcia. Przed seansem trzeba ją naświetlić wystawiając na kilka minut na działanie słońca lub światła elektrycznego. **Przyrządy**: Stolik. Najlepiej okrągły o trzech nóżkach, nie posiadający śrub i gwoździ.

**Przebieg seansu**: Uczestnicy siadają wokół stolika, tworząc tzw. łańcuch. Dłonie z rozpostartymi palcami kładzie się na krawędzi blatu, tak, aby sąsiadujące z sobą osoby stykały się małymi palcami. Istnieje też potrzeba, aby uczestnicy stykali się nawzajem stopami.

Po pewnym czasie stolik zaczyna poruszać się, najpierw nieznacznie, potem coraz silniej. Nieraz stoi spokojnie, za to dają się słyszeć lekkie pukania w blat, jakby ktoś uderzał końcem zaostrzonego ołówka.

Jeżeli po upływie pół godziny żadne z tych zjawisk nie nastąpiło, kierownik nawołuje kilkakrotnie siły astralne do zamanifestowania swej obecności.

Pierwszym pytaniem, z jakim prowadzący zwraca się do duchów, jest prośba o informację, który z grona uczestników posiada najsilniej rozwinięte własności medialne. Ta osoba podczas doświadczeń powinna zajmować przy stoliku takie miejsce, aby była zwrócona twarzą na północ.

Rozmowę z siłą, poruszającą stolik, ustala się w ten sposób, że umawia się, aby jedno puknięcie oznaczało „nie", a trzy — „tak". Jeżeli pytanie wymaga czegoś więcej, niż potwierdzenia lub zaprzeczenia, wówczas prowadzący wypowiada kolejno głoski alfabetu i tę, przy której stolik puknie, trzeba zanotować w pamięci.

**Opr. ALEKSANDER RAWSKI**

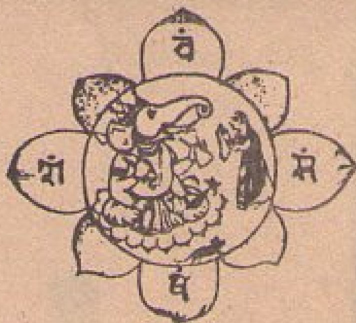
**PS. Ludzie traktujący spirytyzm z „przymrużeniem oka" mogą odnosić się do powyższych eksperymentów z pewnym lekceważeniem. Jednak spróbować warto! W następnym numerze: „Jak rozwinąć zdolności medialne".**



**Rozmowa z JÓZEFINĄ PELLEGRINI**

Are we programmed in the Universe?

# JESTEŚMY ZAPROGRAMOWANI W kosmosie ?



***— Czy wróżenia można się nauczyć, czy trzeba mieć do tego specjalne predyspozycje?***

— Bez wątpienia jest kilka warunków niezbędnych, by zajmować się tym, czym ja się zajmuję. Przede wszystkim specjalny rodzaj intuicji. Chciałabym podkreślić, że nie uważam siebie za wróżkę dlatego, że celem mojej pracy nie jest przepowiadanie przyszłości. To, co robię wynika z zainteresowania człowiekiem, jego sytuacją życiową, problemami. Na poznanie ludzkiej psychiki poświęciłam dużo czasu, wiele lat nauki. Intuicję miałam zawsze, ogromną, w sensie odczuwania drugiego człowieka. Trzeba mieć w sobie pewien typ wrażliwości, by wróżyć. Nie wszyscy ludzie to mają. Poza tym nauka, praktyka, doświadczenie życiowe. U mnie wszystko to się jakoś zbiegło i dlatego staram się być pomocna ludziom, którzy do mnie przychodzą.

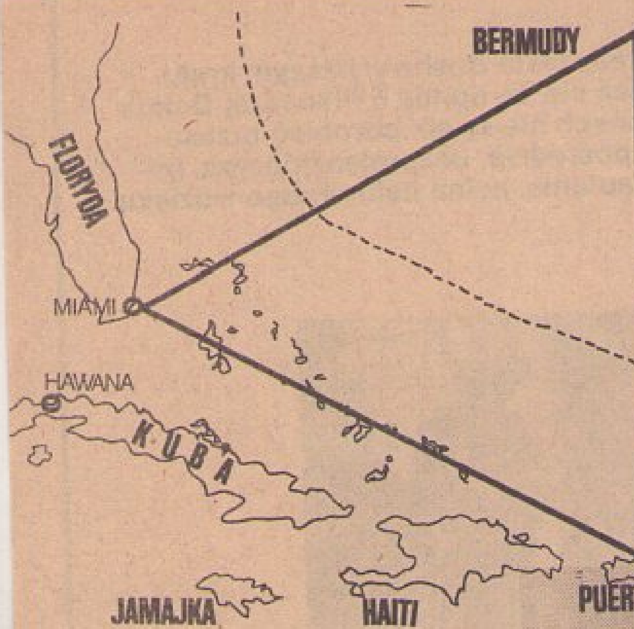
***— Kim zatem Pani jest, jeżeli nie wróżką?***

— Osobą słuchającą. Ludzie powierzają mi rozmaite osobiste sprawy, a ja, w miarę swoich możliwości, staram się obiektywnie naświetlić sytuację życiową. Czasem pomagam im się po prostu „odnaleźć" — nie zawsze każdy potrafi obiektywnie ocenić swoje poczynania, zrozumieć swoją rolę w życiu. Dlatego muszę być bardzo krytyczna i nie brać wyłącznie pod uwagę znaku Zodiaku, pod którym ktoś się urodził, lecz twarde reguły życia.

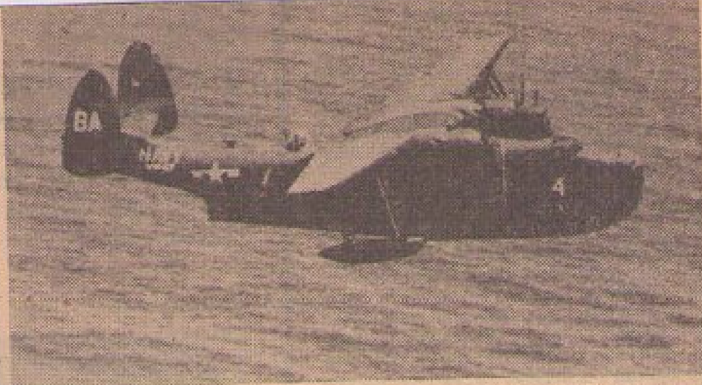
***— Pyta Pani o dokładną datę urodzenia. Czy naszą przyszłość określa konstelacja gwiazd? Jesteśmy zaprogramowani w Kosmosie?***

— Ja zawsze twierdzę, że życie człowieka, to, jak się ono ułoży, w dużej mierze zależy od nas samych, pomijając oczywiście różne wypadki losowe. Na podstawie układu gwiazd w momencie narodzin człowieka, istotnie można określić pewne cechy fizyczne i psychiczne danej osoby. Jej predyspozycje, uzdolnienia, skłonności do chorób. Żeby sporządzić horoskop konieczna jest znajomość ascendentu, to znaczy znaku, który znajdzie się o wschodzie słońca w momencie przyjścia na świat danej osoby. To nas niejako programuje. Na przykład — zupełnie inne są cechy człowieka urodzonego pod znakiem Raka w ascendencie Ryby, a zupełnie inne Raka urodzonego w ascendencie Koziorożca. Dopiero zestawienie tych dwóch znaków daje pełny obraz. Między innymi na tej podstawie sporządza się specjalne horoskopy. Znakomicie robi to poznański astrolog o międzynarodowej sławie, dr **Leszek Weres**. Horoskopy rysunkowe, z dokładnie nakreślonym układem gwiazd w momencie narodzenia danego człowieka.

Ciąg dalszy na stronie 17




Oto on — osławiony „TRÓJKĄT ŚMIERCI" — rozciągający się pomiędzy Florydą, Wyspami Bahama i Bermudami.



Latająca łódź — hydroplan „Martin-Mariner". Wyleciał z bazy 5 grudnia na poszukiwanie płatki zaginionych Avengerów i był to także jego... ostatni lot. (MAJ)



Statek brytyjski — „Cyclops" — jego tajemnicze zaginięcie wiążą niektórzy z działalnością niemieckich U-Bootów, na co jednak brak jakichkolwiek dowodów.

# Ofiary TRÓJKĄTA BERMUDZKIEGO

The Bermuda Triangel's victims vanished without traces...

# Zaginęły bez wieści...

**Kilkadziesiąt jednostek pływających i samolotów. Ponad tysiąc marynarzy i lotników, oraz ich pasażerów... To ofiary osławionego TRÓJKĄTA BERMUDZKIEGO, lub — jak kto woli — trójkąta śmierci. Oto zestawienie zaginionych jednostek do lat siedemdziesiątych. O późniejszych tego typu przypadkach napiszemy w kolejnych numerach „Sfinksa".**

Planes

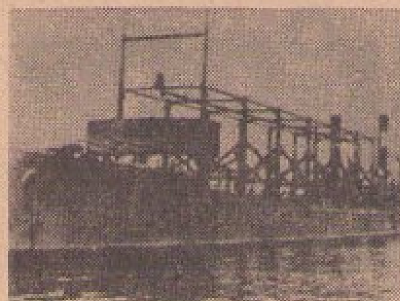
## SAMOLOTY

| | |
|---|---|
| Lot nr 19. 5 Avengerów | 1945 |
| Martin Mariner | 1945 |
| Star Tiger | 1948 |
| Douglas DC-3 | 1948 |
| Star Ariel | 1949 |
| Globomaster | 1950 |
| York | 1953 |
| Super Constellation | 1954 |
| Martin Marlin | 1956 |
| KB-50 | 1962 |
| Piper Apach | 1962 |
| 2 tankowce KC-135 | 1962 |
| C-119 | 1963 |
| Chase 122 | 1963 |
| Beechraft Bonanza | 1967 |
| Piper Apach | 1967 |
| Horton | 1969 |
| Phantom | 1971 |
| Warren | 1971 |

Ships:

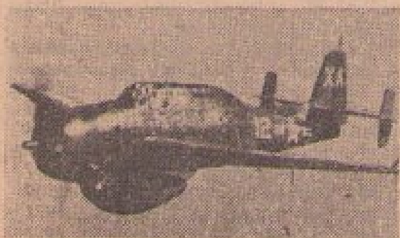
# STATKI I OKRĘTY

| Nazwa | Data tragedii |
|---|---|
| Rosalie | 1840 |
| Bella | 1854 |
| Mary Celeste | 1872 |
| Atlanta | 1880 |
| Ellen Austin | 1881 |
| Freya | 1902 |
| Spray | 1909 |
| Cyclops | 1918 |
| Carol Deering | 1921 |
| Raifuku Maru | 1925 |
| Cotopaxi | 1925 |
| Suduffco | 1926 |
| Stavanger | 1931 |
| John and Mary | 1931 |
| La Dahoma | 1935 |
| Gloria Colita | 1940 |
| Proteus | 1941 |
| Nereus | 1941 |
| Rubicon | 1944 |
| City Belle | 1946 |
| Driftwood | 1948 |
| Sandra | 1950 |
| Southern Districts | 1954 |
| Connemara IV | 1955 |
| Revonoc | 1958 |
| Matine Sulphur Queen | 1963 |
| Sno Boy | 1963 |
| Wichcraft | 1967 |
| Scorpion (okr. podw.) | 1968 |
| Teignmouth Electron | 1969 |
| Billy Verity | 1969 |
| Jilly Bean | 1970 |
| Elisabeth | 1971 |
| El Caribe | 1971 |
| V.A. Fogg | 1972 |
| North Variant | 1973 |
| Anita | 1973 |
| Linda | 1973 |



U.S.S. „Cyclops" — (fot. u góry) — zaginął w Trójkącie w maju 1918 roku.

Grumman — Avenger (poniżej). Pięć takich maszyn zaginęło bez śladu i bez wieści w najdziwniejszym, po dziś dzień nie wyjaśnionym przypadku, jaki miał miejsce w Trójkącie Bermudzkim 5 grudnia 1945 roku.



Ciąg dalszy ze strony 19

# PIERWSZA BABCIA AMERYKI

czasie następnych szczytów amerykańsko-radzieckich będzie porównywana do eleganckiej Raisy Gorbaczow, powiedziała: „Historia lubi się powtarzać. Będę wyglądać mniej więcej tak jak Nina Chruszczow przy Jacqueline Kennedy". Mimo to nie ma żadnych kompleksów i absolutnie nie przejmuje się ani tym, że mówią o niej „Pierwsza Babcia", ani że podejrzewają ją o wiek matuzalemowy. W czasie kampanii wyborczej trochę ją denerwowały złośliwości w rodzaju stwierdzenia, że George Bush prowadzi kampanię w towarzystwie... mamusi, ale to przede wszystkim ze względu na męża. Po obejrzeniu swoich opublikowanych zdjęć powiedziała z humorem: „Gdyby na polu było tyle bruzd, co zmarszczek na mojej twarzy i posadzono by w nich kartofle, byłby z tego niezły zysk".

Na przekór narcystycznemu lobby, preferującemu młodość za wszelką cenę, Barbara Bush ani myśli coś zmieniać w swoim wyglądzie. Niejednokrotnie specjaliści od wyborów namawiali ją w trakcie kampanii do zmiany swego image. Odpowiadała łagodnie, ale stanowczo: „Mogę zrobić prawie wszystko, czego ode mnie wymagacie, z wyjątkiem zmiany garderoby, ufarbowania włosów i schudnięcia". Nadal więc ubiera się workowato, w bezkształtne suknie i bardzo dyskretnie się maluje. Do włosów nie pozwala się dotknąć i oficjalnie tłumaczy tę niechęć do farby pewną przygodą, która miała miejsce w trakcie kampanii wyborczej do Senatu. „Przed wyjazdem — wspomina ze śmiechem — namówiono mnie do odwiedzenia renomowanego salonu piękności, gdzie zrobiono ze mnie szatynkę. W samolocie zepsuła się klimatyzacja, a był upał nie do wytrzymania. Farba, widać nie najwyższej jakości, popłynęła i zrobiła ze mnie indiańskiego wojownika w wojennym makijażu. Zużyłam wszystkie chusteczki higieniczne i cały samolotowy zapas papieru toaletowego, by doprowadzić się do jakiego takiego wyglądu. Od tamtej pory mam uraz do farb".

W rzeczywistości nie jest to prawdziwy powód utrzymania siwizny od 35 lat. Najbliżsi wiedzą, że Barbara Bush osiwiała w czasie nieuleczalnej choroby drugiego dziecka, córeczki Robin. W marcu 1953 roku wydawało się, że nic nie zagraża rodzinnemu szczęściu państwa Bushów. Interesy naftowe Georga szły świetnie, w domu rosła trójka dzieci i nagle 3-letnia Robin zachorowała na białaczkę. Barbara nie tylko osiwiała, ale wpadła w kompletną depresję. Z wielomiesięcznej apatii wyrwała ją dopiero przypadkowo usłyszana rozmowa starszego syna z kolegami, który tłumaczył, że nie może się z nimi bawić, bo zasmuci mamę. Otrząsnęła się, wróciła do życia, a w rok później przyszedł na świat kolejny syn, Neil.

Przez pamięć Robin, Barbara Bush bardziej czynnie zaangażowała się w walkę z białaczką wśród dzieci. Poza tym starała się mieć maksymalnie zajęty czas, by nie rozpamiętywać nieszczęścia. To właśnie jej zasługa, że Georg Bush poświęcił swe naftowe interesy na rzecz polityki. Początki nie były łatwe, ale Barbara podtrzymywała męża na duchu wierząc weń nawet wówczas, gdy nikt nie spodziewał się po nim zbyt wiele. Wiara czyni cuda jak wiadomo i w końcu okazało się, że rację miała ona. Mówią o niej, że przypomina żony pionierów zdobywających Dziki Zachód, zawsze gotowe trwać przy swych mężach na dobre i na złe, broniąc ich dobrego imienia niczym lwice. Jeden z doradców prezydenta tak określił jej postawę: „Jeżeli ktoś ośmieli się skrytykować Georga publicznie, może uważać się za trupa. Dla niej przestaje istnieć".

Barbara Bush stanowi ostoję nie tylko dla męża. Wiadomo powszechnie, że to właśnie ona jest głową trzypokoleniowej 50-osobowej rodziny, ceniącą przede wszystkim takie wartości jak rodzina i poszanowanie tradycji. W każde wakacje dom państwa Bushów wypełnia się gwarem i tupotem dziecięcych nóg. Najchętniej miałaby zawsze przy sobie wszystkie dzieci i wnuki.

W młodości Barbara Pierce, córka bogatego wydawcy, była bardzo ładna. Zaręczyła się z równie zamożnym Georgem Bushem w tajemnicy, a w 11 miesięcy później wyszła za niego za mąż mając 20 lat. Po 44 latach małżeństwa wciąż tak samo kocha swojego Georga. Nie jest to miłość widowiskowa jak u Nancy Reagan. Bardziej dyskretna, nie afiszująca się. „Powodem, dla którego nasze małżeństwo jest takie udane — mówi pani Bush — jest to, że bardzo wiele ze sobą rozmawiamy a Georg na co dzień jest bardzo sympatyczny, pogodny. Poza tym mamy podział obowiązków. Georg zajmuje się polityką a ja domem". Rzeczywiście tak jest, pani Bush nie wtrąca się do spraw mężowskich. Po prostu jest obok, dba o jego dobre samopoczucie i jedynie, gdy go ktoś atakuje potrafi kontratakować jak lwica. Gdy w czasie kampani wyborczej ktoś oskarżył Busha o rasizm, zareagowała z oburzeniem. „Jeżeli ktoś mówi, że mój mąż jest zniewieściały czy niezbyt mądry, to mogę się czuć jedynie obrażona, ale gdy nazywa rasistą człowieka, który ma synową Meksykankę i trójkę wnucząt z czarnymi łebkami, to już prawdziwa zniewaga i totalna bzdura".

Ameryka bardzo szybko polubiła Barbarę Bush i jej tryb życia, który poza oficjalnymi obowiązkami, specjalnie się nie zmienił. Pierwsza Babcia Ameryki wstaje codziennie o szóstej rano i przy dźwiękach ulubionej muzyki country gimnastykuje się dla zachowania dobrej formy. Lubi dużo chodzić, a nawet biegać, gra w tenisa. Ostatnio domowe obowiązki zwiększyły się, bo ukochana suczka, biało-rudy cocker-spaniel, urodziła szczeniaki. Pani prezydentowa nie tylko asystowała przy porodzie ale cały czas osobiście pielęgnuje psie dzieci, wyprowadza je na spacer i jedynie ważne obowiązki wagi państwowej są w stanie oderwać ją od ukochanych zwierzątek.

Zapytana, co chciałaby żeby Ameryka o niej myślała, odpowiedziała z właściwym sobie poczuciem humoru: „Że Pierwsza Babcia Ameryki ma młode i piękne wnętrze".

**Opr. EWA OLBRYCH**

STAN SHELL

# OPOWIADANIE FANTASTYCZNO-NAUKOWE

**Od chwili wynurzenia się na tym brzegu, odgrodzonym od lądu nieprzebytymi górami — a od morza niebezpieczną strefą przyboju, pełną olbrzymich trujących alg, wężowideł i wielkich krabów — kolonia Ocalonych musiała wydzierać morzu pożywienie, przeciwstawiać sią złu, które lęgło się w górach i tworzyć tutaj nową społeczność, zdolną przetrwać wszelkie przeciwności losu i natury.**

**Byli znowu na tej samej ziemi — ale odmienionej — i nie wiedzieli, ile czasu trwała Misja Ocalenia. Bowiem pamięć głównego komputera została całkowicie zatarta. Reaktor wyczerpał dawno swoją moc, maszyny pokładowe stały w bezruchu, „wysiadała" z upływem czasu cała elektronika.**

inne zaburzenia, większość nosiła szpetne, fioletowe blizny po przemrożeniach i martwicy. Dla przyszłości liczyli się oczywiście ci, którzy urodzili się już tutaj. Ale po dwudziestu latach od wylądowania nie zdołano przekroczyć gór. Mimo, że nie były zbyt wysokie.

W nie wyjaśnionych okolicznościach ginęły tam wszystkie wysłane dotąd patrole. Co prawda wysyłano je bez broni, bo pozostał sprawny tylko jeden karabin laserowy i jeden pakiet baterii solarnych. W końcu komandor Doc Quinx postanowił zaryzykować i posłać patrol, wyposażony

ło. Całość oplatała spirala akceleratora, a magnesy, kondensatory i osprzęt elektroniczny upodabniały miotacz do działa protonowego w miniaturze.

Ken spojrzał na różowiejące szczyty Raumo-Gee i według ich blasku ocenił, że jest już chyba siódma rano. Nie przywykł jeszcze do braku zegarka. Jako Pionier nosił tutaj zegarek przez wiele lat, dopóki nie skończyły się ostatnie baterie. Ustawił miotacz w kierunku przeciwległej przełęczy i rozsiadł się wygodnie w naturalnym zagłębieniu skał.

Suchy trzask i mała lawinka kamieni na obserwowanym zboczu spowodowała, że sięgnął po połówkę starej lornetki, którą trzymał w kieszeni bluzy. Ale nic specjalnego nie było widać. Wszystkie usypiska i stożki skalne wyglądały jednakowo i zapewne pęknięcia skał i lawiny kamienne były wynikiem naturalnej erozji i wahań temperatury.

W leżącej przed nim kotlinie smużyła płatami mgiełka, która powinna zniknąć pod pierwszymi promieniami słońca. W miarę, jak nad szczytami blask stawał się ostrzejszy, na przełęczy rozjaśniało się z każdą chwilą.

Jednak obraz przez lornetkę był ciemny i nieostry, bo była to stara lornetka i dużo brudu nagromadziło się między soczewkami.

Ken zdjął więc osłonę z lunety miotacza i spojrzał przez wizjer. Mroczne zarysy nieruchomych kształtów — ni to skał, ni to



# Skałozwierz

Bęben „Wielkiego Hibernatora", który uratował tych kilkaset wybranych od nuklearnej zagłady, pogrążył się w Rowie Mariańskim już po pierwszych, dalekich rozbłyskach jądrowych — a wynurzył się tutaj, nie wiadomo na jakim brzegu i po jakim czasie. Nie nawiązano żadnej łączności, ich radiostacja nie odbierała żadnych sygnałów, i chyba nie było już nawet satelitów, okrążających planetę. Lifeboaty, z aluminium i plastików, którymi usiłowano sforsować niebezpieczny przybój — rozpadały się dosłownie w oczach. Zżerała je korozja czasu. Był to jeden z dowodów, że upłynęło go dużo i dlatego parametr czasu nie był ulubionym tematem rozmów. Nie wszystkim bowiem długotrwała hibernacja wyszła na zdrowie. Ci, co przeżyli, cierpieli na luki pamięciowe i

w tę ich ostatnią broń. Przeciw komu? Badania nad przeobrażonymi organizmami, dziwacznymi mutantami pozostałych gatunków roślin i zwierząt wykazały, że takiego szoku jądrowego, jaki przeszła planeta — nie mogły przetrwać stworzenia wyższego rzędu...

* * *

Ken wszedł pierwszy na przełęcz i zdjąwszy z pleców miotacz kwantowy, ustawił go ostrożnie na kamieniach. Na Larrego zaczeka jeszcze przynajmniej pół godziny, bo Larry dźwigał znacznie cięższy ładunek — kolektory solarne. Ken nazywał swój miotacz po staremu karabinem, chociaż poza lunetą i czymś w rodzaju lufy w niczym karabinu to nie przypomina-

kamiennych stożków były teraz w ostrym cieniu, bo patrzył pod słońce, wynurzające się spod poszarpanych szczytów. Zaczął mieć wątpliwości, czy wszystko jest tam tak samo, jak wczoraj? Ten jeden dziwaczny stożek...

Dostał z boku jakieś wybrzuszenie, czy narośl? Ale w perspektywie powietrznej mogło to być złudzeniem.

— Zobaczymy, co pokaże dziś dalmierz — pomyślał — w bateriach powinno zostać trochę energii na taki pomiar... Włączył więc urządzenie — i szpetnie zaklął. Na tle celownika błysnął zielony napis: „Laser Gun — High Power — Western Dynamics Co." — i choć trwało to ułamek sekundy, zjadło resztki wczorajszej energii. Diagram mocy i dystansu, który pojawił się potem, był już blady i nieczytelny. Zgasł

1/5/52



# I DISCHI VOLANTI SONO UNA REALTÀ

*...comando delle Forze Aeree degli Stati Uniti ha ordinato alle squadriglie da caccia e a tutte le stazioni di avvistamento "radar" sparse nel Paese, di stare in allarme e di riferire su eventuali ed insolite apparizioni di "oggetti volanti"*

di LUIGI CONFALONIERI

...fu un momento, tre anni fa, in cui tutti i giornali non parlavano altro che di dischi vo... e non passava giorno che, in ...che parte del mondo, non fos... segnalate apparizioni dei mi... oggetti volanti. Poi col tem... la frenesia si calmò e così su... in molti la convinzione che ...chi volanti altro non fossero una invenzione di giornalisti ...to di argomenti sensazionali. ...da un po' di tempo in qua, sia ...in sordina e con le cautele ...circondano sempre gli studi ...ifici seri, si torna a parlare ...ischi volanti e questa volta, ...rio per la reticenza che si in... quando si vuole indagare da vicino tutta la questione, ...gna pensare che ci si trovi di ...e a qualche cosa di veramente ...ionale. E due fatti ce lo con...ano. Primo, che il comando ...Forze Aeree degli Stati Uniti ...occupando attivamente della ...ione (mentre negli anni pas... era rimasto assolutamente ...raneo al clamore giornalistico) ...che anzi ha invitato la popola... americana a segnalare l'appa...ione di ogni oggetto volante non ...ificato dando contemporaneamente ordine alle sue squadriglie di cacciatori e alle sue catene radar di stare sempre all'erta; secondo, il fatto stesso che la questione, dopo alcuni anni, torni nuovamente di attualità. Se poteva infatti darsi che persone eccitabili, sotto l'incalzare delle notizie che, tre anni fa, comparivano quotidianamente sui giornali, finissero per illudersi scambiando così un'onesta nuvoletta per un disco pieno zeppo di marziani, oggi, dopo che il silenzio era caduto sulla questione, non si può più parlare di allucinazioni o di autosuggestione. Tanto più che le ultime segnalazioni provengono tutte da persone la cui capacità d'osservazione è fuori dubbio.

## INSEGUONO UNA V. 2

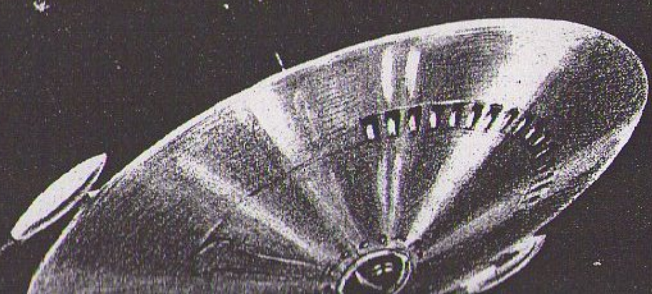
Astronomi, meteorologi, aviatori, addetti alle stazioni sperimentali di razzi tipo V 2, persone insomma dalla mente fredda e abituate a scrutare il cielo, hanno potuto osservare recentissimamente nuove manifestazioni dei dischi volanti. Tra esse è quella di White Sands, la più notevole, anche per il fatto che non fu registrata con gli occhi, facilmente ingannabili, ma dal radar e nessuno avrà il coraggio di venire a dire che il radar soffre di allucinazioni o di autosuggestione. Recentementte, dunque, alla base di White Sands, nel Nuovo Messico dove si studiano missili radiocomandati, fu lanciato un razzo tipo V. 2 e il suo volo fu seguito, come di consueto, sullo schermo del radar. D'improvviso, furono visti due oggetti avvicinarsi al razzo. Avevano la forma di dischi e misuravano circa trenta metri di diametro. Per alcuni secondi seguirono il razzo, poi si elevarono a folle velocità sino a 90 chilometri di altezza. Là giunti, movendosi a 30 mila chilometri all'ora si allontanarono in direzione orizzontale e il radar li seguì per lungo tratto, sin quando sparirono dal suo raggio d'azione. Altra recente apparizione di dischi volanti è quella dell'estate scorsa quando una formazione di parecchi dischi brillanti e argentei disposti a V come le anitre selvatiche, attraversò tutto il Texas facendosi osservare in località diverse, lontane fra loro parecchie centinaia di chilometri, di modo che l'allucinazione collettiva è assolutamente da escludere.

L'11 aprile scorso, poi, piloti e studiosi della base di palloni-sonda del Minnesota dichiararono di aver seguito, con i teodoliti con cui seguono il volo dei palloni, "oggetti, aerei di origine sconosciuta". Secondo tale dichiarazione, gli "oggetti" si muovevano a scatti raggiungendo in pochi istanti velocità definite "terribili". Pochi giorni dopo il comando della più importante base canadese di aerei a reazione, quella di North Bay, 350 km. all'ovest di Ottawa, faceva sapere che la questione dei dischi volanti "non è materia di riso". Quando si pensi che essa è destinata alla difesa delle più grandi città dell'America settentrionale, comprese New York, Boston, Buffalo, Cleveland, Detroit e Chicago e che perciò è munita di tutti i più moderni mezzi di intercettazione, bisogna riconoscere che le "sfere rosse" non possono essere il prodotto di allucinazioni. E infatti, interrogato in proposito, il dottor C. J. Mackenzie, direttore della produzione atomica canadese, uno scienziato di fama mondiale, ha detto: « Questa notizia non può essere considerata come una sciocchezza ». E il dottor Peter Hillman, astronomo e fisico: « Non possiamo ridere di queste osservazioni ».

In seguito a questi fatti, il 17 aprile, la RAF canadese ha aperto una rigorosa inchiesta.

Contemporaneamente anche dall'Inghilterra giungono analoghe segnalazioni. Il 20 aprile, il *Sunday Dispatch* ha pubblicato un lungo articolo in cui sono elencate numerose apparizioni.

Queste e altre segnalazioni di carattere scientifico e ufficiale, pongono la questione dei dischi volanti su un piano completamente diverso da quello in cui si trovava qualche anno fa. Allora, anche il più sfegatato fautore dei dischi aveva sempre il dubbio che le notizie su cui basava le sue ipotesi fossero poco attendibili. Oggi questo dubbio non è più possibile, e perciò tutta la questione va rivista con fredda scrupolosità. Che gli oggetti esistano è ormai certo. Senza dubbio molte segnalazioni, specialmente





Un disegno schematico di una formazione di "dischi volanti" secondo le recenti apparizioni confermate da alcune fotografie eseguite il 30 agosto scorso. Il governo degli Stati Uniti, che fino a poco tempo fa non si era ufficialmente espresso sulla esistenza delle misteriose macchine volanti, è ora uscito dal suo riserbo ed ha anzi ordinato alle Forze Aeree e alla popolazione civile di vigilare sulla eventuale presenza nei cieli americani di oggetti sconosciuti. Il 17 aprile il Comando della importante base canadese di aerei a reazione ... a North Bay, munita dei più perfetti sistemi di avvistamento, ha comunicato di avere osservato alcune "sfere rosse" procedenti a velocità supersonica al di sopra di essa.

quelle degli anni scorsi, sono da ritenere frutto di fantasia, ma un certo numero di esse sono vere. Se dunque i dischi esistono, da dove vengono? Essi posseggono caratteristiche, ormai accertate attraverso severi controlli, che nessun altro oggetto volante di provenienza terrestre possiede: velocità formidabile, possibilità di cambiare rotta istantaneamente, silenziosità di funzionamento, strana luminescenza. Doti tutte che confermano non trattarsi di apparecchi umani. Se un nostro aeroplano si mettesse a volare a 30 mila chilometri all'ora, esso verrebbe immediatamente sbriciolato dall'attrito contro l'aria.

Altro fatto importantissimo da prendere in considerazione è quello del combustibile. Quanto più un oggetto raggiunge forti velocità tanto maggiore è la quantità di combustibile che consuma. I dischi volanti dovrebbero, data la loro forma che non sembra adatta a contenere grandi serbatoi, avere le loro basi nella vicinanza dei luoghi in cui appaiono. Ma se queste basi esistessero si verrebbe a saperlo perché in America è impossibile che una notizia si possa tener segreta. Se dunque i dischi volanti giungono da lontano e se non hanno grandi possibilità di riempirsi di combustibile, significa che i loro mezzi di propulsione sono diversi da quelli conosciuti sulla terra. A questo punto si potrebbe dire che i dischi sono l'arma segreta di qualche potenza che si sta preparando a una nuova guerra o a qualche cosa del genere. Ma quest'ipotesi è assolutamente da scartare per il semplicissimo fatto che se davvero si trattasse di armi segrete queste armi non verrebbero fatte volare su luoghi abitati ma verrebbero sperimentate in zone deserte di cui la terra è ancora ricca. Inoltre è difficile credere che una qualsiasi nazione sia in uno stadio tanto avanzato di perfezione tecnica da poter costruire ordigni simili ai dischi volanti. Oggi la scienza, pur nelle sue branche più circondate di segreti, è, per lo meno nelle linee generali, di dominio comune. E i dischi volanti non sono il prodotto di un singolo segreto o di una singola scoperta, ma derivano, come dimostrano le numerose particolarità di cui abbiamo detto prima, da una civiltà tecnica superiore alla nostra.

Come è noto, quando ci fu la prima apparizione di dischi volanti, ma a cui gli uomini sono preparati da millenni. Da Metrodoro a Luciano di Samosata, da Kant a Goethe sino a gran numero di astronomi moderni, l'idea di considerare abitati altri pianeti è sempre stata tenuta presente e considerata molto plausibile. Del resto i più recenti studi su Marte hanno mostrato senza possibilità di dubbio che la superficie di quel pianeta è coperta da vaste distese di muschi e di licheni che, quando viene l'autunno marziano, ingialliscono per poi nuovamente verdeggiare al giungere della primavera. La vita (anche se limitata a questa manifestazione vegetale) non è dunque un fenomeno soltanto terrestre. Comunque, esposta tutta la questione, non vogliamo andar oltre. Poiché ormai i dischi sono studiati con rigore scientifico, lasciamo a chi di dovere il compito di indagare a fondo la questione e di dare la soluzione del mistero.

Resterebbe da domandarsi perché mai i dischi si avventurino sino alla terra, senza però posarsi sulla sua superficie. Siccome è certo, date le fortissime accelerazioni a cui i dischi sono sottoposti nel loro moto, che esseri simili all'uomo troverebbero la morte dentro di essi, bisogna concludere che i dischi o sono radioguidati, e allora non avendo nessuno a bordo non sbarcheranno mai nessuno e perciò non si fermeranno mai sulla superficie terrestre, oppure contengono esseri piccolissimi, non più grandi di un insetto, esseri che evidentemente ci penseranno due volte prima di avventurarsi su un pianeta abitato da giganti.

### DUE ANNI DI VIAGGIO

Diciamo subito che è del tutto impossibile che i dischi volanti vengano da pianeti fuori del sistema solare. La stella più vicina a noi, infatti, è così lontana che la quantità di combustibile necessaria per percorrere il tragitto fra essa e noi impedirebbe al razzo di muoversi, senza tener conto del fatto che ci vorrebbe almeno un millennio di tempo a compiere il cammino.

Se dunque esistono, i dischi volanti provengono da un pianeta del sistema solare, Venere o Marte probabilmente. Ammesso che essi volino a quarantamila chilometri all'ora (velocità che tutti gli studiosi ritengono indispensabile per potersi avvicinare alla terra senza farsi afferrare dalla forza di gravità e

ALLA CONQUISTA DELLO SPAZIO

# L'ORGANISMO UMANO E IL VOLO INTERPLANETARIO

**del prof. RODOLFO MARGARIA, direttore dell'Istituto di fisiologia dell'università di Milan**

*« Oggi » inizia da questo numero il servizio più completo e preciso sull'attualissimo problema del volo interplanetario, che gli ultimi progressi della tecnica hanno ormai risolto sul piano della progettazione. La gigantesca astronave che muoverà alla conquista dello spazio potrà essere allestita tra circa dieci anni, stando alle dichiarazioni del professor Wernher von Braun, l'inventore della V 2, oggi a capo della schiera di studiosi che negli Stati Uniti si occupa della costruzione di missili per conto dell'esercito americano. Il razzo, che si allontanerà dalla terra alla incredibile velocità di quarantamila chilometri orari (potrebbe in un'ora fare il giro del mondo), sarà composto di tre elementi, dei quali i primi due verranno abbandonati, una volta esaurito il combustibile in essi contenuto, mentre il terzo procederà con l'equipaggio nell'ultima parte della sua fantastica corsa. Il combustibile usato per la propulsione sarà una miscela di acido nitrico e di idrazina (sostanza, quest'ultima, parente dell'ammoniaca).*

*I pionieri del volo interplanetario, prima di raggiungere i pianeti, dovranno provvedere alla costruzione di un satellite artificiale, rotante intorno alla Terra all'altezza di 1800 chilometri, il quale costituirà la stazione di partenza per i successivi balzi verso gli altri mondi.*

*Numerosi problemi, di non facile soluzione, rendono laboriosa la realizzazione del progetto, oltre al costoso finanziamento dell'impresa. Particolari studi sono stati condotti per la scelta degli acciai e delle leghe speciali che formeranno l'ossatura del razzo, mentre metodiche ricerche hanno già portato a buon punto lo schema del satellite artificiale. Questo, che avrà la forma di un enorme pneumatico del diametro di ottanta metri, sarà prefabbricato in venti sezioni di materia plastica simile al nailon, le quali saranno saldate a 1800 chilometri di altezza, ivi trasportate da convogli di missili. Gli abitanti della "stazione spaziale", la quale compirà ogni due ore un giro intorno alla Terra, non solo appronteranno il mezzo per l'ulteriore volo verso la Luna, ma, forniti di giganteschi telescopi e radar, controlleranno la vita del nostro pianeta e compiranno rivoluzionari studi sul moto dei corpi celesti.*

*I molteplici aspetti dell'appassionante impresa saranno l'oggetto della nostra esauriente inchiesta, condotta da diversi collaboratori. In questo primo articolo, del professor Rodolfo Margaria, viene trattato il fondamentale problema fisiologico del volo interplanetario.*

★ PRIMA PUNTATA ★

La notizia, apparsa recentemente, che scimmie e topi hanno raggiunto, in un razzo catapultato nel Nuovo Messico, l'altezza di 130 chilometri sul livello del mare, e che questi animali sono tornati alla base, in parte in buone condizioni, alcuni essendo morti per cause non inerenti al volo, ha fatto logicamente supporre che i viaggi interplanetari siano prossimi.

A nostro parere questa avventu-

oggidì quasi tutti i voli transatlantici si compiono in apparecchi forniti di cabina stagna. È appunto servendosi di una cabina stagna che, una quindicina d'anni fa, Mario Pezzi poté raggiungere l'altezza di 17 chilometri sul livello del mare battendo l'allora record d'altezza: a tale altezza non si può giungere, né si potrà mai giungere in avvenire, se non sfruttando il principio della cabina stagna. Pezzi avrebbe potuto salire anche molto più in su se l'aeroplano, azionato da un comune motore a scoppio,

gli 80.000 milioni di chilometri all'anno dovuti al movimento della terra rispetto al sole, né di essere proiettati nello spazio, insieme a tutto il rimanente sistema solare, a chi sa quale velocità: abbiamo la sensazione di essere fermi. Ciò che noi sentiamo è soltanto la variazione della velocità, variazione di intensità o variazione di direzione, che denominiamo "accelerazione".

Perché il razzo che ci trasporti in altri pianeti raggiunga la velocità di 40.000 chilometri all'ora, partendo da fermo (velocità zero), oc

avanzato di perfezione [illegible] poter costruire ordigni simili ai dischi volanti. Oggi la scienza, pur nelle sue branche più circondate di segreti, è, per lo meno nelle linee generali, di dominio comune. E i dischi volanti non sono il prodotto di un singolo segreto o di una singola scoperta, ma derivano, come dimostrano le numerose particolarità di cui abbiamo detto prima, da una civiltà tecnica superiore alla nostra.

Come è noto, quando ci fu la prima apparizione di dischi volanti, ci si sforzò di spiegare con fenomeni naturali la loro apparizione. Si invocarono i meteoriti, ossia le stelle cadenti; si parlò di vortici aerei; di effetti luminosi dovuti a riflessioni di raggi solari fra i diversi strati dell'atmosfera; di formazioni pulvurulente sollevate dalle esplosioni atomiche. Tutte queste spiegazioni, sottoposte a severo vaglio, si sono dimostrate insostenibili. L'unica che ancora riscuota qualche consenso, almeno come spiegazione di alcune apparizioni, è quella dei meteoriti. A questo proposito si ricorda il famoso meteorite che al principio di questo secolo saettò sulle regioni nordiche della Francia lasciando dietro di sé una scia luminosa di polvere infuocata. Questa scia di polvere fu poi trasportata dal vento attraverso la Manica e fu vista dalle coste meridionali dell'Inghilterra. La descrizione di tale fenomeno concorda con la descrizione di alcune apparizioni di dischi volanti, per cui si deve ritenere che in certi casi i dischi fossero effettivamente meteoriti. D'altra parte, anche ammettendo che molte volte i dischi fossero soltanto stelle cadenti non si può pretendere di spiegare sempre in questa maniera le loro apparizioni. Nel caso dei due dischi che seguirono la V. 2 non può assolutamente trattarsi di meteoriti perché i due dischi si elevarono nell'atmosfera, mentre tutti i meteoriti, per forza di gravità, si avvicinano sempre più alla superficie terrestre prima di disgregarsi o di raggiungerla. E non si può neppure spiegare con un meteorite il disco che fu scorto dall'equipaggio di una fortezza volante: questo disco presentava, visibilissima, una serie di finestrini illuminati dall'interno. [illegible] si arre[illegible] dunque concludere che i [illegible]no dalla Messa[illegible] extra- [illegible]ire di mettersi a tav[illegible]nte [illegible]gia

tità di combustibile necessaria per percorrere il tragitto fra essa e noi impedirebbe al razzo di muoversi, senza tener conto del fatto che ci vorrebbe almeno un millennio di tempo a compiere il cammino.

Se dunque esistono, i dischi volanti provengono da un pianeta del sistema solare, Venere o Marte probabilmente. Ammesso che essi volino a quarantamila chilometri all'ora (velocità che tutti gli studiosi ritengono indispensabile per potersi avvicinare alla terra senza farsi afferrare dalla forza di gravità e venir schiacciati al suolo), i dischi volanti impiegherebbero circa due mesi per compiere il tragitto fra Marte e la terra e un mese per quello fra Venere e noi. Se poi venissero da Plutone, il pianeta più lontano, visibile a stento con i telescopi più potenti, il loro viaggio durerebbe quasi due anni.

Infine resta da spiegare il sistema usato dai dischi per muoversi. Dati i grandi spazi percorsi, diecine di milioni di chilometri, bisogna escludere che essi usino combustibili simili a quelli terrestri. Usando ossigeno liquido e alcool (come le V 2) un disco, per andare da Marte alla terra, avrebbe bisogno di almeno 40 milioni di tonnellate di carburante, cioè dovrebbe avere dimensioni enormi. Si deve dunque pensare a energia atomica oppure a un altro sistema. È più probabile che si tratti di quest'altro sistema ignoto, perché se i dischi si movessero atomicamente si sarebbe forse constatato una certa radioattività dopo il loro passaggio, e pare che gli americani abbiano eseguito indagini in questo senso senza esito. L'ignoto motore che fa muovere i dischi (e Einstein stesso ha riconosciuto che simile ipotesi non è fantastica) potrebbe consistere in un apparecchio che captasse la forza di gravità esistente fra pianeta e pianeta, di modo che il disco si rifornirebbe per strada.

Comunque, la risoluzione del mistero non si avrà completamente che il giorno in cui anche noi potremo conquistare gli spazi siderali. E i nostri voli forse inquieteranno gli abitanti di Marte, mentre i loro giornali parleranno di misteriosi dischi volanti apparsi sugli orizzonti marziani.

*Luigi Confalonieri*

★ PRIMA PUNTATA ★

La notizia, apparsa recentemente, che scimmie e topi hanno raggiunto, in un razzo catapultato nel Nuovo Messico, l'altezza di 130 chilometri sul livello del mare, e che questi animali sono tornati alla base, in parte in buone condizioni, alcuni essendo morti per cause non inerenti al volo, ha fatto logicamente supporre che i viaggi interplanetari siano prossimi.

A nostro parere questa avventura non è, per ora, di facile attuazione.

Ci sono, infatti, parecchie gravi difficoltà da superare ancora, sia dal punto di vista della costruzione di un razzo capace di raggiungere quella velocità di circa 40.000 chilometri all'ora, necessaria per sfuggire al campo gravitazionale della terra, sia dal punto di vista della capacità dell'uomo di vivere in condizioni di ambiente così diverse da quelle abituali.

I problemi fisiologici da risolvere, per intraprendere i viaggi interplanetari, sono molti. La prima difficoltà che si presenta, quando ci si eleva al di sopra del livello del mare, è la mancanza di ossigeno.

Già a 3-4.000 metri di altezza la rarefazione dell'aria è tale che la quantità di ossigeno, per litro di aria, risulta insufficiente ai bisogni dell'organismo, e intervengono disturbi vari, che possono giungere, nei casi gravi, fino alla perdita della coscienza. Occorre allora sostituire all'aria dell'ossigeno puro: l'aria contiene circa il 20 % di ossigeno, mentre i gas rimanenti non hanno funzione respiratoria né alcuna altra funzione fisiologica, e possono quindi essere sostituiti da altrettanto ossigeno (vedi un nostro precedente articolo in *Oggi*, luglio 1950).

Con questo artificio si può giungere fino ad un'altezza di 12-13.000 metri, ma oltre questa altezza la rarefazione è tale che, pur respirando solo ossigeno, la quantità di questo gas per litro è troppo bassa: non c'è allora altro sistema che quello di racchiudersi in una camera a tenuta di pressione, la cosiddetta "cabina stagna", nella quale la pressione viene artificialmente mantenuta elevata.

È questa una pratica già attuata anche nel campo commerciale, e oggidì quasi tutti i voli transatlantici si compiono in apparecchi forniti di cabina stagna. È appunto servendosi di una cabina stagna che, una quindicina d'anni fa, Mario Pezzi poté raggiungere l'altezza di 17 chilometri sul livello del mare battendo l'allora record d'altezza: a tale altezza non si può giungere, né si potrà mai giungere in avvenire, se non sfruttando il principio della cabina stagna. Pezzi avrebbe potuto salire anche molto più in su se l'aeroplano, azionato da un comune motore a scoppio, l'avesse portato.

## L'ACCELERAZIONE

Recentemente, in aeroplani con la propulsione a razzo, si è giunti più in alto, pare fino a 25 chilometri, sempre in cabina stagna. A 25 chilometri d'altezza la pressione non è che il 4 % di quella che è al livello del mare, e perciò ci si trova nel vuoto, un vuoto non molto spinto, ma pur apprezzabile. Se le pareti della cabina resistono a questo vuoto, resisteranno anche al vuoto assoluto degli spazi interplanetari, quindi il problema della cabina stagna, come problema fisiologico, è un problema risolto. Ci sarà ancora da pensare alla maniera di rifornire la cabina di ossigeno, perché noi di ossigeno ne consumiamo parecchio, circa 1 litro ogni 3 minuti, se siamo in condizioni di riposo, ma si può giungere fino a 3-4 litri al minuto nel lavoro muscolare intenso: è ovvio che se il volo, comprendente l'andata, la permanenza ed il ritorno, dura molto, e la compagnia è numerosa, il trasporto dell'ossigeno non è problema trascurabile. Ma questo sarà un problema tecnico: fisiologicamente esso è risolto.

Quando sarà risolto il problema costruttivo del razzo capace di sviluppare la velocità di 40.000 chilometri all'ora, bisognerà, anche a questo proposito, trattare la questione dal punto di vista fisiologico.

Il problema non consiste nel sopportare le alte velocità, alle quali l'organismo è perfettamente indifferente, tanto che addirittura non le avverte. Noi ad esempio non ci accorgiamo di percorrere in 24 ore una distanza pari alla circonferenza della terra (circa 40.000 chilometri), dovuta alla rotazione della terra sul proprio asse, né di compiere gli 80.000 milioni di chilometri all'anno dovuti al movimento della terra rispetto al sole, né di essere proiettati nello spazio, insieme a tutto il rimanente sistema solare, a chi sa quale velocità: abbiamo la sensazione di essere fermi. Ciò che noi sentiamo è soltanto la variazione della velocità, variazione di intensità o variazione di direzione, che denominiamo "accelerazione".

Perché il razzo che ci trasporta in altri pianeti raggiunga la velocità di 40.000 chilometri all'ora, partendo da fermo (velocità zero), occorre che acceleri, ma questa accelerazione deve essere dolce, non brusca: a questa velocità si deve cioè giungere gradualmente, dolcemente, e non per mezzo di una esplosione che imponga al razzo questa velocità in una frazione di secondo, come avviene per i proiettili delle armi da fuoco.

L'accelerazione sarebbe in questo caso troppo forte, e noi siamo molto sensibili alle accelerazioni: basti vedere quello che succede in un tram un po' affollato se la partenza è troppo brusca, o se il guidatore è costretto lungo il percorso a dare una brusca frenata. Anche la fermata è un'accelerazione, cioè un cambiamento di velocità, di segno negativo perché si passa da una velocità maggiore ad una minore, ma pur sempre un'accelerazione.

Nelle ultime decadi sono stati fatti parecchi esperimenti sull'uomo per saggiarne la tolleranza alle accelerazioni, particolarmente in rapporto col volo in aeroplano, perché nei cambiamenti di direzione (virate, picchiate ecc.) il velivolo e l'equipaggio vengono sottoposti a delle accelerazioni centrifughe che possono essere notevoli, e che spesso sono state causa di disastri aviatori.

Per questi studi sono state costruite in laboratorio delle centrifughe molto grandi, nelle quali possono essere sottoposti a centrifugazione animali da esperimento e anche uomini, e nelle quali possono essere seguite certe variazioni di funzioni fisiologiche.

Dalle osservazioni compiute in laboratorio ed in volo, si è visto che l'uomo sopporta abbastanza bene dei valori di accelerazione ugua-

★ *Continuazione a pagina 14* ★

30-10-54

**FAVOLA O MISTERO** (continuazione)

si andava radunando un gruppo di almeno quindici persone.

Erano usciti dagli uffici il dottor Luigi Tessuto, specialista chimico, gli impiegati Dario Nardi, Franca Casale, Michele Canavero, Anna Maria Mancini. E c'erano i quattro operai, il geometra che sopraintende ai lavori, Giuseppe Teja; c'era persino un maresciallo, Marco Mattio. Tutte persone che semmai potrebbero essere giudicate scarse di fantasia date le loro professioni, ma non eccitabili e non certo di temperamento fantastico.

Se tutti costoro affermano di aver visto il corpo lucente vuol dire che quel corpo lucente stava realmente nel cielo. Essi non dicono che fosse un piatto, o un sigaro volante, non fantasticano di piloti uranici in casco irto di antenne, di esseri deformi e pelosi con uno o quattro occhi, con una o quattro gambe; non favoleggiano neppure di raggi azzurri o violetti piombanti al suolo dal misterioso ordigno. Essi dicono semplicemente di aver visto qualcosa che non era nè un aereo, nè un pallone sonda, nè un effetto di luce. Basta questa scarna e veritiera dichiarazione a lasciarci pensierosi e perplessi.

Il signor Martino, poichè fu ben certo, per la testimonianza di altre quattordici persone, di non stare sognando, da buon tecnico volle fare tutti quei rilievi che il luogo e le circostanze gli permettevano.

Chiamò due operai e fece tendere fra due pali della tettoia una catenella di ferro. Poi, coricatosi su un asse appoggiato al terreno, si mise in tale posizione da poter osservare il corpo luminoso. Il signor Martino era immobile e vedeva l'oggetto che sfiorava la linea scura della catenella; se se ne fosse allontanato si dimostrava che esso era capace di movimento.

In tal modo il signor Martino potè stabilire che l'oggetto sia pur lentamente si spostava in direzione ovest e che si trovava, rispetto alla fabbrica, ad un'elevazione di 45 gradi circa.

Trascorse così quasi un'ora nel corso della quale le quindici persone ebbero modo di osservare attentamente l'oggetto senza tuttavia riuscire a stabilire quale precisa forma avesse. A molti parve che fosse più lungo che largo e di forma cilindrica sicchè, usando la terminologia pseudo-scientifica in uso per tali fenomeni, si dovrebbe parlare di un « sigaro volante ».

I testimoni sono tutti concordi nell'affermare che la luminosità dell'oggetto aumentava col passar del tempo, ma il fatto po-






**Alle 17 circa del 16 ottobre Michele Martino (nella foto in alto), proprietario di una fabbrica di vernici torinese, mentre si trovava nel cortile dello stabilimento scorse un oggetto lucente simile a un cappello luminoso, che si muoveva lentamente al centro del cielo. Subito il signor Martino avvertì i dipendenti che, malgrado la giornata di sabato, si trovavano ancora nella fabbrica. Tutti hanno potuto osservare per quasi un'ora il « disco ». Secondo la sua posizione rispetto al sole l'oggetto mutava continuamente forma. Nella foto in basso, alcuni dei dipendenti della ditta Martino che hanno visto l'oggetto volante.**

## VISTI DA MILANO

# IL DISCO RONZAVA come un motore elettrico

### I testimoni dicono: colore rossastro di notte, bagliori argentei di giorno

MILANO, ottobre. sia che si tratti veramente di

La giornata dei «dischi», in Lombardia, fu il 14 ottobre. Il duca Tommaso Gallarati Scotti (a sinistra), ex ambasciatore a Londra e ora presidente della Fiera di Milano, si trovava sul monte Guello, vicino a Como, con cinque amici; mentre guardavano verso le montagne di Bellagio, poco prima delle undici di mattina, tutti e sei scorsero a un'altezza imprecisabile un disco dai riflessi argentei; l'apparizione durò sette od otto minuti. A Luino, un'ora e mezzo dopo l'operaio Umberto Bevilacqua (al centro), udì un ronzio sommesso. Sopra la sua testa, a due o tremila metri di altezza, vide un oggetto che assomigliava a un siluro. L'ordigno sbucò tra Monte Borgna e Monte Limidario, e sparì verso la Svizzera a velocità elevatissima. Anche il giornalista-aviatore Maner Lualdi (a destra) vide dall'aeroporto Forlanini, la sera del 17 settembre, un corpo luminoso a forma di disco, che compì sopra l'aeroporto una strana manovra.

anche a un gruppo di ricoverati nel sanatorio di Cuasso al Monte, presso Varese, simile a una bella luna piena che sorge dal mare.

Le descrizioni concordano anche circa l'aspetto che i presunti «dischi volanti» hanno di giorno. Tanto il racconto di quel gruppo di milanesi che l'altra domenica si trovava in gita su un monte presso Como, quanto la testimonianza del duca Tommaso Gallarati Scotti, che giovedì 14 ottobre passeggiava con cinque amici presso Bellagio, quanto la narrazione dei contadini di Luino, parlano di luce intensissima, di riflessi argentei e di bagliori azzurrini. Altra caratteristica concordemente riferita da chi ha veduto «dischi volanti» in Lombardia riguarda il modo di procedere dei «dischi»: i misteriosi oggetti volanti arrivano velocissimi, si arrestano di colpo, compiono una serie di zig-zag e infine ripartono come razzi. (La difficoltà di valutare la quota dei «dischi» ha impedito di calcolarne la velocità, ma se per caso l'oggetto osservato il 17 settembre scorso all'aeroporto di Ciampino a Roma verso le 19,28 fosse lo stesso che fu visto venti minuti dopo dall'aeroporto di Linate a Milano, la sua velocità si aggirerebbe sui 1500 chilometri all'ora. Tale velocità è del resto quella indicata da chi ha affermato che in altre occasioni i «dischi volanti» si muovevano con rapidità tre volte superiore a quella dei comuni apparecchi).

Il racconto dell'operaio Umberto Bevilacqua, del parrucchiere Arturo Granzarollo e del contadino Renato Glor (tutti e tre, dopo avere osservato un oggetto volante a forma di sigaro nel cielo di Luino, riferirono identiche circostanze di luogo e di tempo a insaputa l'uno dell'altro) è assai interessante per un altro verso: descrive il rumore dei «dischi» e lo paragona a quello di un motore elettrico. Il ronzio permane anche quando l'oggetto è fermo ma diventa più intenso allorchè riprende la corsa.

Queste dunque sono le caratteristiche del fenomeno misterioso: colore rossastro di notte, forma tondeggiante oppure a sigaro, bagliori argentei di giorno, fortissima velocità e repentini arresti, ronzio simile a quello di un motore elettrico.

FRANCO SERRA

## VISTI DA BOLOGNA

# DAL GLOBO INFUOCATO uscivano gocce incandescenti

### Una visione rapida, in senso orizzontale, con movimenti "ad altalena"

BOLOGNA, ottobre

Se c'è una città dove la gente crede soltanto (e non sempre) a ciò che vede, questa è Bologna. Si spiega così come la prima visita fattale dai «marziani» non l'abbia scossa minimamente. Ma non si spiega, d'altra parte, come avrebbero potuto restar vittime di una suggestione collettiva le varie persone che, da luoghi diversi, nel medesimo istante — le sei e un quarto del pomeriggio di giovedì 14 ottobre — hanno visto un grande corpo luminoso solcare velocemente la volta celeste. Si tratta, per giunta, di persone serie e tranquille (madri e padri di famiglia, un medico, un impiegato, un vigile urbano), che non si divertirebbero certo a raccontar fanfaronate. Messe alla prova, del resto, dai giornalisti, tutte queste persone hanno riferito, l'una ad insaputa dell'altra, particolari pressochè identici.

Le apparizioni, dunque, ci sono state. E anche se subito si è cominciato a fare l'ipotesi di apparecchi provenienti da Marte, i testimoni del fenomeno si astengono dal definire il misterioso ordigno «disco» o «sigaro volante», secondo la terminologia corrente: preferiscono parlare, senza compromettersi, di un globo, non perfettamente rotondo (anzi, per alcuni, piuttosto allungato), dotato di notevole velocità. Che cosa fosse questo globo, nessuno ha potuto dirlo. Nè l'aeroporto, nè l'osservatorio astronomico dell'Università hanno fornito chiarimenti in proposito. Tutte le supposizioni restano pertanto possibili, benchè l'assenza di qualsiasi rumore appaia difficilmente conciliabile con l'idea di un apparecchio a reazione, e la celerità con cui i «dischi» seguivano la propria rotta sembri escludere che potesse trattarsi di un pallone-sonda.

«Non era assolutamente paragonabile ad una meteora, o ad altri consueti fenomeni celesti», ci ha detto, con ferma convinzione, la signora Lidia Palmieri Mandrioli, che ha visto il globo misterioso dalla terrazza della sua casa di viale Gozzadini, di fianco ai Giardini Margherita. La singolare apparizione sarà durata, a suo giudizio, otto o dieci secondi. Il globo è saltato su all'improvviso da dietro il colle dell'Osservanza, a Sud-Ovest della città, e spostandosi rapidamente in direzione di Casalecchio si è dileguato in una luce di fiamma. Il suo colore — «rosso acceso» — non era compatto, così come non era perfettamente regolare la sua forma (alla signora Mandrioli pare di avervi notato certe protuberanze); avanzava emettendo una «lingua di fuoco», ai lati della quale restavano sospesi nell'aria dei «blocchetti» incandescenti, grossi, di media, come arance. Anche quattro giorni prima, e precisamente la sera di domenica 10 ottobre, alle 22,30, dalla casa di viale Gozzadini era stato osservato un analogo fenomeno. La domestica della signora Mandrioli, Gabriella Salvatori, aveva visto un corpo fiammeggiante sbucare ad un tratto dalla parte dei Giardini Margherita, e scomparire al di sopra del palazzo, lasciando dietro di sè quelle strane «gocce» infuocate, grosse come arance. La signora aveva pensato che nella descri-

*Prezentujemy kolejne fragmenty przygotowywanej do druku nakładem Wydawnictwa ELIPSA pasjonującej książki Rogera Boara i Nigela Blundella zatytuowanej "Najsłynniejsze UFO świata".*

# Najsłynniejsze

***Przeogromne dossier, zawierające dane o UFO i gromadzone przez długie lata sprawia, że zjawisk tych nie można już ignorować, jakby to były oryginalne ptaszki na niebie. Gdy jednak przyjmiemy do wiadomości, że pojazdy pilotowane przez jakieś istoty inteligentne nie będące ludźmi wkraczają w naszą przestrzeń powietrzną, natychmiast pojawiają się niepokojące pytania. Skąd ONI przybywają? Kto nimi kieruje? I dlaczego znaleźli się tutaj?***

Relacje o Niezidentyfikowanych Obiektach Latających pochodzą od zbyt wielu poważnych i rozsądnych ludzi, by sceptycy mogli je potraktować jedynie jako halucynacje, masową histerię, mistyczne tęsknoty psychiki ludzkiej czy bunt skierowany przeciwko bezdusznej nauce. Miliony na całym świecie składały relacje o spotkaniach z UFO - w samych tylko Stanach Zjednoczonych 15 milionów w 1973 roku. W Centrum Badań nad UFO dra J. Allena Hynka w Illinois w skomputeryzowanym banku danych zarejestrowano ponad 50 000 relacji o dostrzeżonych obiektach, wszystkie zaś nie znajdują wytłumaczenia.

Badacze UFO przyznają, że około 90 proc. NOLi okazało się już to naturalnymi zjawiskami, już to grą wyobraźni. Planeta Wenus, samoloty reklamowe, wojskowe i cywilne, komety, meteory i spadające gwiazdy, ogromne balony, formacje chmur o kształcie soczewki, pioruny kuliste, a nawet rakiety sygnalizacyjne i stada migrujących gęsi - często brano omyłkowo za statki kosmiczne. Pozostaje jednak 10-20 proc. zjawisk oraz obserwacji, w tym zwłaszcza Bliskich Spotkań III Stopnia, dla których nikt nie znalazł racjonalnego wytłumaczenia.

Utajnianie tych faktów przez rządy mogło stać się dla ufologów zachętą do przesadnego podkreślania niektórych przypadków (...).

Niemniej coraz więcej rządów przyznaje dziś, że na niebie pojawiają się obiekty, które przybywają znikąd i nie poddają się kontroli ziemskich urządzeń. Pomimo obowiązującej w Stanach Zjednoczonych oficjalnej polityki zaprzeczania istnieniu UFO, siły zbrojne przedsięwzięły procedurę zachowania się wobec tych obiektów.

W 1957 roku źródła CIA przyznawały: *Jedno jest pewne: jesteśmy obserwowani z przestrzeni kosmicznej.* Rosja, Włochy, Brazylia i Argentyna, publikując oficjalne raporty z obserwacji, niedwuznacznie uznały istnienie UFO. Francuski minister obrony Robert Galley powiedział w 1974 roku: *Nieustannie mnożą się obserwacje lśniących obiektów, które czasem są okrągłe, czasem owalne, charakteryzują się niezwykle gwałtownymi ruchami. Relacje żandarmerii, pilotów, wysokich urzędników instytucji związanych z awiacją, a także wiele innych materiałów robią wrażenie... ale też i budzą niepokój. Jest pewne, że istnieją zjawiska, których nie rozumiemy i że w obecnej chwili są one niewytłumaczalne.*

Nawet Wielka Brytania nie zaprzecza możliwości istnienia lotów załogowych, kierowanych przez istoty spoza naszej planety, choć w zasadzie jej stanowisko bliskie było cynicznej linii Ameryki. Rzecznik RAF-u powiedział: *Ministerstwo Obrony nie neguje możliwości istnienia inteligencji w innych częściach galaktyki. Wszelako potrzebny jest nam niezbity dowód, że takie życie istnieje. Jak dotychczas nikt nie dostarczył nam stuprocentowego, niepodważalnego dowodu.* (O sprawie pisaliśmy w nr. 2 "NŚ" z br. w publikacji "Ukrywana prawda". Jak się okazuje, dowody w wydaniu angielskim - jednak istnieją; *przyp. redakcji).*

W 1977 roku, kiedy to z Trójkąta Broadhaven w Walii napłynęła rekordowa liczba relacji, rzecznik Ministerstwa Obrony stwierdził: *Zakładamy, że relacje te pochodzą od zdrowych na umyśle, racjonalnie myślących ludzi i że setka osób nie może wyobrazić sobie, że coś dostrzega. Nie znaleziono wszelako fizycznego dowodu, że cokolwiek miało miejsce. Badamy relacje o niezidentyfikowanych obiektach latających jedynie dlatego, żeby stwierdzić, czy istnieje zagrożenie dla naszego systemu obrony. Jeśli takiego zagrożenia nie będzie, to na tym sprawa się zakończy. Nie zajmujemy się roztrząsaniem kwestii, czy UFO istnieją i co jest ich powodem.*

Kiedy zapytano go, kto zdecydował, że bezpieczeństwo narodowe nie jest zagrożone, rzecznik odpowiedział: *Nie jesteśmy przygotowani na dyskusję o tym, jak prowadzimy dochodzenie.*

Profesor Santorini - wówczas już po siedemdziesiątce, najbardziej poważany grecki uczony - ujawnił, że w 1947 roku armia grecka zwróciła się do niego, by przewodniczył zespołowi inżynierów badających coś, co wówczas uznano za rosyjskie rakiety latające nad terytorium państwa.

"Wkrótce ustaliliśmy, że to nie były rakiety - mówił. Zanim jednak zaczęliśmy cokolwiek robić w tej sprawie, armia - po konsultacjach z przedstawicielami innych państw - zarządziła wstrzymanie badań. Zagraniczni naukowcy przybyli do Grecji na tajne rozmowy ze mną."

Profesor Santorini dodał, że nie miał wątpliwości, iż to przybysze spoza Ziemi odwiedzali ją "dla zebrania próbek flory i fauny".

Prywatni badacze NOLi chętniej opowiadają o swojej pracy. Dr Hynek, Stanton Friedmann i Raymond E. Fowler z Ameryki oraz Norman Olivier, Jenny Randles i Stewart Campbell z W. Brytanii zbierają szczegółowe komunikaty świadków, a następnie przeprowadzają z ich przyjaciółmi, rodziną i pracodawcami bardzo dokładne rozmowy, by przekonać się, czy są oni wiarygodni, nie cierpią na halucynacje i nie mają skłonności do konfabulacji. Potem zaś długo i mozolnie poszukują wszelkich alternatywnych wyjaśnień zjawiska, często je zresztą znajdując.

Na przestrzeni wielu lat z obserwacji poddanych bardzo rygorystycznej weryfikacji wyłonił się pewien stały wzorzec. UFO zwykle mają kształt spodka, cygara lub jaja, często posiadają oświetlone kopułki i prawie zawsze światła nawigacyjne lub ostrzegawcze w układzie odmiennym niż te, jakie stosują ziemskie samoloty.

***Sąd też był ciekawy***

*We wrześniu 1977 roku grupa badaczy UFO w Phoenix w stanie Arizona wytoczyła proces CIA na podstawie Prawa do Wolności Informacji. William Spaulding - dyrektor Ground Saucer Watch Incorporated twierdził, że agencja posiada tysiące dokumentów świadczących o jej zaangażowaniu w badania UFO i w konspiracyjny sposób ukrywa je przed opinią publiczną oraz zaprzecza, jakoby istniały.*

Sprawę poparła narodowa organizacja Obywatele Przeciw Utajnianiu UFO (Citizens Against UFO Secrecy), a CIA przed sądem proces przegrała. Waszyngtoński sędzia polecił agencji dokonać przeglądu wszystkich materiałów dotyczących UFO. Okazało się, że zawierały one 10 000 stron, lecz sądowi udostępniono jedynie 900. Resztę zatrzymano jako ważne dla bezpieczeństwa narodowego. Niemniej Citizens Against UFO Secrecy uznało to za zwycięstwo. Już samo przyznanie się CIA, że wspomniane archiwa istnieją, stanowiło przełom w dążeniu rządu do ukrycia całej sprawy.

Wydaje się, że przybywają nad Ziemię falami - lata 1947, 1952, 1954, 1966-7, 1973 i 1975 stanowiły szczytowe natężenie obserwacji nad Ameryką; 1962 i 1977-8 nad Rosją; 1954, 1968 i 1977-9 nad W. Brytanią; 1952-4, 1968 i 1973 nad Europą Zachodnią; 1957, 1962 i 1965 nad Ameryką Południową, a zwłaszcza nad Brazylią; 1959, 1965 i 1978-9 nad Australazją i Dalekim Wschodem; 1946 nad Skandynawią, kiedy to nad Norwegią i Szwecją widziano tysiące zagadkowych "rakiet".

Ponieważ UFO zachowują się wbrew wszelkim znanym nam prawom fizyki - wielu naukowców odmawia im prawa bytu. Wolą bowiem świat, w którym wszystko jest racjonalne i wytłumaczalne. Tymczasem NOLe poruszają się z szybkością o wiele przewyższającą prędkość dźwięku, ale bez owego szczególnego ponaddźwiękowego huku. Zmieniają kierunek i wysokość w taki sposób, jakby kpiły sobie z prawa grawitacji. Ponadto wytwarzają ładunki elektryczne o wysokim natężeniu i uszkadzają ziemskie źródła mocy.

Załogi wielu z nich złożone są z istot, które można z grubsza podzielić na trzy kategorie: małe, liczące mniej niż 120 cm wysokości - z nieproporcjonalnie wielkimi głowami i ubrane w jednoczęściowe

# UFO Świata (2)

srebrzyste lub zielone uniformy; obcy wielkości człowieka (szerokoocy i wąskouści); "olbrzymi" liczący ponad 2 metry. Jest jeszcze jedna rzadko spotykana grupa istot pokrytych włosem lub futrem, wysokich na około 120 cm. (...)

**Są już wśród nas?**

*Wielu mieszkańców Hiszpanii wierzy, że przybysze z przestrzeni kosmicznej żyją już na Ziemi. Przez ponad 30 lat grupa nazywająca się Ummo wysyła pocztą listy i prowadzi długie nocne rozmowy z ludźmi w całym kraju, twierdząc, iż wylądowali w statku kosmicznym we Francji w 1950 roku po to, by dopomóc ludzkości w osiągnięciu dojrzałości. Głoszą, że przybyli z planety Ummo, która krąży po orbicie wokół gwiazdy, zaznaczonej na ziemskiej mapie Wszechświata jako Wolf 424.*

*Wszelkie wiadomości od Ummo noszą odcisk kciuka ze szczególnym symbolem: trzy linie poziome przecięte jedną pionową. W maju 1967 roku członkowie hiszpańskiego koła dyskusyjnego lotów kosmicznych otrzymali zaproszenia opatrzone takim symbolem. Mieli zebrać się 1 czerwca w kawiarni w Santa Monica koło Madrytu, by zdobyć tam dowód istnienia istot z Ummo.*

Stawili się tam o umówionej porze i rzeczywiście - zjawił się jakiś obiekt, wyglądający jak latający spodek; pod spodem miał symbol Ummo. Zanim wylądował w pobliżu kawiarni, wykonał nad madryckim przedmieściem San Jose de Valderas powietrzne ewolucje. Wielu świadków zrobiło zdjęcia dziwnego obiektu, zanim ponownie odleciał. Jak dotąd, nikomu nie udało się jednak wytropić Ummo, by przekonać się, czy rzeczywiście chodzi tu o przybyszy z kosmosu, czy też sprytnych żartownisiów.

Ostatnie odkrycia w dziedzinie telepatii otwierają drogę do nowego pojmowania możliwości teleportacji. Nie leży poza granicą ludzkiej wyobraźni przekonanie, że jeśli istoty o wyższej inteligencji wyprodukowały latające spodki o zdolnościach manewrowych nieporównanie większych niż cokolwiek przez nas stworzonego, mogły także znaleźć sposoby podróżowania w stanie zawieszenia czynności życiowych.

Są hipotezy głoszące, iż UFO przybywają nie z przestrzeni kosmicznej, lecz z Ziemi. Einstein pierwszy wysunął teorię, że dwa światy mogą współistnieć w różnych wymiarach, że wzajemnie się przenikają, a każdy z nich jest przez większość czasu niedostrzegalny dla tego drugiego. Sporo ufologów uważa, że tak właśnie czynią NOLe: "przechodzą" do naszej świadomości jedynie wówczas, kiedy tego chcą lub kiedy mogą.

Inni dowodzą, że międzyplanetarni wędrowcy dawno temu osiedlili się na Ziemi oraz przejęli język i obyczaje krajów, w których wylądowali. Ralph Blum, trzykrotny zdobywca prestiżowej nagrody American Science Foundation, twierdzi, że specjaliści nigdy nie zdołali w sposób zadowalający wyjaśnić, dlaczego jedni ludzie są bardziej inteligentni niż inni czy też są urodzonymi przywódcami; jest przekonany, że istoty wyższe, być może, przeprowadzają na nas eksperymenty. *Poważnie; osoba, z którą bierzesz ślub może być potomkiem istoty spoza Ziemi* - mówi Blum.

Kenneth Huer, były wykładowca w Planetarium Hayden w Nowym Jorku, powiada z kolei: *Nie jest wykluczone, że przed wiekami nasi przodkowie przybyli w statkach z przestrzeni kosmicznej jako w pełni ukształtowane istoty. Mogą się też znajdować tutaj w dużej liczbie, lecz my nie jesteśmy świadomi ich obecności. Mogły przybrać postać, której my nie umiemy rozpoznać.*

Ta ostatnia teoria tłumaczyłaby zagadkę "ludzi w czerni", relacjonowaną przez niektórych obserwatorów UFO. Np. kobieta, która twierdziła, że w Somerset w Anglii została zgwałcona przez jakiegoś przybysza spoza Ziemi, powiedziała potem badaczowi UFO Barry Kingowi, że otrzymuje listy i telefony, ostrzegające ją przed rozgłaszaniem tej historii; a ją i jej męża odwiedzili kilkakrotnie dwaj tajemniczy mężczyźni, nakazując im dyskrecję.

**"Te rzeczy są złe"**

*Kościół krzywo patrzy na rosnące zainteresowanie Niezidentyfikowanymi Obiektami Latającymi. Biskup Norwich, jeden z najwyższych rangą duchownych, który wziął udział w debacie Izby Lordów poświęconej temu tematowi, powiedział: "Jestem bardzo zatroskany. Atmosfera tajemniczości otaczająca dziś UFO przyczynia się do tworzenia klimatu łatwowierności, a w niektórych przypadkach rodzenia się zabobonów, co daje w efekcie tani spirytualizm".*

Pewien duchowny, który przez 30 lat zajmował się studiami nad UFO i napisał o tym książkę, uważa, że są one dziełem Szatana i mają zły wpływ na ludzi. Wielebny Eric Inglesby powiedział: "Ludzie spodziewają się, że UFO to obiekty dobroczynne. Nie ma wszelako jakichkolwiek dowodów na potwierdzenie tego mniemania. Wręcz przeciwnie. Znam wiele przypadków, kiedy ludzie ulegali poważnym zaburzeniom, z duchowym nawiedzeniem włącznie, co w wielu wypadkach bez wątpienia płynie ze zła. Niektóre Niezidentyfikowane Obiekty Latające są przerażająco niebezpieczne. Znam przypadki, kiedy ludzie byli tak zgnębieni zjawiskami UFO, że księża musieli odprawiać nad nimi egzorcyzmy".

Pierwszy kontakt nastąpił w grudniu 1976 roku. Pani Woodrew została wprowadzona w głęboki trans hipnotyczny. Twierdziła, że znalazła się w długim ciemnym tunelu pilnowanym przez istotę humanoidalną o imieniu Hshemes oraz przez "istoty" podobne do ptaków. Hshemes miał 150 cm wysokości, jego skóra pokryta była maleńkimi piórkami. Miał też wielkie złoto nakrapiane lśniące oczy pozbawione rzęs, zaś górna warga przypominała dziób. Porozumiewali się drogą telepatyczną, a postać opowiadała jej o planecie Ogatta.

Podczas drugiego eksperymentu pani Woodrew twierdziła, że jej duch opuścił ciało i tym razem sama przeniosła się na Ogattę. Wszystko błyszczało, a powierzchnia pokryta była iskrzącymi się naczynkami z marmuru. Zawierały cenną substancję podobną do wody.

Podczas następnego seansu - zgodnie z tym, co mówiła pani Woodrew - rozmawiała z nią istota o imieniu Ogatta. "Powiedziała, że istoty owe założyły stację pośredniczącą na niewielkiej planecie Westa znajdującej się w naszym systemie słonecznym, której celem będzie pomoc Ziemi. Armada statków kosmicznych, zwanych gattae, spłynie na Ziemię, jeśli zajdą na niej drastyczne zmiany. Przygotowania były już w toku".

Pani Woodrew twierdziła, że potem pokazano jej scenariusze zniszczeń, jakie mogą przytrafić się na Ziemi w ciągu kilku następnych dziesięcioleci. Powodzie, huragany, burze magnetyczne o niezwykłej sile, susze, trzęsienia ziemi, erupcje wulkanów, fale zalewające całe miasta, ludzie konający z głodu i pragnienia.

"Istoty pozaziemskie powiedziały mi, że oni są tymi, którzy przeżyją, cokolwiek miałoby się zdarzyć - mówiła pani Woodrew.

A potem oznajmiły: <Bez względu na to, co człowiek może uczynić człowiekowi i prawom natury, istnieją w kosmosie cywilizacje, które są przekonane, że planeta Ziemia zasługuje na to, by jej dopomóc>".

Jeszcze inna teoria głosi, że UFO pochodzą z wnętrza Ziemi. Przez całe wieki niektórzy uczeni dowodzili, że Ziemia nie stanowi litego ciała, lecz jest w środku wydrążona. Platon mówił o "tunelach szerokich i wąskich prowadzących do wnętrza"; doktryna Buddyzmu naucza o podziemnym świecie zwanym Agharta, gdzie w subtropikalnym klimacie żyją miliony ludzi pod rządami Króla Świata, którzy przesyła informacje do mieszkańców powierzchni za pośrednictwem mnichów podróżujących tajemnymi przejściami, mającymi wyloty prawdopodobnie w Himalajach. Inni autorzy zupełnie poważnie sugerowali, że uratowani od zagłady Atlantydzi, a nawet czarodzieje i chochliki z opowieści ludowych żyją pod ziemią, a świat ten charakteryzuje się o wiele bardziej rozwiniętą technologią niż ta, którą znamy.

Pod koniec XIX wieku norweski marynarz Olaf Jansen twierdził, że on i jego ojciec odbyli podróż do tego podziemnego świata i przez dwa lata żyli tam wraz z olbrzymami. Opowiedział, że mieszkańcy tego świata żyją 500 lat, mogą napędzać swoje machiny energią czerpaną z powietrza i doskonale orientują się, co się dzieje z ludzkimi istotami na powierzchni Ziemi. Opowieści Jansena spotkały się z drwinami i szyderstwami, przestał więc o nich mówić, ale na łożu śmierci jeszcze raz opowiedział szczegółowo o wszystkim amerykańskiemu dziennikarzowi.

W XX wieku Adolf Hitler rozpoczął szeroko zakrojone poszukiwania tuneli prowadzących do wnętrzna Ziemi, a wiara w podziemną krainę czarów rozwinęła się na dobre, kiedy kontradmirał Richard Byrd przeleciał w 1956 roku 2700 km poza Biegun Północny i 3700 km poza Biegun Południowy. Twierdził, że podczas obu lotów zauważył pozbawione lodu góry, jeziora i roślinność, których nie ma na żadnej mapie.

Potem - 23 listopada 1968 roku - zdjęcia amerykańskiej satelity ESSA-7 ukazały Biegun Północny nie okryty jak zazwyczaj chmurami, ujawniając doskonale okrągły ciemny teren. Zwolennicy "wydrążonej Ziemi" natychmiast okrzyknęli to miejsce wejściem do podziemnego świata. Twierdzili, że ziemski glob nie jest okrągły, lecz posiada wklęśnięcia na górze i na dole, tak więc prawdziwe bieguny ☞

9-92

 znajdują się w powietrzu. Właśnie dlatego - mówią - kompasy wskazują bieguny magnetyczne w odległości 240 km od północnego i południowego bieguna; a przez te dziury, znajdujące się zarówno na Antarktydzie, jak i na Arktyce, wydostają się UFO.

Skądkolwiek by się nie brały - czego szukają na Ziemi? Czy są to - jak twierdzi Douglas Adams, autor "Hitch-hiker's Guide to the Galaxy" - po prostu bogaci, młodzi "playboye" galaktyczni, którzy w sportowych pojazdach międzyplanetarnych znajdują przyjemność w dręczeniu Ziemian? A może ich cele są poważniejsze?

Wielu sądzi, że mogą to być istoty pochodzące z planety, która nie nadaje się już do zasiedlenia, one zaś szukają nowego miejsca do życia. Inni znów dowodzą, że istoty owe kierują się obawą, że ludzkość zniszczy sama siebie, bawiąc się nieodpowiedzialnie energią nuklearną, której nie rozumie i nie potrafi nią racjonalnie sterować.

Jeszcze inni uważają ludzkość za rodzaj ZOO, które co jakiś czas należy kontrolować i sprawdzać, jak się rozwija, a nawet porywa się niekiedy poszczególne egzemplarze celem krzyżowania gatunków, co zapewnia doskonalenie rasy.

Problem polega na tym, że nasze sądy możemy opierać jedynie na obserwacji zachowania UFO wartościowanego i ocenianego według naszych schematów. Możemy np. przypuszczać, że UFO-nauci chcieliby oficjalnie wylądować na naszej planecie, ale wciąż czekają, aż będziemy na to przygotowani lub choćby mniej agresywni w stosunku do nich. Być może powstrzymuje ich też obawa przed wywołaniem paniki lub spowodowaniem załamania się porządku społecznego, jeśli ludzie uświadomią sobie, że Ziemia nie posiada odpowiednich środków obrony w obliczu inwazji potęg pozaziemskich.

***Tylko wówczas, gdy uwierzymy***

*Przybysze spoza Ziemi nie ujawnią celów swej misji, dopóki wystarczająca liczba ludzi nie zaakceptuje istnienia UFO, dopóki ludzie nie będą w stanie zrozumieć owych zjawisk w aspekcie technicznym i naukowym. Taką opinię wyraził dr Harley Rutledge po siedmiu latach badań. Twierdzi on, że UFO nieustannie krążą wokół Ziemi, czytają nasze myśli i słuchają rozmów, tyle że zwykle poruszają się tak szybko, iż nie jesteśmy w stanie ich dojrzeć. Stają się widoczne dopiero wówczas, gdy pragną zwrócić na siebie naszą uwagę.*

Dr Rutledge, dziekan wydziału fizyki uniwersytetu stanowego South Western Missouri, powiedział, że gdy w 1973 roku rozpoczęły się badania, był do nich nastawiony sceptycznie. On sam wraz z 500-osobową grupą pomocników spędzili 2000 godzin, obserwując niebo nad trzema miastami w stanie Missouri: Cape Giradeau, Piedmont i Farmington. Złożyli relacje o 157 obserwacjach 178 obiektów UFO. W 16 przypadkach obserwatorzy zauważyli reakcję UFO na ruchy, głosy, sygnały radiowe i myśli członków zespołu.

"Czuliśmy, że mamy do czynienia z jakąś inteligencją - powiedział dr Rutledge. - Miałem wrażenie, jakby coś bawiło się z nami. W jednym przypadku rozmyślnie zmieniliśmy pozycję obserwacyjną i przenieśliśmy się 15 km na zachód, żeby znaleźć się wprost na drodze UFO, które obserwowaliśmy. UFO także zmieniły położenie, okrążając nas, jak to czyniły poprzednio".

Dodaje jeszcze: "Przypuszczam, że ich gra ma na celu stopniowe wytworzenie ogólnej przychylności poprzez częste pojawianie się. Coraz więcej obiektów UFO będzie widać w różnych miejscach, dzięki temu zwiększy się liczba "nawróconych". Kiedy już je zrozumiemy i gdy większość mieszkańców Ziemi pogodzi się z obecnością UFO, wówczas spotkamy się z nimi oko w oko i dowiemy się, dlaczego tu przybyły".

Lord Clancarty, który skłonił brytyjską Izbę Lordów do wszczęcia debaty na temat UFO, mówi: "Jestem przekonany, że z powodu prób nuklearnych i zanieczyszczenia atmosfery zainteresowano się nami z przestrzeni kosmicznej. Sądzę, że jesteśmy w przededniu oficjalnego lądowania na Ziemi." Inni uważają, że UFO są tylko lotami rozpoznawczymi.

Prawdopodobnie najbardziej racjonalne wytłumaczenie przedstawia dr Stanton Friedman, który, nim stał się ufologiem w pełnym wymiarze czasu, był fizykiem pracującym dla amerykańskich instytucji rządowych. Mówi on: *Nie mają zamiaru osiedlać się tutaj, obawiają się jedynie tego, co my zrobimy, gdy się stąd ruszymy.*

Dr Friedman, który mówi, że rozmawiał z ponad 90 byłymi wyższymi oficerami armii na temat przesłań UFO wychwyconych przez stacje śledzenia lotów kosmicznych, dodaje: *Oni wiedzą, że to tylko kwestia czasu - powiedzmy 100 lat, czyli w skali kosmicznej prawie nic - zanim wyślemy w przestrzeń swoje statki i spróbujemy stać się częścią Federacji Galaktycznej. Nim to jednak nastąpi, pragną upewnić się, że wszystko o nas wiedzą. Widzą obecnie prymitywne społeczeństwo, które przeważnie uwikłane jest w wojny plemienne. Jest więc zrozumiałe, że chcą się o nas dowiedzieć czegoś więcej.*

Jim Lorenzen, dyrektor Aerial Phenomena Research Organization (agencja badania zjawisk powietrznych), tak mówi: *Dla nich próba lądowania tutaj w większej liczbie byłaby czymś na kształt naszej ingerencji w starożytne cywilizacje w głębi puszczy i usiłowanie narzucenia im modelu naszej cywilizacji. Skutek byłby katastrofalny. (...) Mamy obecnie klucz do wszechświata, którego istnienia nigdy nie podejrzewaliśmy. Od nas zależy, czy użyjemy owego klucza, czy też unicestwimy się wskutek szaleństwa wojen.*

## *Dziwaczne autopsje*

Według badacza UFO Leonarda Stringfielda, w Stanach Zjednoczonych wydobyto ponad 30 ciał humanoidów z rozbitych statków pozaziemskich. Wiele z nich poddano autopsji, wszystkie zaś są przechowywane w bazie sił powietrznych Wright-Patterson w Ohio lub w podziemnym kompleksie militarnym sił powietrznych w pobliżu Colorado Springs.

Stringfield, który twierdzi, że kosmici mierzą od 105 do 150 cm wzrostu, są wysmukli, mają nieproporcjonalnie duże bezwłose głowy, swą zaskakującą opinię wygłosił po rozmowie z dwoma lekarzami i sześcioma osobami spośród personelu sił powietrznych, które w ostatnich 30 latach miały uczestniczyć w wydobywaniu i badaniu ciał przybyszów spoza Ziemi. Dodaje on, że specjalnie szkolona jednostka "niebieskich beretów" znajduje się w ciągłym pogotowiu, by wyruszyć natychmiast do akcji na wieść o kolejnej katastrofie UFO.

Wszyscy informatorzy Stringfielda zastrzegali sobie anonimowość, on sam zaś odmówił podania ich nazwisk nawet wówczas, gdy zadawano mu konkretne pytania odnośnie jego książki. Oto co - według jego słów - mieli mu powiedzieć owi informatorzy:

Lekarz, który przyglądał się autopsji w początkach lat pięćdziesiątych, opisał ciało humanoida jako liczące ponad 120 cm. Przybysz miał dużą, gruszkowatą głowę z głęboko osadzonymi w niej, mongoidalnymi oczyma. Nie posiadał powiek, małżowin usznych, zębów lub jakiegokolwiek zarostu.

Kolejny informator Stringfielda - były major i pilot sił powietrznych - obserwował dziwne ciała w podziemnej chłodni w bazie Wright-Patterson w 1952 roku, po tym, jak dowództwo sił powietrznych wydało tajną instrukcję, nakazującą pilotom ścigającym UFO zestrzeliwać obce obiekty latające.

Inny pilot sił powietrznych USA widział trzy pojemniki dostarczone do bazy Wright-Patterson w 1953 roku. Powiedziano mu, że w środku znajdują się ciała z latającego spodka, który rozbił się w Arizonie. Pewien oficer powiedział, że kiedy na miejscu katastrofy zjawiły się ekipy ratownicze, humanoidzi jeszcze żyli, jednak wkrótce zmarli, mimo dostarczenia im masek tlenowych.

Oficer wywiadu wojskowego oglądał w 1966 roku dziewięć ciał załogantów obcego statku kosmicznego zamrożonego w bazie Wright-Patterson. Poinformowano go wówczas, że jest jeszcze 30 innych ciał, przechowywanych w rozmaitych obiektach należących do administracji rządowej. Ten sam człowiek dowiedział się później, że między 1966 a 1968 rokiem w rejonie Ohio, Indiany i Kentucky rozbiło się 5 pojazdów typu UFO.

Sierżant sił powietrznych i funkcjonariusz policji powietrznej - przedstawiony jedynie z imienia jako Carl - opowiadał, że zawiązano mu oczy i zawieziono do trzymanego w tajemnicy miejsca, gdzie miał pełnić straż przy jakimś pomieszczeniu. Gdy zerknął do środka, ujrzał trzy niewielkie ciała długości około 90 cm z niezwykle dużymi głowami.

Lekarz, który uczestniczył w autopsji zwłok humanoidów, mówił, że nie posiadały one układu trawiennego i organów płciowych. Krew była bezbarwna.

Stringfield, którego relacje opublikowano w "Mutual UFO Network" w Teksasie, utrzymywał także, iż niektórym załogantom UFO udało się zbiec. Pewien pułkownik opowiadał mu, że w 1968 roku stanął oko w oko z obcymi przybyszami, którzy wyszli ze spodka w bazie sił powietrznych Nellisi w Newadzie. Strumień światła poraził go wówczas do tego stopnia, że mógł jedynie obserwować, jak obcy weszli z powrotem do swego pojazdu i odlecieli.

Inni przybysze nie umieli tak skutecznie zapanować nad ludzkimi istotami, na które się natknęli. Nawet jeśli ich statki lądowały szczęśliwie na Ziemi, stawali w obliczu nowego zagrożenia.

**Tłumaczyły: Hanna Jankowska**
**i Grażyna Gasparska**

**Pilotowi USAF, który miał w powietrzu spotkanie z NOL-em usiłowano wmówić, że był to... Jowisz. Katastrofę zniszczonego - przez obiekt nieznanego pochodzenia - kubańskiego pościgowca, wywiad polecił zakwalifikować jako rezultat „wady technicznej"**

# CIA kontra UFO

W Stanach Zjednoczonych doszło niedawno do kontrowersji pomiędzy CIA a Pentagonem na tle zezwolenia na publikację danych uzyskanych w wyniku badań nad Nieznanymi Obiektami Latającymi, które znajdują się w posiadaniu rządu USA. Wygląda na to, że CIA ma na te informacje monopol. Nie tylko zresztą na nie - oskarża się ją bowiem coraz częściej o dezinformowanie społeczeństwa oraz mass-mediów. Coraz więcej wskazuje na to, że CIA pragnie mieć całkowitą wyłączność na te informacje i utrzymać je na poziomie o wiele wyższym niż TOP SECRET.

Słynna obserwacja pilotującego w 1946 r. mały samolot, Kennetha Arnolda, zapoczątkowała nową erę. Arnold, jak wiadomo, w okolicy szczytu Mt. Rainier w stanie Waszyngton, zaobserwował 9 srebrzystych NOL-i. Od tego czasu USAF pilnie zaczęły studiować anatomię tego zjawiska.

W pięć lat później samolot transportujący na Hawaje sekretarza Marynarki Wojennej USA, Dana Kimballa - został zaatakowany przez dwa NOL-e. Pilot po wylądowaniu sporządził o tym wydarzeniu raport. Po powrocie do Pentagonu Kimball zapytał o to, jakie kroki poczyniły USAF w celu zidentyfikowania nieznanych pojazdów powietrznych. Powiedziano mu, że nie jest rzeczą wskazaną dyskutować o całym wydarzeniu ze względów politycznych i nawet świadkowie powinni na ten temat nie zabierać głosu!...

Siły Powietrzne wkrótce to „odszczekały", zaś Kimball polecił ONR (Office of Naval Research - Biuro Badań Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych; wywiad morski USA - przyp. tłum.) zapoczątkowanie analizy wszystkich raportów o NOL-ach sporządzonych przez US Navy i Marine Corps (piechota morska - USMC - United States Marine Corps - przyp. tłum.).

Wówczas, wysokie „szarże" w Siłach Powietrznych okazały nagle zaniepokojenie. Chociaż mieli oni swe „wtyki" na Kapitolu, a rządowa prasa dementowała doniesienia związane z „falą" NOL-i, niezależne media nadal rozdmuchiwały sprawę, a akcja ze strony US Navy wskazywała na to, że UFO przestały być tylko ich sprawą. (Notabene w 1946 r., po próbnym teście wodorowym na Bikini, sekretarz do spraw USAF oświadczył, że US Navy jako rodzaj sił zbrojnych jest skończony i że USA zawdzięczają swą mocarstwową pozycję przede wszystkim Siłom Powietrznym - przyp. tłum.). W rozgrywce tej nie było jeszcze trzeciego partnera, CIA powstała bowiem w 1948 r. (Nieprawda. NOL-e znajdowały się w polu zainteresowania początkowo OSS, a potem JIC, które były protoplastami współczesnej CIA, jako wywiadu politycznego - przyp. redakcji „NŚ").

29 stycznia 1952 r. do dyrektora CIA napłynęło memorandum sygnowane przez Ralpha L. Clarka - dyrektora OSI (Office of Scientific Intelligence - Biuro Wywiadu Naukowo-Technicznego. W strukturach służb specjalnych Układu Warszawskiego odpowiadał mu GKNIIR - czyli Gławnoj Komitiet Nauczno-Issliedowatielnoj Razwietki - wspólna dla KGB i GRU organizacja wywiadu naukowo-technicznego - przyp. tłum.). Fragment tego memorandum brzmiał następująco: „... W ciągu ostatnich paru tygodni kilkanaście grup NOL-i było widzianych już to wizualnie, już to przy pomocy radaru. Nasze Biuro zajmuje się tą problematyką od trzech lat i nawet powołało specjalną grupę badawczą, w celu dokonania lustracji wszystkich danych o tych zjawiskach".

W międzyczasie naukowcy z ONR doszli do wniosku, że: „NOL-e są z całą pewnością

## sterowanymi obiektami latającymi

nieznanego pochodzenia...", zaś badacze z ATIC (Air Technical Intelligence Center - Centrum Wywiadu Technicznego Sił Powietrznych - przyp. tłum.) potwierdzili tę opinię, utrzymując, że „NOL-e są czymś całkowicie realnym i nie noszą cech wizjonerstwa, czy fantazji ich obserwatorów..."

Obie służby specjalne były więc zgodne co do tego, że NOL-e są czymś spoza naszej planety - a konkretnie pojazdami międzyplanetarnymi i nie stwarzają jakiegoś niespodziewanego bezpośredniego zagrożenia dla Ziemi. Jednakże opinia publiczna powinna być o tym poinformowana, bowiem bezpośrednie zetknięcie z kulturą Obcych mogłoby zaszokować Ludzkość.

CIA miała na ten temat oczywiście odmienne zdanie.

Tajne memorandum siłą rzeczy trafiło do rąk Waltera Bedalla Smitha - dyrektora CIA. W czasie II wojny światowej był on szefem sztabu gen. Eisenhowera w Europie. Potem gen. Smith został wysłany do Rosji, gdzie pełnił funkcję ambasadora w ZSRR. Dyrektorem Agencji został 7 października 1950 r.

Sekretne memorandum dr. H. Marshall Chadwella, pomocnika dyrektora OSI głosiło, że: „Latające Talerze posiadają dwa niebezpieczne dla USA elementy. Pierwszy z nich, to przyciąganie masowego zainteresowania naszego społeczeństwa. Drugie - to stępienie czujności na nagły i niespodziewany atak z powietrza na nasz kraj."

Smith miał inny problem. Skoro wszystkie rodzaje sił zbrojnych zajęły się badaniem zjawiska NOL-i, dalsze utrzymanie tego w tajemnicy przed mediami może okazać się niemożliwe. CIA musi w tej sytuacji utrzymać wszystko pod kontrolą i zniechęcać każdego, kto zamierzałby się zainteresować na nowo tym zagadnieniem.

Smith zaprosił kilku naukowców i wysokich oficerów Sił Zbrojnych USA na naradę, której celem było zanalizowanie aktualnej sytuacji. Konferencja była prowadzona przez dr. H.P. Robertsona i znana jest pod pojęciem Panelu Robertsona. Jej uczestnicy przybyli na miejsce w całkowitej tajemnicy. Oto i oni:

Dr. Robertson był fizykiem, który kierował projektami naukowymi USA w czasie II wojny światowej.

Drugim naukowcem był dr. Luis Alvarez, twórczy geniusz MIT-u, który w 1968 r. otrzymał za swe badania Nagrodę Nobla.

Kolejnymi uczonymi byli dyrektorzy Brookhaven National Laboratories i zarazem fizycy dr. Samuel A. Goudsmith i dr. Llyod V. Berkner.

W gronie tym znalazł się także astronom i dyrektor wydziału Biura Badań Operacyjnych w Uniwersytecie Johna Hopkinsa.

Agencję reprezentowali dr. H. Marshall Chadwell i Ralph L. Clark z OSI.

Z ramienia USAF udział wzięli: kpt. Edward J. Ruppelt - szef Project Blue Book, mjr. Devey J. Fournet z Wydziału Wywiadu Projektu Blue Book i konsultant naukowy Projektu - dr. J. Allen Hynek.

Uczestnicy panelu spotkali się po raz pierwszy w okresie od 14-17 stycznia 1953 r. i ponad 12 godzin dziennie wertowali dane z pięcioletniego okresu obserwacji. Konferencja miała postać eleganckiego party sprytnie wyreżyserowanego przez CIA. Jej funkcjonariusze pozwolili na zapoznanie się obecnych z 20 mniej interesującymi incydentami oraz pokazali dwa filmy dotyczące obserwacji NOL-i. Zdecydowaną większość zaprezentowanego przez kpt. Ruppelta i mjr. Fourneta materiału odrzucono ze względu na to, że „była to kolekcja surowego, nieobrobionego materiału..."

Panel Robertsona doszedł do wniosku, że zaprezentowane dowody istnienia NOL-i nie zawierają żadnych danych, które wskazywałyby, że fenomeny te w sposób fizyczny zagrażają bezpieczeństwu narodowemu. W związku z tym informacje o nich można podać do wiadomości publicznej.

Dyrektor CIA - gen. Walter Badell Smith nie zgodził się z tym stanowiskiem i zdecydował się na utrzymywanie wszelkich danych o NOL-ach w tajemnicy.

Decyzja ta zaszokowała kpt. Ruppelta i mjr. Fourneta. Zanalizowali oni wszak tysiące raportów na ten temat wspólnie z uczonymi z ATIC i byli pewni, że Ziemia pozostaje pod stałą obserwacją Pozaziemskich Gości... Byli oni także przekonani, że masowa histeria nie będzie zagrażać wówczas, jeśli ludziom powie się po prostu prawdę. Niestety, obaj oficerowie nie mieli najmniejszych szans na opublikowanie swych poglądów.

Plan gen. Smitha „uziemił" wysiłki USAF prowadzące do

## ujawnienia prawdy

o NOL-ach. Fournet wkrótce wycofał się z całej sprawy, zaś Ruppelt przeniósł do innej służby.

W miesiąc później, na dyrektora CIA powołano Allena W. Dullesa, który zatwierdził decyzję swego poprzednika.

To tuszowanie prawdy o NOL-ach trwa do dziś - twierdzi pismo „UFO Universi" - a biorą w tym udział CIA i inne rządowe agencje, a także wszystkie służby wywiadu amerykańskich Sił Zbrojnych...

Jedno z memorandów tak określa stosunek Agencji do opinii publicznej:

„Trzeba położyć silny nacisk na to, żeby nie dostało się do prasy ani jedno słowo na temat pracy i zainteresowań CIA."

Słynny *Projekt Blue Book* stał się jak wiadomo własnością publiczną. Rychło znalazł się on jednak pod obstrzałem Agencji, która - nie mogąc zanegować faktów - atakowała wiarygodność świadków. W ten właśnie sposób dyskredytowano niektóre obserwacje, jak np. dokonaną przez pilota USAF - Dona Blakeslee'a. Wracając do bazy w Japonii został on powiadomiony przez służby naziemne, że leci w jego kierunku jakiś NOL. Blakeslee widział NOL-a na radarze, a w chwilę później już gołym okiem, jako świecący czerwono-zielonym światłem krążek, który od czasu do czasu błyskał biało, jakby rotując. Po chwili NOL „dodał gazu" i znikł z jego pola widzenia.

Na polecenie CIA, oficerowie z programu Blue Book zidentyfikowali owego NOL-a jako... - planetę Jowisz! Niestety Jowisz nie mógł pojawić się na monitorach radarów kontroli lotu w bazie USAF. Tej nocy był on odległy o 366 mln mil od Ziemi. Nie przeszkodziło to agentom CIA w zmianie taktyki - świadków nazwano „niekompetentnymi i niewiarygodnymi" - co jednakże z kolei mogło odnieść się tylko do młodych podporuczników po akademii, a nie do starych lotniczych wygów, których nie jest w stanie wystraszyć byle co w powietrzu. Agenci nie zadawali sobie trudu sprawdzenia takich „detali".

Tymczasem szło o nie byle kogo, bo trzykrotnego „asa" walk powietrznych - płk. Donalda J. Blakeslee'a, mającego na koncie 15 zestrzeleń w czasie walk w składzie Skrzydła Orłów RAF, gdzie był szanowany zarówno przez swych podwładnych i przełożonych.

Dzięki kretyńskiej polityce „demaskowania" i dyskredytowania świadków, główną ofiarą CIA padła lwia część personelu latającego, a w mniejszym stopniu także naziemnego i administracyjnego, a takie incydenty powtarzały się do czasu rozwiązania Project Blue Book w 1969 r.

CIA tymczasem ciągle depresjonowała wagę dowodów związanych z pojawianiem się UFO. Jednocześnie specjaliści z USAF wciąż te dowody zbierali. Najbardziej zszokowany był szef Połączonego Sztabu Sił Zbrojnych, kiedy powiedziano mu, że NOL-e są „odpowiedzialne" za zniszczenie nowego kompleksu urządzeń radiolokacyjnych na Florydzie. Ów unikalny system został zaprojektowany z myślą wykrywania i śledzenia obiektów w przestrzeni kosmicznej...

O co tu chodzi? Otóż w nocy 5 stycznia 1965 r. nad Eglin AFB (Air Force Base - baza lotnicza Sił Powietrznych - przyp. tłum.). pojawił się niezidentyfikowany cel, a w chwilę później potężny płomień „uderzył" w budynek radarów i unieszkodliwił system wartości 30 mln dolarów.

Lotnicy wojskowi zaczęli z NOL-ami zabawy w kotka i myszkę, które kończyły się tragicznie. W październiku 1969 r. operator radaru USAF na monitorze radaru zarejestrował serię niezidentyfikowanych ech. Cele wydawały się wykonywać jakieś manewry nad budynkiem Komisji ds. Energii Atomowej w Oak Ridge w stanie Tennessee. Kiedy dwa pościgowce F-4 zbliżyły się do nich na odległość 5 milowego zasięgu ich broni pokładowej, NOL-e „odskoczyły" z ogromną prędkością i zawisły nad ziemią w odległości około 60 mil od nich. Piloci polecieli „na przechwyt", używając dopalaczy i podeszli na odległość trzech mil od NOL-i. W moment później,

## operator radaru zdębiał

gdy jeden z F-4 zniknął w mgnieniu oka z ekranu. Po upływie 10 sekund zniknął także drugi myśliwiec przechwytujący.

Ekipy poszukiwawczo-ratownicze poleciały w rejon, w którym ostatni raz widziano obydwa samoloty, (udało się go ustalić na podstawie namiaru radarowego). Okazało się, że oba pościgowce zostały zestrzelone - czy raczej strącone z pułapu 25.000 stóp (tj. około 8.300 m), a ich szczątki rozproszyły się na powierzchni wielu hektarów.

Komisja dochodzeniowa była zdumiona stanem wraków. Części zrobione z tytanu uległy jakby „krystalizacji", zaś plastikowe zostały rozdarte na strzępy. Analityków z USAF zaskoczyło także to, że NOL-e zdecydowały się zaatakować ziemskie maszyny, bowiem żaden z pilotów nie zdecydował się na agresywne zachowanie w stosunku do nich, nie mówiąc już o ostrzelaniu rakietami, czy z działek pokładowych.

Podobny przypadek przyciągnął uwagę CIA, po otrzymaniu przez nią kopii raportu, jaki wpłynął od NSA (National Security Agency - Agencja Bezpieczeństwa Narodowego - amerykańska służba kontrwywiadowcza - przyp.tłum.). Tym razem cała rzecz dotyczyła innego kraju. Mianowicie w Boca Chica Key na małej wysepce w archipelagu Florida Keys znajduje się Oddział A należący do 6947 Security Squadron (odpowiednik naszego radiokontrwywiadu - przyp. tłum.), który monitoruje rozmowy i sygnalizację radiową prowadzoną przez kubańskie jednostki wojskowe, lotnicze i siły bezpieczeństwa wewnętrznego. Gros przekazywanych w ten sposób informacji jest rutynowych, jednak pewnego dnia operatorzy przechwycili informację o przelocie niezwykłego obiektu.

Monotonny i nudny dzień został nagle przerwany przez Kubańczyków, których radary wyłapały nieznany cel nadlatujący z płn.-wsch. na wysokości około 33.000 stóp (czyli 11 km). Ogłoszono alarm i z bazy wyleciały dwa MiG-21 w celu przechwycenia NOL-a. Maszyny te, których używa cały sowiecki blok, są w stanie poruszać się z prędkością równą 2 Ma. Naziemna kontrola naprowadziła pilotów na odległość około 3 mil od celu. Dowódca grupy przechwytującej opisywał go jako: „jasną, metaliczną sferoidę, bez żadnych widocznych znaków czy detali."

Kiedy zawiodły próby „dogadania się" z intruzem przez radio pokładowe, grupa przechwytująca otrzymała rozkaz zniszczenia celu. Dowódca zajął miejsce dogodne do strzału i uzbroił SAM-y. W chwilę później drugi pościgowiec zameldował, że samolot dowódcy eksplodował... Nie było nawet dymu i ognia w momencie dezintegracji myśliwca. Tymczasem niezidentyfikowany obiekt pędził już w stronę Ameryki Południowej na wysokości 98.000 stóp (32,5 km).

Oddział A przesłał w tej sprawie odpowiedni meldunek do NSA i otrzymał polecenie zebrania wszystkich nagrań celem ich powielenia. W kilka godzin później, gdy zapisy dotarły do głównej kwatery CIA w Langley, oddział A dostał rozkaz przeredagowania wszystkich meldunków dotyczących wspomnianego wypadku. Według wersji podyktowanej przez CIA - kubański pościgowiec rozleciał się na kawałki wskutek „wady technicznej".

Kuba nie jest bynajmniej jedynym krajem poza USA, który przeżył tego rodzaju incydenty z NOL-ami.

Poszukiwacze ropy w Kuwejcie z Kuwait Oil Company mieli poważne problemy z elektronicznym sprzętem, kiedy 9 listopada 1979 r. dyskoidalny NOL pojawił się nad północnym polem roponośnym i „zastopował" zdalnie pompy tłoczące ropę do rurociągu. System wyłączył się automatycznie i został zablokowany na pozycji „wyłączone", tak iż można go było odblokować jedynie ręcznie. Wszystko wróciło do normy, kiedy NOL odleciał. Kuwejcki Instytut Badań Naukowych przekazał 8 informacji o tego rodzaju wydarzeniach, do jakich doszło w ciągu zaledwie 35 dni.

Sensacyjny przypadek interakcji myśliwców z NOL-em miał miejsce w Iranie, 19 września 1976 r. Bohaterem incydentu jest por. Jafari z Sharoki AFB, który wystartował „na przechwyt" w chwilę po doniesieniu na temat obserwacji NOL-a nad Teheranem. Niepotrzebne były radarowe namiary na cel -

## świecił on tak silnie

że był widoczny z odległości 140 km!

Jednakże na 25 mil przed celem zdumienie por. Jafariego zamieniło się w strach, kiedy naraz ustało zasilanie elektryczne wszystkich bez wyjątku systemów i podsystemów samolotu. Nie był on w stanie utrzymywać łączności, nawigować i uzbroić swej broni pokładowej. Pilot zaniechał w tej sytuacji myśli o przechwyceniu obiektu i zawrócił (co było możliwe, ponieważ lotki i stery samolotów pracują na cięgłach mechanicznych - przyp. tłum.). W chwilę później wszystko powróciło do stanu normalnego.

Na tym jednak nie koniec, gdyż po obniżeniu pułapu lotu Jafari stwierdził, że NOL także zanurkował w kierunku ziemi. Myśliwiec znajdował się w tym momencie na wysokości 3.000 m. Tymczasem NOL miękko wylądował i oświetlił teren w promieniu 5 mil!

Po wschodzie słońca Jafari udał się na miejsce lądowania helikopterem. Nie znalazł tam niczego nadzwyczajnego, ale czujniki wskazały wysoką radioaktywność gruntu. Wszystkie meldunki poszły oczywiście do CIA drogą dyplomatyczną. W całej tej historii dziwne jest to, że władze Iranu - a konkretnie całkowicie spenetrowana przez KGB tamtejsza tajna policja polityczna SAVAK - zgodziły się na współpracę z CIA, chyba że CIA wykorzystała swych agentów terenowych i operacja przebiegła bez użycia lokalnych organów bezpieczeństwa wewnętrznego - przyp. tłum.). W tym kontekście replika dr. Henry Kissingera jest szczytem dyplomacji: „Jest czymś skrajnie trudnym podanie jakiegoś sensownego wyjaśnienia fenomenu NOL-a widzianego w nocy 19 września 1976 r." Kissinger dodał przy tym, że każdy samolot mógłby zostać zmylony przez satelitę czy inny pojazd powietrzny made in USA. Ta wypowiedź dr. Kissingera wskazuje na to, że spreparowano ją w Agencji.

I jeszcze jedno oświadczenie, które nosi cechy fabrykacji przez CIA. Brzmi ono tak: „Cały problem NOL-i jest jednym z najbardziej kontrowersyjnych. Aktualnie nie ma w USA jakiejkolwiek rządowej agencji, która zajmowałaby się nim na serio, a to dlatego, że tzw. dokładne i wiarygodne dane dotyczą nie Nieznanych Obiektów Latających, a całkiem naturalnych zjawisk, które znajdują zupełnie naturalne wyjaśnienie."

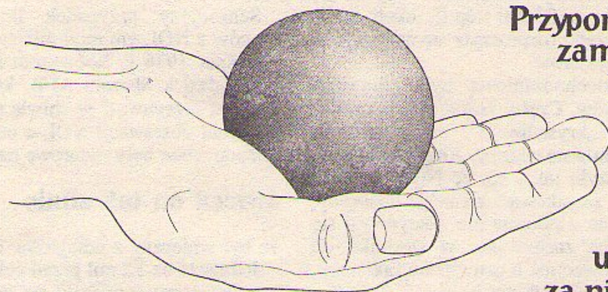
Ukrywanie prawdy - wbrew faktom oraz dokumentom - trwa już zatem ponad czterdzieści lat i nic nie wskazuje na to, by Centralna Agencja Wywiadowcza Stanów Zjednoczonych z tego zrezygnowała.

Na podstawie artykułu „CIA VERSUS UFO" zamieszczonego w UFO-Universe nr 1/93.

**Opracował:**
**kpt. SG Robert Leśniakiewicz**



## Dotknięcie Nieznanego



**Przypominamy, że w rubryce tej zamieszczamy wypowiedzi osób, które zetknęły się w swoim życiu ze zjawiskami nieznanymi, tajemniczymi, uznanymi przez nie za niezwykłe. Dziś kolejne relacje, nadesłane przez Czytelników.**

# Na niebie wielki ruch

I znów, tak jak czyniliśmy to już parokrotnie, wypowiedzi czytelników nadsyłane do rubryki „Dotknięcie Nieznanego" zgrupowaliśmy w blok tematyczny, poświęcony tym razem **obserwacjom niezidentyfikowanych obiektów latających oraz innych dziwnych zjawisk na nieboskłonie.** W niektórych przypadkach są to relacje doprawdy frapujące! Tytuł naszego dzisiejszego „Dotknięcia" zapożyczyliśmy... no skąd? (to taki mały test). Ależ tak, oczywiście. Wszyscy, którzy przeczytali wydaną u schyłku ubiegłego roku przez „Nieznany Świat" książkę „Jasnowidząca Wanga" z pewnością zapamiętali słowa niewidomej z Petricz, która - odpowiadając na jedno z pytań - stwierdziła, że „Na niebie jest wielki ruch". Refleksy tego ruchu odnajdziecie Państwo właśnie w drukowanych dziś relacjach. Życzymy ciekawej lektury, zaś badaczy zjawisk oraz faktów, związanych z pojawianiem się NOL-i informujemy, że gdyby niektóre opisane tu przypadki zainteresowały ich w celu sporządzenia bardziej szczegółowej, profesjonalnej dokumentacji, mogą liczyć na udostępnienie przez nas adresów świadków.

### Pewnego popołudnia w Nowym Jorku

Przez kilka lat mieszkałam w Nowym Jorku. Wiosną 1990 roku, już pod koniec mojego tam pobytu, zaobserwowałam pewnego dnia dziwny pojazd latający. Stałam wówczas przy otwartym oknie na VI piętrze budynku, położonego w południowej części Brooklynu, gdzie większość zabudowy stanowią niskie domki jednorodzinne. Widziałam więc z góry dachy domów i ogromną przestrzeń przede mną. Niebo było czyste, spokojne; powietrze przejrzyste; kilka minut po 13.00.

W pewnym momencie nad dachami domów, w odległości mniej więcej dwóch przecznic ode mnie i niezbyt wysoko, ujrzałam błyszczący metalicznie przedmiot, który wyglądał jak połówka kuli o średnicy ok. 8-10 m. Swoją wypukłą częścią skierowany był w dół. Obiekt ten wolno, ruchem wahadłowym, obniżał się. Przeleciał pewien odcinek, następnie zatrzymał się na moment w powietrzu, odwrócił w moją stronę płaską, górną powierzchnią i w tym momencie błysnął odbitym od niego światłem słonecznym niczym lusterkiem. Potem „wyprostował się" (tak więc wypukłą powierzchnią znów skierowany był w dół) i wzbił się błyskawicznie w górę, szybko znikając z oczu.

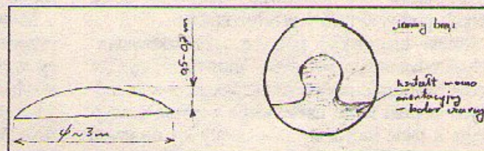
Całe zdarzenie trwało najwyżej kilkanaście sekund. Podzieliłam się tym przeżyciem z kilkoma osobami stale zamieszkującymi w Nowym jorku, które stwierdziły, że nieznane obiekty latające często pojawiają się nad miastem, ale informacje o tych faktach nie są publikowane.

*Jadwiga Kisielowska*
*Wieliczka*

### Na szczycie

Jestem tzw. turystą pieszym i co roku wyruszam w góry (dawniej robiłem to częściej). Tym razem były to Bieszczady.

W poniedziałek 17 sierpnia 1992 r. szliśmy grupą złożoną z 10 osób przez Połoninę Caryńską. Ok. godz. 16.30 zatrzymaliśmy się na szczycie liczącym 1297 m n.p.m. (mapa turystyczna „Bieszczady" skala 1:75000). Właśnie wtedy ktoś zwrócił uwagę na obiekt widoczny wysoko na niebie. Znajdował się on



ok. 500 m nad 1234-metrowym szczytem (Połonina Caryńska), przy czym według mapy odległość między szczytem o wys. 1234 m, a „naszym" wynosiła ok. 1,4 km.

Patrząc w stronę obiektu mieliśmy słońce za sobą, dzięki czemu NOL był doskonale oświetlony. Jego lot polegał na opadaniu chybotliwym ruchem oraz wolnym przemieszczaniu się w lewo.

Dzięki „chybotaniu" obiektu, można było zaobserwować dość dokładnie jego kształt. Można go porównać do kawałka odciętej kuli. Spód miał płaski, natomiast wierzch wypukły, a przy tym metalicznie lśniący (doskonale odbijał światło słoneczne).

Obserwowałem go aż do chwili zniknięcia za wzgórzem, przez kiepską lornetkę (20x30 - produkcji rosyjskiej). Udało mi się jednak dostrzec, że spód obiektu był ciemno-brązowy z ciemniejszym rysunkiem (vide szkic).

Jak już wspomniałem, NOL wolno opadał i chybotał się aż do chwili, gdy znalazł się nad lasem. Od tego momentu jego lot stał się bardziej spokojny: już bez chybotania unosił się nad koronami drzew. Odległość zwiększyła się do ok. 2,5 km, jednak dzięki świetnej widoczności można go było obserwować nadal. Doszedłem wówczas do wniosku, że NOL musi mieć ok. 3 m średnicy. Poruszał się nad drzewami ruchem trochę zygzakowatym; sprawiało to wrażenie, że czegoś szuka. Ciągle się od nas oddalał, aż wreszcie, w pewnym momencie, wzniósł się i przeleciał nad wzgórzem, znikając z oczu.

Niestety, nie dysponujemy dokumentacją fotograficzną z całego zdarzenia. Mieliśmy tylko aparat automatyczny o krótkiej ogniskowej. Robienie zdjęć nie miało więc większego sensu.

Czytałem książkę prof. Hynka „Zetknięcie z UFO". Wynika z niej, że tego typu relacje posiadają małą wartość. Dlatego nie używam tu określenia „UFO". Natomiast do sporządzenia opisu zdarzenia, co do którego nie miałem jednoznacznego stosunku, skłoniła mnie rozmowa, podsłuchana w autobusie przez

jednego z uczestników wyjazdu w Bieszczady. Usłyszał on mianowicie o pojawieniu się podobnego obiektu, widzianego w lecie tego samego 1992 roku w Krynicy.

*Piotr Szonert*
*Warszawa*

## Gwiazda - fantom

31 stycznia 1993 r. około godz. 18.40 wracałam do domu. Odruchowo spojrzałam na niebo. Było bezchmurne i bezgwiezdne, nawet Księżyc nie świecił. mimo to na nieboskłonie tkwiła, ku memu zaskoczeniu, gwiazda - nie gwiazda - jedna, jedyna; wyjątkowo silnie świecąca. Była całkowicie nieruchoma. Z mieszkania obserwowałam ją z krótkimi przerwami do godz. ok. 20.00. Pozostawała wciąż w tym samym miejscu.

Ok. 20.30, gdy spojrzałam na niebo, nie było jej już ani tam, gdzie przed chwilą świeciła, ani nigdzie w pobliżu. Niebo było wciąż takie samo i dopiero ok. 23.00 pojawiły się na nim normalnie widoczne gwiazdy. Tej mocno świecącej jednak brakowało.

4 lutego br. w tym samym miejscu ok. 19.30 zobaczyłam tę samą „gwiazdę", jednak była ona wówczas trochę mniejsza. Obserwowałam ją do godz. 20.00. W tym czasie stopniowo się zmniejszała aż do zniknięcia.

Pragnę dodać, że 31 stycznia całe zjawisko obserwowali również znajomi z odległego o 25 km od Wrześni Gniezna.

*Stefania W.*
*Września*
*(nazwisko i adres znane redakcji)*

## Piorun kulisty?

Jesienią 1983 roku zbudziłam się około 2.00 w nocy i poszłam do łazienki. Mieszkam na wsi, niemal pod samym lasem i okno mojej łazienki wychodzi na ogród, a dalej łąki, dla których tłem jest właśnie las o zróżnicowanym wieku - z przodu młodniki - z tyłu stary bór. Rośnie on w odległości ok. 250 m od mojego domu.

To, co wówczas ujrzałam, wprawiło mnie w osłupienie. Łazienkę „zalewało" żółte światło, które jak gdyby „pulsowało" Zobaczyłam przez okno, że nad łąką, około 100 m od domu, unosi się pomarańczowa kula o średnicy ok. 5 m. Kula ta przybierała na przemian kolor pomarańczowy, jaśniejszy i ciemniejszy, przy czym jej barwa charakteryzowała się szczególną intensywnością - zupełnie jakby kula żyła i pulsowała.

Otworzyłam okno i wtedy usłyszałam towarzyszący obserwowanemu zjawisku dźwięk. Dziwny był to dźwięk. Przypominał „bzykanie" prądu elektrycznego płynącego w przewodach linii wysokiego napięcia. Taki jednostajny - raz cichszy, a po chwili głośniejszy.

Stałam tak chyba ze 3 minuty, a potem pobiegłam do sypialni po męża. Przez kilka kolejnych minut obserwowaliśmy zjawisko razem. Byliśmy nim zafascynowani i jednocześnie trochę przerażeni. Kiedy na chwilę odeszliśmy od okna, a potem do niego wróciliśmy - już TEGO nie było. Na „dworze" panowały nieprzeniknione ciemności.

Rano, gdy opowiedzieliśmy o tym rodzinie, nikt nam nie uwierzył. Po prostu zostaliśmy wyśmiani. Parę miesięcy później wyczytałam w jednym z tygodników apel o kontakt, skierowany do osób, które widziały podobne zjawisko i przekazanie informacji o nim do jakiegoś krakowskiego klubu, którego nazwy nie zapamiętałam (niewykluczone, że chodziło o krakowską Grupę Badań NOL - przyp.red.).

*Krystyna Domaracka*
*Olbrachtów*
*woj. zielonogórskie*

## Czerwony zwiadowca

21 lipca 1992 r., godz. 21.30. Po upalnym dniu nadciągnął ciepły, letni wieczór, pora w sam raz na spacer. Biorę więc ze sobą psa i wychodzę. Piękny zachód słońca i ciepło wręcz zachęcają do pobytu na powietrzu.

Idąc do pobliskiego lasu, mniej więcej po 30 minutach stwierdzam, że w przyrodzie coś się zaczyna zmieniać. Wszystko wokół nagle pociemniało, a od zachodniej strony pojawiła się chmura: ciężka, czarna, ponura. Sunęła powoli w zwartej masie, po linii prostej, ostro kontrastując z niebem.

Poczułam się nieswojo i postanowiłam wrócić na swoją ulicę, sądząc, że bliżej domu będę bezpieczniejsza. Tak też uczyniłam. Jednocześnie cały czas odczuwałam wyraźny niepokój. Zaciekawiona zarejestrowanym przed chwilą zjawiskiem postanowiłam obserwować je nadal już z okna mego domu (X piętro).

Po chwili zauważyłam w chmurach wąski prześwit. Jakież było moje zdumienie, kiedy ta mała szczelina okazała się niczym innym, jak... wielkim okiem (!). Miałam wrażenie jakby „ktoś" bacznie lustrował teren. Po chwili od północnej strony pojawił się obiekt, który nazwałam na swój użytek czerwonym zwiadowcą, ale widocznie wolał bezpiecznie ominąć teren zabudowany, gdyż wkrótce zawrócił, poruszając się tą samą trasą co poprzednio.

Moje zdumienie było tym większe, że tamtego dnia nie spadła nawet kropla deszczu. Często wracam myślami do zrelacjonowanego tu zjawiska, nie znajdując dla niego żadnego w miarę rozsądnego wyjaśnienia. Ponieważ zaś nie pomyślałam wówczas o tym, by je sfotografować, narysowałam je.

*Anna K.*
*Włocławek*
*(nazwisko i adres znane redakcji)*

## Ukłucie i głowa w oknie

Będąc trzyletnim dzieckiem przebywałem w środku nocy w łazience, gdy pojawiła się przy mnie postać o niskim wzroście i dużej głowie, po czym ukłuła mnie w dłoń. Postać tę wziąłem w pewnej chwili za sąsiadkę, która mieszkała za ścianą i mniej więcej odpowiadała takiemu rysopisowi. Do naszego mieszkania mogłaby się ona jednak dostać tylko przez drzwi frontowe albo kuchenne, które w nocy były oczywiście zamknięte na klucz. Między naszym a jej mieszkaniem nie było też żadnego przejścia. Zinterpretowałem to więc jako przejście przez ścianę (w tym wieku wierzy się w takie możliwości). Postać ta pojawiła się jeszcze kilka razy, najczęściej nad ranem i nieraz miałem wrażenie, że mnie dotyka, choć nie było już kłucia w dłoń, czego się bardzo bałem.

W rok później przeprowadziliśmy się do innego mieszkania, położonego przy tej samej ulicy. W tym drugim mieszkaniu w wieku może pięciu lat ujrzałem o świcie w oknie (na pierwszym piętrze) postać o wielkiej głowie i oczach, która wykonywała tą głową mechaniczne poziome ruchy. Jeszcze dzisiaj przechodzą mnie dreszcze, gdy przypomnę sobie spojrzenie tej postaci, kierującej na mnie wzrok. Nie byłem w stanie wówczas oderwać od okna oczu, choć bardzo chciałem to zrobić. Po dłuższej chwili udało mi się to w końcu uczynić i schować głowę w poduszkę. Co się potem ze mną działo - nie pamiętam.

Nikt oczywiście nie dawał wiary moim opowiadaniom. Jedni kładli to na karb sennych marzeń, inni - dziecięcej fantazji, której rzeczywiście mi nie brakowało.

Po wielu latach sam byłem skłonny uznać to za marzenia ☛

senne, tym bardziej, że później już tego typu widzenia się nie powtórzyły. Byłem więc do niedawna przekonany, że nie mogły być one obrazami rzeczywistymi. W końcu wielu ludzi miewa wizje, spowodowane wpływem różnych, często trudnych do ustalenia czynników.

Nie wspominałbym więc dziś o tamtych przeżyciach, gdyby nie... No, właśnie! Czytając przed półtora rokiem któryś z numerów kwartalnika „UFO" natknąłem się na relację kilkuletniej dziewczynki z USA, która również w nocy była kłuta w dłoń przez nieznane postacie (w jej przypadku było ich kilka). Z opisu przypominały one postać widzianą przeze mnie w oknie. W innym numerze „UFO" przeczytałem relację z obserwacji postaci, dokonaną przez dwie młode dziewczyny (było to chyba na terenie byłego ZSRR). Postać ta poruszała się drogą i wykonywała właśnie takie mechaniczne, poziome ruchy głową. Również w „Nieznanym Świecie" w dziale „Dotknięcie Nieznanego" drukowano listy, których autorzy pisali o „zjawach" wykonujących tego typu skręty głową, choć nie w każdym przypadku miało to związek z UFO.

Przeglądając kiedyś książkę Lucjana Znicza (której niestety, do końca nie przeczytałem) zobaczyłem rysunek „Człowieka z Marsa", którego oblicze bardzo przypominało twarz widzianą w oknie (zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że - jeżeliby istniało życie na innych planetach - to na pewno nie należałby do nich Mars ani żadna inna planeta Układu Słonecznego). Być może wszystko to stanowi tylko zbieg okoliczności, ale wydaje mi się, że za dużo tu powtarzających się elementów.

*Jerzy Chodor*
*Szczecin*

## Przed czterdziestu laty

Było to bodaj w 1953 roku, a ja miałam wtedy 12 lat. Po powrocie ze szkoły, po południu, wyszłam przed furtkę na ulicę. W pewnym momencie spojrzałam w niebo. To, co na nim zobaczyłam, było wprost fantastyczne. „Wisiał" na nim, dość nisko, dziwny obiekt, na tyle duży, że zapamiętałam go jako coś znacznie większego, niż oglądany z bliska samolot. Drugi, podobny do niego obiekt znajdował się znacznie wyżej i pozostawał w ciągłym ruchu. Poruszał się w różnych kierunkach - jak błyskawica. Pamiętam, że od kręcenia za nim głową rozbolała mnie szyja.

W moim ówczesnym pojęciu materiał, z jakiego oba obiekty były zbudowane, przypominał aluminium. Przy jednym z nich dostrzegłam śmieszny „ogonek"; taki sam, jaki towrzy się za przelatującym odrzutowcem. Po kilkunastu minutach wiszący obiekt uniósł się pionowo w górę z zawrotną wręcz szybkością i zniknął mi z oczu.

Na drugi dzień pytałam w klasie, kto widział „latające talerze". Na to jedna z moich koleżanek, Dzidka Orlikówna z mocno nadętą buzią powiedziała: „W naszym domu mieszka lotnik i on powiedział, że to wojsko miało ćwiczenia z balonami". Lotnik ten później zginął w powietrznej katastrofie.

*Alina Michalska*
*Radom*

## Przystanek Gdańsk-Piecki

29 grudnia 1992 r. około 18.30, udając się na przystanek autobusowy, spojrzałem w górę i zobaczyłem dziwny obiekt. Niebo było bezchmurne, gwiaździste, Księżyc dobrze widoczny. Duży, świecący obiekt znajdował się na kierunku południowo-zachodnim. Nie poruszał się i w porównaniu z „największymi" gwiazdami był dużo potężniejszy oraz mocniej świecił. Obserwowałem go nad blokami (mieszkam na osiedlu Gdańsk-Piecki) ok. 15 minut. W tym czasie obiekt zmienił położenie w niewielkim stopniu, przemieszczając się bardziej na zachód.

Początkowo sądziłem, że to światła samolotu, który podchodzi do lądowania na lotnisku w Rębiechowie. Brałem też pod uwagę helikopter. Bezruch obiektu wykluczył jednak obie te hipotezy.

Po godzinie wróciłem na to samo miejsce, stwierdzając, że w tym czasie obiekt przesunął się trochę dalej i niżej nad horyzont. Gdyby w grę wchodził samolot, już dawno by go nie było. Nie mogła to również być gwiazda. Jestem ciągle pod wrażeniem tej obserwacji.

*Krzysztof Polkowski*
*Gdańsk*

## Świetlny trójkąt

Jesienią 1989 r. wróciłem z pracy do domu i usiadłem w fotelu, aby trochę odpocząć. Po około 15 minutach (była 15-ta z minutami) wszystko gwałtownie pociemniało niczym w środku nocy. W tym momencie za oknem ukazał się dziwny obłok, czemu towarzyszył głośny grzmot. Jednocześnie pod obłokiem pojawił się różnokolorowy trójkąt z pulsującym światłem pośrodku. W tej samej chwili dotarł do mnie głos (był to rodzaj przekazu telepatycznego, gdyż samego głosu słychać nie było) o treści: „Jesteś taki sam jak wszyscy". Po czym nagle wszystko wróciło do normy, a w pokoju zrobiło się jasno.

Nie wiedziałem co zrobić, a mówiąc całkiem szczerze - wystraszyłem się. Zamknąłem mieszkanie i po prostu uciekłem z domu (mieszkam sam) do znajomych. Kiedy opowiedziałem im o tym zjawisku, uznali to za bzdurę i kpili, że pewnie mi się coś przyśniło.

Od tamtej pory postanowiłem nikomu już o tym nie mówić, aby się ze mnie nie wyśmiewano.

*Stanisław Z.*
*Katowice*
*(nazwisko i adres znane redakcji)*

## Światło nad lasem, krążący spodek i „kurze jajo"

Wydarzyło się to pod koniec sierpnia 1988 roku. Było już po godzinie 22.00, a ja wracałem do domu z ogniska, gdy nagle mój wzrok przykuł dziwny widok, który spowodował, że stanąłem jak wryty.

W dali na horyzoncie zobaczyłem wielkie światło. Oświetlało ono pobliski lasek, który bardzo dobrze znam. Światło było tak silne, że w pewnym momencie dom sąsiadów zniknął mi sprzed oczu; jakby się gdzieś rozpłynął. Samego źródła światła nie było widać i wyglądało to tak, jakby ktoś skierował zza chmury na lasek duży reflektor. Światło to miało jednak intensywnie żółty kolor, nie mogłem wręcz od niego oderwać wzroku. Dopiero po pewnym czasie - nie wiem czy to były sekundy czy minuty, bo czas jakby stanął wówczas dla mnie w miejscu - ruszyłem w dalszą drogę.

Nigdy nikomu o tym nie wspominałem, bojąc się by mnie nie wyśmiano i nie uznano za wariata. I pewnie bym również

potraktował całą tę historię jak fantasmagorię, gdybym tego samego wieczoru, kilkanaście minut później, nie zobaczył czegoś jeszcze ciekawszego.

Stało się to mniej więcej po upływie około 25-30 minut od obserwacji nieznanego światła. Był to typowy latający spodek, jakie widziano i obserwowano tysiące razy na całym świecie. Różnił się od nich tylko tym, że posiadał kolorowe światła (rys.), które co jakiś czas przygasały, aby po chwili znowu się rozjarzyć. Z lewej strony NOL emanował światło zielone, ale były tam jeszcze kolory: żółty i czerwony, w sumie 6 lub 7 świateł różnobarwnych.

Wielkości spodka nie potrafię określić. Znajdował się on w niewielkiej odległości ode mnie i wisiał 6-7 m nad ziemią. Później zaczął zataczać kręgi nad moim domem i zabudowaniami. Krążył tak około 10 minut, jednak nie zataczał dużych kół, gdyż co kilka sekund widziałem jego cień na ścianie przeciwległych zabudowań.

Kolejna, trzecia obserwacja nastąpiła tuż po 23.00. Wyszedłem wówczas na schody, by spokojnie przeanalizować wydarzenia, których byłem świadkiem. Gdy, rozmyślając, spojrzałem w niebo, zobaczyłem na nim coś, co przypominało ogromne kurze jajo. Świeciło mocnym żółtym światłem i tylko od czasu do czasu przesłaniała je jakaś ni to chmurka - nie chmurka.

Księżyc jeszcze nie wszedł; sprawdziłem to następnego dnia w kalendarzu, porównując godziny. Zresztą widziałem go potem na niebie, ale to było już znacznie później. Pewnie mi nie uwierzycie, podobnie jak moi znajomi, którzy się ze wszystkiego śmiali. Pragnę dodać, że wówczas tego typu sprawami zupełnie się nie iteresowałem, a termin „UFO” był mi całkowicie obcy.

*Karol Adamczyk*
*Rogalinek, poczta Świątniki*
*woj. poznańskie*

## Trapez

W Wigilię Bożego Narodzenia wraz z mężem i moją mamą wracaliśmy z kolacji u mojej siostry. Nagle z naszej prawej strony na niebie zaczęło dziać się coś dziwnego, co - nie znajdując innych słów - mogę jedynie opisać po „swojemu”. Niebo na tym kierunku zaczęło jakby opadać i w pewnym momencie znalazło się tak nisko, że myślałam, iż za chwilę nas przygniecie. Jednak nagle, w pewien sposób „zatrzymało się” i wówczas naszym oczom ukazała się ogromna kula, a raczej koło, świecące pięknym, żółtym światłem. Było ono otoczone niebieskawą poświatą i po dokładnym przyjrzeniu się dostrzegliśmy w tej poświacie coś na kształt trapezu. „Trapez” ten na przemian „kroił” niebo i zanikał, aż w końcu zniknął razem z kołem. W przeciwieństwie do męża i matki, którzy byli wystraszeni, przyglądałam się temu zjawisku do końca.

*L. Szmeja*
*Kalisz*

## Jak wyłączona żarówka...

Prawie dziewięć lat temu, w listopadzie, wracałam do domu przed 23.00. Wieczór należał do chłodnych, ale niebo było czyste, świeciły gwiazdy.

Kiedy dochodziłam do boiska szkolnego, odruchowo podniosłam głowę i zobaczyłam wówczas coś, co wyglądało jak płonąca kula z papieru lub kawałek palącego się węgla. Pomyślałam nawet, że to pewnie jakieś dzieciaki rzuciły z boiska na jezdnię palącą się głownię, ale przecież było bardzo późno. Poza tym to „coś” leciało równolegle do ziemi. Paliło się bezszelestnie i przemieszczało na wysokości 2 lub 3 piętra domu, takie miałam wrażenie. A potem nagle - w jednej sekundzie - zniknęło; zupełnie jakby ktoś wyłączył żarówkę. Dodam, że to „coś” było wielkości lekarskiej piłki, a może większe.

Do dzisiaj uważam, że był to meteoryt. Tylko dlaczego leciał tak nisko, bez najmniejszego szmeru, później zaś nagle zniknął (zgasł?). Nie było również słychać odgłosu jego upadku. Na ulicy byłam sama, nie jechał żaden samochód, panowała cisza. Czyżby taka właśnie była natura meteorytów?

Często wyglądam przez okno (mieszkam na 4 piętrze i przed sobą mam pole), ponieważ lubię patrzeć na „spadające gwiazdy”. To jednak, co widziałam przed dziewięciu laty, nie „spadło” z góry, lecz poruszało się przez pewien czas ruchem poziomym.

*Ewa Bytner*
*Inowrocław*

## Żyrandol

W lipcu 1989 r. wypoczywałam we Władysławowie nad Morzem Bałtyckim. Było wówczas bardzo ciepło i zmęczona całodziennym upałem postanowiłam spędzić wieczór w domu przed telewizorem. Wszyscy moi przyjaciele wyszli na plażę, a ja zostałam sama.

Nagle coś kazało mi podejść do okna. Spojrzałam w nie i wówczas zobaczyłam na niebie obiekt, który przypominał kształtem żyrandol. „Żyrandol” ten kręcił się wokół własnej osi i na dodatek świecił! Wznosił się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie zniknął. Trwało to nie dłużej niż 30 sekund.

Nigdy już więcej niczego takiego nie widziałam. Niestety, nie miałam wówczas przy sobie aparatu fotograficznego. Także żałuję.

*Agnieszka Grzękowicz*
*Siemianowice Śl.*

## Blisko nas

Z soboty na niedzielę (10-11 lipca 1993 roku) około 2.00 w nocy zbudziła mnie żona, mówiąc: „Marek jak chcesz zobaczyć UFO, to chodź”. Zerwałem się z łóżka, jako że interesuję się tym zagadnieniem i podbiegłem do okna w pokoju. W pierwszej chwili nie dostrzegłem niczego. Po wychyleniu się przez okno zauważyłem jednak na wysokości około 500 m nad ziemią (tak przypuszczam) rząd pulsujących świecących świateł w kolorze żółtym, zielonym, niebieskim i czerwonym. U góry nad tymi światłami były również inne, mniejsze - czerwone. Obiekt poruszał się bezdźwięcznie po łuku, a światła sprawiały wrażenie jakby kręciły się dookoła. Jestem pewien, że nie był to samolot ani helikopter.

Obiekt był widoczny około 3 minut, z tym, że żona widziała go trochę dłużej. Leciał prawdopodobnie od strony Elektrociepłowni na warszawskich Siekierkach. Mieszkam przy ul. Czerniakowskiej 18 vis a vis ZUS-u.

*Marek Grygo*
*Warszawa*

*Nagrody książkowe dla autorów zamieszczonych tu relacji ufundowały: Oficyna Literatów „Rój” oraz wydawnictwa: Med Tour Press International, „Pegaz” i „Nolpress”.*

**Uwaga!**
**W nocy z 24 na 25 lipca 1993 r. w podwarszawskiej Zielonce doszło - w naszej ocenie - do jednego z najciekawszych polskich spotkań z NOL-em. Jego obserwacja trwała około półtorej godziny, a uczestnikami całego wydarzenia, które fragmentarycznie zostało zarejestrowane kamerą, były trzy osoby. Badanie tego incydentu powierzyliśmy dwóm czołowym polskim specjalistom w zakresie analizy zjawisk NOL - Krzysztofowi Piechocie i Markowi Młynarskiemu. Ich raport wkrótce.**

# Kontakt nietelepatyczny



Czytelnicy niezwykle ciekawego artykułu Petera Ripoty z „NŚ” nr 7-8 - nie wiedzą zapewne, że w bardzo podobnym kierunku co zaprezentowane w tym artykule badania fizyków, szły w Polsce poszukiwania nieżyjącego już prof. Włodzimierza Sedlaka. Był on twórcą bioelektrycznej teorii życia. Jej fundamentalnym twierdzeniem jest teza, że **życie jest światłem**.

Sedlak na podstawie teoretycznych dociekań ustalił to, co następnie potwierdzili badacze amerykańscy badający w najnowocześniejszych laboratoriach, proces powstawania nowotworu. Otóż odkryto w końcu, że rak powstaje wtedy, gdy silny stress - fizyczny lub psychiczny - zbiegnie się z osłabieniem odporności organizmu i wyraża się to zburzeniem energetycznej równowagi struktur submolekularnych. Lekarz nie jest więc w stanie samodzielnie uporać się z tym problemem - potrzebna jest nowa specjalność pod nazwą biofizyki.

Dla kontynuatorów dzieła prof. Sedlaka, który zmierzał ku syntezie elektroniki, fizyki i genetyki, czymś nieodzownym winno być zapoznanie się z teorią Jeana Charona - omówioną w ww. artykule. Albowiem właśnie teza, iż nośnikami informacji mogą być także cząstki elementarne materii - taką syntezę umożliwia. Jak wiadomo językiem przyrody jest kod DNA, zaś jego słowami poszczególne geny. Wielkim nakładem sił i środków uczeni izolują je teraz, by odczytać ich znaczenie. Wszystkie te słowa składają się z czterech podstawowych nukleotyd - bardzo podobnie jak to jest z językami ludzi, które zbudowane są z czterech podstawowych fonemów.

Sedlak, tak jak teraz Charon, proponował żeby zejść niżej - do poziomu podatkowego. Dla niego teza, iż światło jest życiem oznaczała, że światło jest informacją. Można je więc badać za pomocą kategorii cybernetyki: nauki o przepływie informacji właśnie. Promień światła jest więc pewną potencjalną informacją, która materializuje się (dokładnie = zyskuje masę) jako cząstka czyli korpuskuła: jest to właśnie ten dualizm falowo-korpuskularny światła, o którym uczyliśmy się w szkole.

„Cel rozwoju wszechświata leży więc w gromadzeniu informacji” - to zdanie Sedlak na pewno by zaakceptował; choć dla niego ta skondensowana, pełna informacja to był po prostu Absolut. Wszechświat bez przerwy wysyła informację - i gromadzi ją. W jakiej postaci? Otóż o ile elektron informuje tylko o sobie samym, o tyle wyższe struktury są odzwierciedleniem większej przestrzeni. Jak dużej? Tutaj trzeba posłużyć się kategorią Einsteina, który przestrzeń połączył z czasem za pomocą właśnie prędkości światła i opisywał materię za pomocą pojęcia czasoprzestrzeni. Szybkość fali świetlnej jest szybkością przenoszenia informacji.

Jeśli teraz - jak zamierzał Sedlak - skorelować to z procesami genetycznymi, nasuwa się wniosek, że także żywy organizm można potraktować jako magazyn czy zbiór informacji o pewnej czasoprzestrzeni. Jeśli nasze rozumowanie jest poprawne, chodziłoby o czasoprzestrzeń wymierzoną promieniem światła, jaki pokonuje ją podczas tworzenia się tego organizmu.

Mistycy pisali, że boską wiedzę otrzymują bez słów - w postaci strumienia światła. Relacje odratowanych ze śmierci klinicznej zgromadzone przez dr. Moody'ego i innych lekarzy mówią o Świetle, które wita ludzi po Tamtej Stronie. Jeśli więc tezy „świetlnej teorii życia” pokrywają się z prawdą - oznacza to, że duch jest znacznie bliższy materii niż zdawało się filozofom...

Może już wkrótce dowiemy się, że panteizm był takim samym przeczuciem prawdy jak koncepcja atomów Demokryta w stosunku do teorii Daltona z XIX wieku? Kto wie, może jeszcze nasze stulecie przyniesie nam odpowiedź?

***Piotr Skórzyński***
***Warszawa***

Wasze czasopismo jest najbardziej ciekawym miesięcznikiem w Polsce, poruszającym nieznane zjawiska. Fascynuje ono, zaciekawia i porywa. Dobrą rzeczą jest zamieszczanie artykułów przesłanych przez czytelników w cyklu „Dotknięcie nieznanego” oraz omawianie pozycji książkowych będących w Księgarni Wysyłkowej „NŚ”. Ujemną stroną czasopisma jest natomiast jego duża objętość. Dlatego - w przeciwieństwie do niektórych czytelników - będą prosił o jej zmniejszenie (ilość stron). Szczególnie numer wakacyjny, ze względu na swoją objętość, przeraził mnie. Dlatego apeluję: szanowna Redakcjo! - szanujcie Państwo czas Czytelnika, najcenniejszy w krótkim życiu człowieka. Cena czasopisma nie odgrywa roli, gdyż jeśli ono podrożeje, zawsze można z czegoś zrezygnować. Natomiast czasu nie można w życiu zrekompensować niczym. Należy pamiętać, że nie każdy ma tego czasu tyle, aby mógł poświęcić go wyłącznie na czytanie „Nieznanego Świata”. Są również inne czynności i prace do wykonania.

***Adam Rzeszutek***
***Tomaszów Maz.***

*OD REDAKCJI: Miły Czytelniku, musimy wyznać, że Pana korespondencja jest jedną z najbardziej oryginalnych, jakie redakcja otrzymała, a listów dostajemy co miesiąc setki. Z jednej strony chwali nas Pan, z drugiej natomiast żali się, że zabieramy czytającym zbyt dużo czasu, który w Pana przekonaniu, jest wartością w życiu najcenniejszą. Doprawdy czegoś tu nie rozumiemy. Przecież nikt nie zmusza nikogo do czytania w „NŚ” wszystkich publikacji. Jak w takim razie - chciałoby się zapytać - traktuje Pan książki? Czy do ich autorów i wydawców - przy czym zakładamy, że jest to lektura ciekawa, gdyż taki punkt wyjścia sam Pan przyjął - również ma Pan pretensje, że edycje te są zbyt obszerne? Czy istotnie fakt powiększenia przez nas objętości pisma po to, by zaoferować odbiorcom więcej różnorodnych publikacji, winien stanowić powód do przygany? Czy rzeczywiście jest tak, że czasu nie da się zrekompensować niczym? Słowo dajemy, że nie pojmujemy o co tu chodzi, ale może to nasza wina. A co o tym sądzą inni Czytelnicy „NŚ”?*

Chcę poruszyć sprawę tzw. „proroczych snów”. Z własnego doświadczenia wiem, bo przydarzało mi się to wielokrotnie, że sny takie pozostają w związku z tym, co - w moim przypadku - następuje w niedalekiej przyszłości. Miewałem sny, w których widziałem pewne osoby lub wydarzenia i dopiero gdy to wydarzenie nastąpiło, przypominałem sobie o śnie. Owe „prorocze sny” dotyczyły najczęściej osoby i wydarzeń, które miały nastąpić. Nierzadko, stojąc przed koniecznością rozwiązania jakiegoś problemu, myślałem o nim intensywnie przed zaśnięciem. Podczas snu ukazywały mi się najróżniejsze, dziwne sposoby jego rozwiązania. Największą trudnością było dla mnie zawsze zinterpretowanie snu. Z czasem doszedłem do wprawy i sądzę, że uda mi się w końcu głębiej rozumieć sens owych „proroczych snów”.

Chętnie nawiążę kontakt z osobami o podobnych doświadczeniach. Pragnę podziękować Redakcji, za tak rzeczowe redagowanie miesięcznika.

***Stanisław Małachowski***
***ul. Szkolna 68***
***68-100 Żagań***

Czy nie moglibyście poświęcać więcej miejsca opisowi roślin leczniczych, podawać je w kolejności alfabetycznej wraz z rysunkiem i informacją, gdzie można je znajdować? Jestem przekonany, że wielu czytelników zainteresowałyby takie publikacje. Bardzo interesujące również wydawałoby się podawanie opisu mieszanek ziołowych z naszych ziół: jak je można sporządzić domowym sposobem i jak stosować. Chętnie nawiążę kontakt z osobami zajmującymi się ziołolecznictwem.

***Artur Pawłowski***
***Bp. Jakuba Glazera 22/7***
***37-700 Przemyśl***

*OD REDAKCJI: O ziołach oczywiście będziemy od czasu do czasu pisać. Na uruchomienie stałej rubryki brakuje nam jednak miejsca. Wszystkim, którzy interesują się tą problematyką rekomendujemy natomiast, redagowany rzetelnie i w pełni profesjonalnie miesięcznik „Wiadomości Zielarskie”.*

Od wielu lat zastanawiałam się nad „motorem” myśli i reagowania na bodźce zewnętrzne, nad symbiozą człowieka z naturą, reinkarnacją i podświadomością. Wielu rzeczy do tej pory nazwać nie potrafię, ale czytając coraz więcej, porównuję własne przemyślenia i utwierdzam się w przekonaniu, że inni nie tylko myślą podobnie; oni to już wiedzą. Żałuję, że jestem ograniczona brakiem pieniędzy i nadmiarem obowiązków. Nie mogę więc poświęcać tyle czasu ile bym chciała, żeby więcej poznać i móc korzystać z tej wiedzy. Moją pasją życiową jest chęć pomagania wszystkim wokół. Jestem spod znaku Ryb, urodziłam się 9 marca 1943 r. Poszukuję dla siebie Przewodnika, bo boję się bez kontroli praktykować, a wyćwiczyłam w sobie wiele możliwości, z których nie bardzo wiem jak korzystać. Chętnie poznam osoby z mojej okolicy znające lepiej niż ja ten nieznany świat.

***Grażyna Rojowska***
***Al. J. Piłsudskiego 36/456***
***41-303 Dąbrowa Górnicza***

*na str. 33*

11-93

# Il cacciatore e l'Ufo

VERONA — Non era altro che una sonda meteorologica il disco volante che un cacciatore di Cornedo Vicentino, Antonio Altolini di 42 anni, credeva di aver visto nella campagna veronese. Il cacciatore terrorizzato aveva chiamato subito i carabinieri i quali non hanno impiegato molto tempo a svelare il mistero spaziale.

# Mercoledì con TV1 arrivano gli UFO
## ne parlano scienziati, esperti, testimoni

Agli Ufo (oggetti volanti non identificati) è dedicata l'ottava puntata del programma di Piero Angela, « Nel cosmo alla ricerca della vita », prevista mercoledì 21 maggio, alle 21.30 sulla rete 1.

**NEL CORSO** della sua inchiesta sulla possibilità che esistano nello spazio altre civiltà tecnologicamente avanzate, Piero Angela ha interrogato esperti e scienziati sulla questione degli Ufo. Potrebbe trattarsi di sonde intelligenti extraterrestri? O solo di fenomeni atmosferici, satelliti, errori di percezione, scherzi?

**PER COMINCIARE** verrà preso in esame l'avvistamento di un Ufo vari anni fa fatto da J. Carter, che disse di aver visto una misteriosa luce: si trovava a 30° sull'orizzonte a circa 200 metri di distanza, e veniva avanti danzando.

**UN ESPERTO** ha compiuto un'indagine su questo avvistamento, tornando sul posto e indagando: nel corso della trasmissione egli dirà quali sono le conclusioni delle sue ricerche. Si parlerà poi di fotografie e di film, e verranno discussi alcuni dei casi più noti.

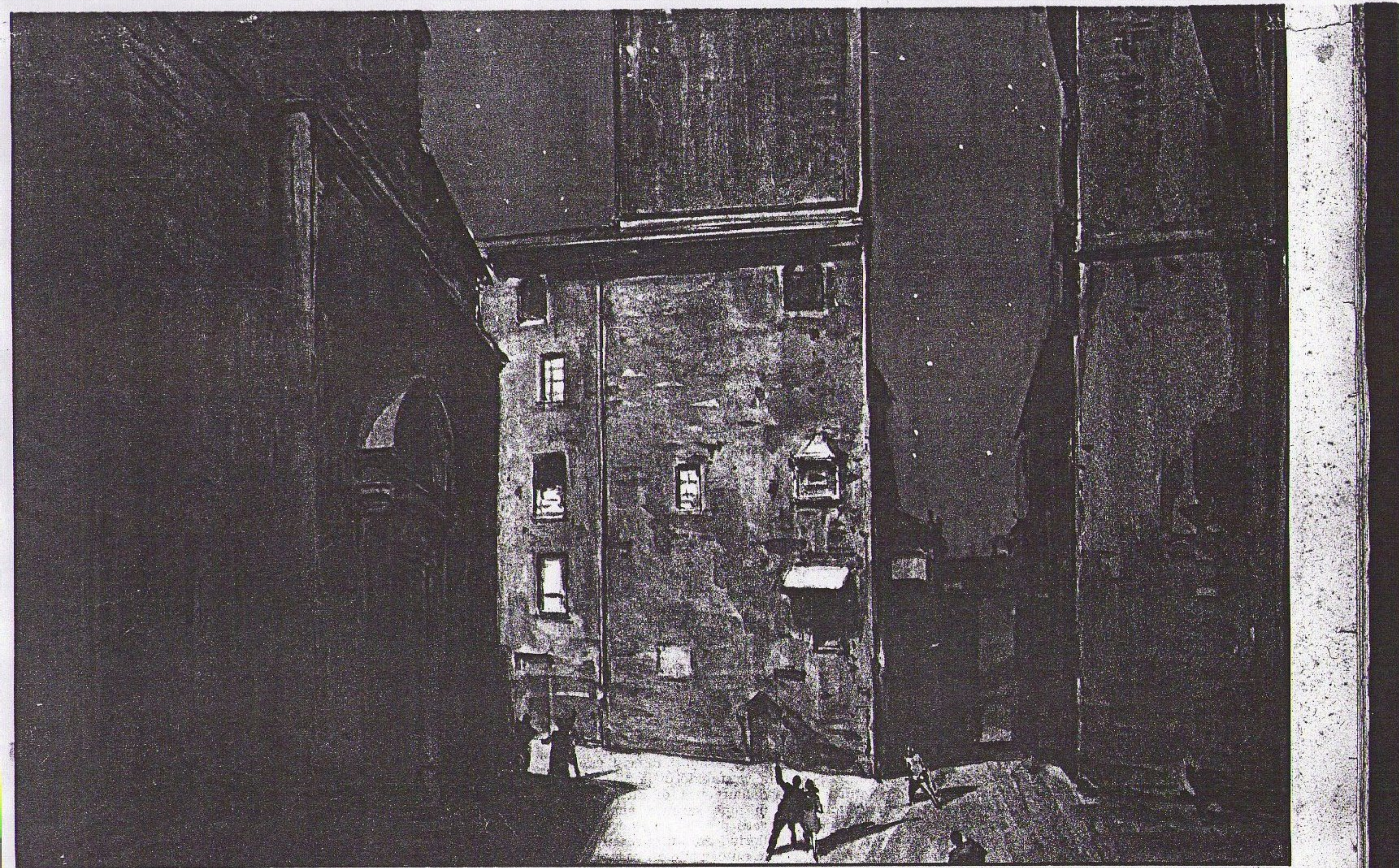
**UN RAPPRESENTANTE** dell'aviazione americana parlerà dei risultati del progetto Blue Book, cioè dell'indagine sugli Ufo condotta dalla Air Force conclusasi dopo ventidue anni.

**ANCHE IL** responsabile della Nasa per la ricerca di civiltà extraterrestri esprimerà il suo parere su questi avvistamenti di oggetti volanti non identificati, che negli ultimi trent'anni hanno superato i 70 mila casi.

# DOMENICA DEL CORRIERE

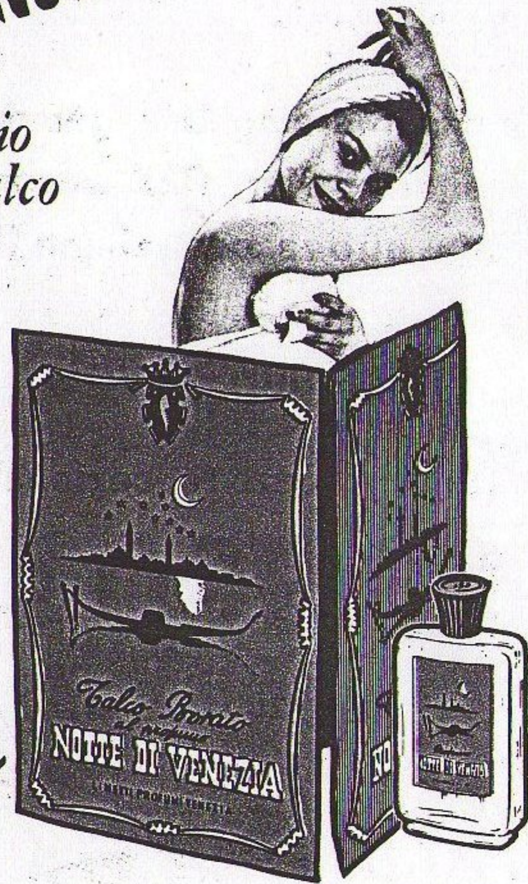
ANNO 64 - N. 24 - L. 50 | Settimanale del CORRIERE DELLA SERA | 17 Giugno 1962



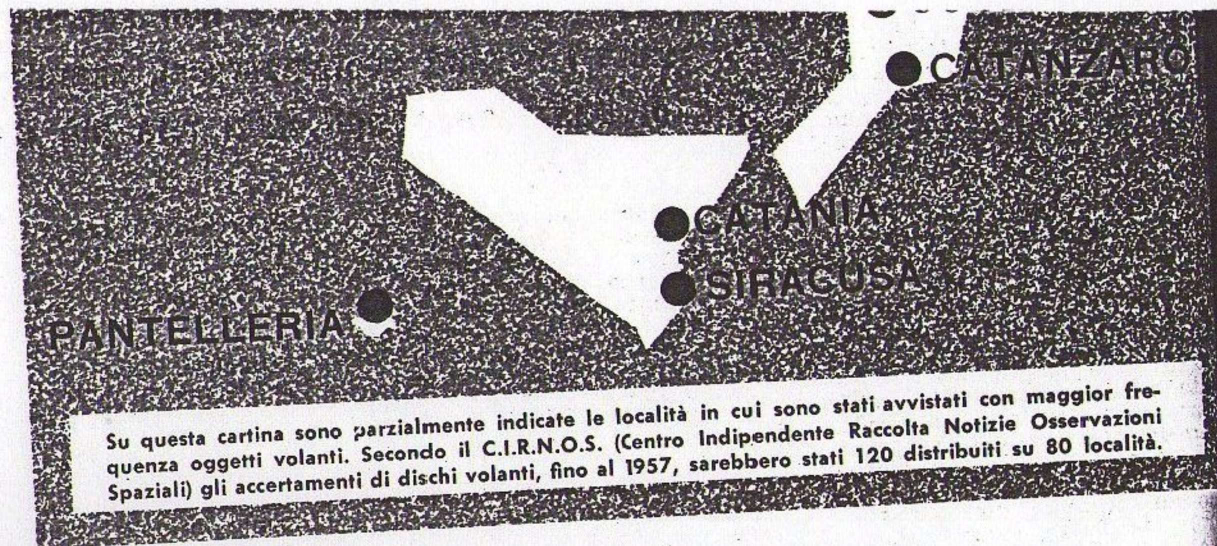
Tornano i dischi volanti? L'apparizione di uno strano cerchio luminoso color di fuoco sopra la città di Perugia, qui ricostruita dal pittore Walter Molino, ci ha suggerito di fare un'indagine sui più singolari avvistamenti di corpi e fenomeni celesti verificatisi in questi ultimi anni e riguardanti, nella maggioranza dei casi, i cosiddetti dischi volanti.

Servizio del nostro inviato Renato Albanese alle pagine 22-23-24-25-26.




BERNINA
PARRAVICINO
MILANO
UDINE
TORINO
CREMONA
GENOVA
PO DI GNOCCA
FERRARA
BOLOGNA
FIUMETTO
FUCECCHIO
VIAREGGIO
S. CASCIANO VAL DI PESA
PISA
ANCONA
CAST PESCAIA
AREZZO
GROSSETO
PESCARA
ROMA
SASSARI
ALGHERO
CAMPOBASSO
FOGGIA
NUORO
NAPOLI
BARI
VILLAMASSARGIA
CAGLIARI
COSENZA
CATANZARO




Su questa cartina sono parzialmente indicate le località in cui sono stati avvistati con maggior frequenza oggetti volanti. Secondo il C.I.R.N.O.S. (Centro Indipendente Raccolta Notizie Osservazioni Spaziali) gli accertamenti di dischi volanti, fino al 1957, sarebbero stati 120 distribuiti su 80 località.

# Ho visto esseri di altri pianeti

**Roma. Il console Alberto Perego.** Prima della guerra fu segretario di ambasciata nel Brasile, incaricato di affari nel Siam, primo segretario a Budapest. Abitá attualmente a Roma in via Ruggero Fauro, 43. Ha al proprio attivo ben 74 avvistamenti di dischi volanti.

Ha fatto viaggi in ogni parte del mondo ed ha assunto informazioni precise su tutti questi fenomeni che si ripetono ovunque alla stessa maniera.

Studioso di questa materia, egli ha pubblicato un "rapporto" dal titolo: « Svelato il mistero dei dischi volanti ». Ha pronto per le stampe un nuovo libro: « L'aviazione di altri pianeti » in cui sostiene la tesi che questi apparecchi vengono spinti da una energia elettromagnetica. E' convinto che i pianeti del nostro sistema solare, e non solo il nostro, siano abitati da esseri simili a noi ma molto più evoluti. Siamo andati a trovarlo nella sua casa di Roma, ed egli, che era reduce da un viaggio in Argentina, ci ha mostrato alcune fotografie di un « essere di un altro pianeta » che però non ha voluto consegnarci per la stampa. E' il fondatore del Centro Italiano Studi Aviazione Elettromagnetica — sede in via Ruggero Fauro, 43 — che conta 1500 iscritti in tutti i Paesi del mondo.



Il console Alberto Perego

# dischi volanti

**Queste sono le testimonianze di coloro che dicono di averli visti**

I PUNTATA

**L'astronave di Venere era lunga 600 metri, a bordo c'erano donne belle che però non destavano desideri umani... Riuscii a fotografare tre oggetti che volavano a scatti con una macchinetta fotografica giapponese... Io e mia moglie ci siamo sentiti come in una campana di silenzio... Ritengo che qualcosa di vero ci sia.**

**Renato Albanese non ci credeva, andò a indagare, tornò scosso**

# Renato Albanese non ci credeva, andò a indagare, tornò scosso



**Quando abbiamo proposto a Renato Albanese (lo vedete nella foto a sinistra) di mettersi a girare per l'Italia cercando testimonianze attendibili sui dischi volanti, lui ha fatto un risolino. Conveniva sul dovere, da parte di un giornale, di indagare su un fatto puramente fantastico, se la gente ne parla e se ne appassiona. Ma ai dischi volanti non ci credeva. Giornalista disciplinato e zelante, Albanese tuttavia è partito e si è messo in giro per l'Italia cercando gli italiani che hanno visto, o meglio dicono di aver visto, uno o più dischi volanti. Ci aspettavamo che al ritorno dal viaggio Albanese, entrando in redazione, facesse una bella risata, a significare che era tutta una panzana. Invece Albanese è tornato serio serio, col suo reportage già battuto a macchina e le foto già stampate. Sembrava scosso. « E allora? » gli chiedemmo. « Allora — mormorò — non so più cosa dire. Ho sentito di quei racconti! C'è da diventare pazzi. « Dunque ti sei persuaso che esistano? ». « Non so, non so. Certo, se non esistono proprio i dischi, qualche stregoneria c'è sotto, garantito ». Ed ecco qui le testimonianze da lui raccolte.**

## Un globo giunse da ovest

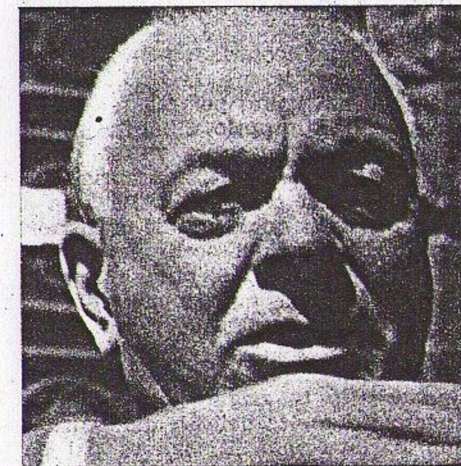
**Villamassargia (Cagliari). Il pastore vaccaro Claudio Sais.** Ha 28 anni. Intervistato da noi a Monte degli Olivastri, località poco lontana dal paese, ha precisato: « Una notte di giugno del '60 mi trovavo come il solito a pascolare le bestie. Noi qui in Sardegna si pascola di notte in estate perché l'erba è fresca ed è umida di rugiada e gli animali la mangiano meglio. Di giorno si pascola male perché l'erba è secca. Dunque, saranno state le ventidue, era buio pesto e non c'era nemmeno la luna, quando vidi arrivare da est un globo luminoso, pareva assai basso ed era della grandezza della stella Venere. Andava velocissimo, poi, arrivato dalla parte di ovest, si fermò istantaneamente e subito dopo riprese il suo viaggio a una velocità fantastica. Ho avuto come l'impressione di svegliarmi da un sogno. Per prima cosa mi sono accorto che nel punto in cui mi trovavo non mi giungeva il suono dei campanacci legati al collo delle bestie affidate alla mia custodia. E sì che ne scorgevo, sia pure a malapena, nella penombra le sagome. Erano immobili. Per prudenza le passai in rivista e le contai. Tutte sembravano percorse da lievi fremiti ed il loro respiro era affannoso. Passarono parecchi minuti prima che si tranquillizzassero e riprendessero a pascolare. Anch'io del resto rimasi agitato fino alle prime luci del mattino ».



Il pastore sardo Claudio Sais

## Uno bianco, l'altro verde chiaro

**Roma. Il gr. uff. Mario Baroncelli.** Ex-ufficiale di aviazione nella prima guerra mondiale, abita in via Viminale, 21. Racconta: « Una notte del maggio '57, erano circa le 2,38 del mattino e stavo aspettando l'autobus a largo Argentina. Proprio a quell'ora mentre guardavo se l'autobus arrivava, vidi sopra di me un disco incandescente che procedeva a fortissima velocità nel cielo in direzione sud-nord. Mi voltai per vedere se c'era qualcuno che potesse testimoniare il mio avvistamento e per assicurarmi che non ero un allucinato, ma non notai nessuno. Arrivò l'autobus che avrebbe dovuto portarmi al Viminale, verso casa mia, insomma, montai e verso le tre discesi davanti al Ministero degli Interni che sta davanti al Supercinema. Mentre stavo varcando la soglia di casa, alzo la testa e vedo a perpendicolo un globo bianco che andava forte come il primo. Ma mentre il primo aveva un colore verdolino chiaro e procedeva da sud a nord, questo, come ho detto, era bianco e andava in direzione est-ovest e compariva e scompariva fra le nuvole. Tutti e due gli oggetti avvistati procedevano in completo silenzio e non lasciavano scia. Dopo pochi giorni lessi sui giornali che erano stati avvistati due dischi volanti, uno su Firenze e l'altro su Pietrasanta, in Versilia ».



L'ex-aviatore Mario Baroncelli



SEGUE

dischi volanti

Continuazione dalle pagine precedenti

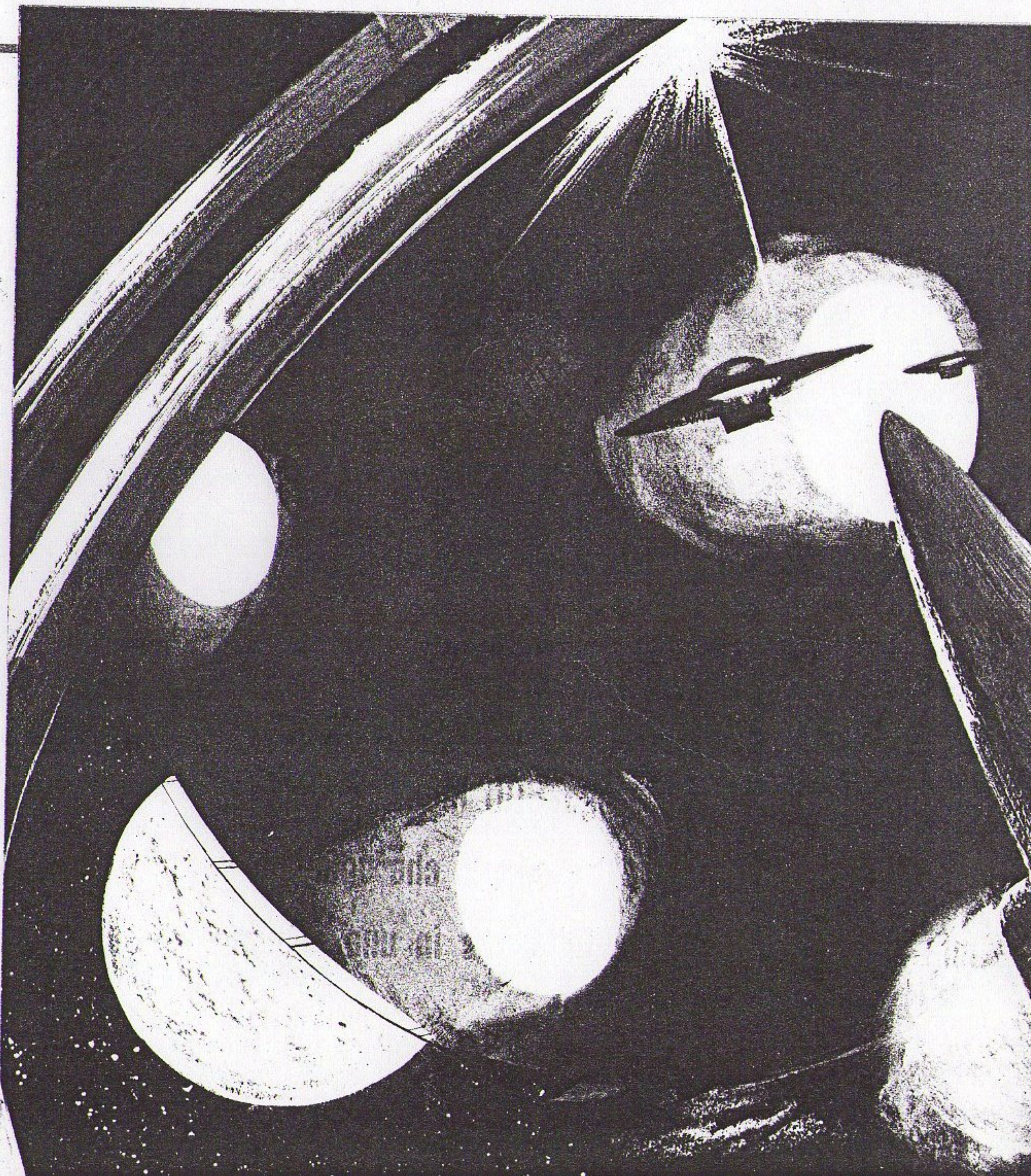
# Ho viaggiato sull'astronave di Venere

Bologna. Il meccanico Luciano Galli. Dice di aver volato su di un disco volante. E' un uomo del tutto normale, di 42 anni, di media statura, piuttosto minuto, non dimostra l'età che ha, tanto che il suo viso, incorniciato da due lenti da miope, esprime una cert'aria stupita e fanciullesca. Sembra un timido e quando parla si scusa sempre. E' sposato, ha tre figlioli, e con la famiglia abita nelle adiacenze di via Castiglione. Il suo indirizzo mi è stato fornito dal console Alberto Perego di cui ho parlato. Luciano, come ho già detto, è un modesto operaio che ha sempre a che fare con la fiamma ossidrica, e gestisce un modesto laboratorio in proprio nei pressi di casa. La festa, quando è libero, va a pescare.

Abbiamo preso una macchina a noleggio, che il Galli si è messo a guidare con molta disinvoltura, e siamo andati a fare un sopraluogo dove, secondo il mio accompagnatore, sarebbe atterrato il disco volante il pomeriggio del 7 luglio 1957 (o '59?; Galli non ricorda bene). Galli non ha esitato a mettersi sulla strada buona, proprio come se lui, quella strada l'avesse battuta altre volte. La macchina esce di città, corre nella periferia di San Ruffillo, per una strada campestre s'inerpica per una ripida collina. Arriviamo su un crinale chiamato la Croara a cinque-sei chilometri da Bologna, ci fermiamo.

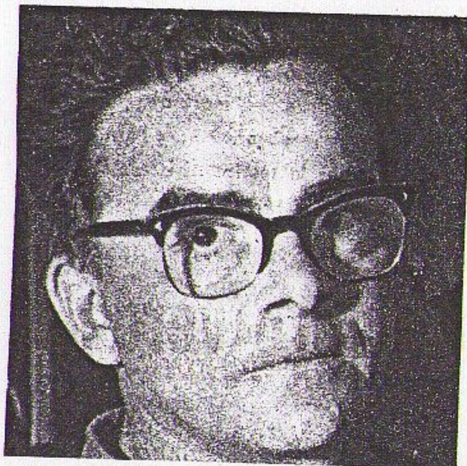
Lasciata la macchina scendiamo in una specie di verde catino che il meccanico indica con la denominazione di « Buco del Prete Santo ». Nel « buco », contornato da spezzoni di roccia ricoperta di muschio, si stende un verde pianoro di un centinaio di metri. Il disco volante — è sempre il Galli che racconta — si trovava sospeso a due metri da terra su questo pianoro e poteva avere un diametro di quindici metri. Era di un colore grigio lucente. E qui la narrazione di come si sarebbe svolto il fatto ricorda quella non molto dissimile fattaci dal professore di filosofia californiano George Adamski che il 18 febbraio 1953 avrebbe raggiunto, con un disco volante, una portaerei a ventimila metri di altezza, pilotata da uomini di altri pianeti.

Ma Galli giura che al tempo in cui gli accadde



fessore di filosofia californiano George Adamski che il 18 febbraio 1953 avrebbe raggiunto, con un disco volante, una portaerei a ventimila metri di altezza, pilotata da uomini di altri pianeti.

Ma Galli giura che al tempo in cui gli accadde di vivere la sua sconcertante avventura spaziale, George Adamski non ce l'aveva nemmeno nell'anticamera del cervello. E per dimostrare che lui non racconta frottole mi firma una dichiarazione nella quale dice: «Non voglio che si dica che quanto ho esposto al signor Renato Albanese sia da me stato riferito a scopo di pubblicità e di lucro. E' la pura verità».


Il meccanico Luciano Galli

Ecco i particolari. Il pomeriggio del 7 luglio 1957 (o '59) verso le ore 14,30, Luciano Galli, uscito di casa come il solito per recarsi al lavoro, stava raggiungendo il proprio laboratorio che allora era in vicolo delle Dame, una viuzza cieca che sbocca in via Castiglione, quando, proprio all'imbocco del vicolo, si fermò accanto a lui una macchina nera, una 1100, dalla quale discese un signore alto, moro, dal viso regolare, dagli occhi nerissimi, «un volto che invitava alla bontà», precisa il meccanico bolognese. Egli vestiva un doppiopetto grigio, e aveva il colletto e la cravatta come noi, e parlava correntemente l'italiano.

«Al volante della misteriosa 1100 stava un altro tipo, vestito in grigio molto chiaro, pure bruno, di lineamenti molto delicati ma senza baffetti e quello non parlava mai. Il signore dai baffetti neri che poi mi rivolse la parola — continua Luciano Galli — l'avevo visto pedinarmi tante altre volte. Una sera, ricordo, che mi trovavo sotto i portici di via Castiglione con un amico, certo M., il nome intero non voglio dirlo, quando rividi quel tizio. Volevo fermarlo ma lui scomparve. Ebbene fu quello lo stesso individuo che il pomeriggio di quell'ormai lontano luglio mi chiese se lo avessi riconosciuto. 'Si', risposi. 'Vuol venire con noi?' 'Dove?' chiesi. 'Abbia fiducia, non c'è nessun pericolo ...'».

Galli parte in macchina con questi due signori e arriva alla Croara poco dopo le 14,30. La c'è il disco volante ad attenderlo. Subito dalla base inferiore si abbassa un cilindro metallico da cui si apre un portello. Qui sarà bene rilevare, non senza stupore, che la descrizione del Galli combina con quella fattaci il 10 aprile dal sarto Mario Zuccalà, abitante a San Casciano Val di Pesa.

Luciano Galli, che in un primo tempo era stato colto dalla paura, si tranquillizzò quando attraverso un portello, apertosi improvvisamente nel cilindro, fu fatto entrare nel disco volante. Non era ancora dentro che gli scoppiarono in faccia due lampi, come fossero "flashes". «Non tema — raccomandò il signore dai baffetti neri al Galli, che a suo giudizio doveva essere il comandante dell'apparecchio, — le hanno fatto la fotografia».

«Com'era vestito quel giorno?». «Così, come oggi, in tuta da operaio», risponde il meccanico. «E viaggiò soltanto con quei panni?». «Sì». «Che cosa vide dentro quell'apparecchio?». «La sala di comando era vasta, circolare, con strumenti di bordo, quadri con pulsanti, apparecchi che mi sembrarono amperometri, manometri o qualcosa di simile. C'erano inoltre delle specie di "video" e alcuni sedili fissi al pavimento. Nel centro del pavimento si apriva un grande oblò del diametro di un metro circa. Fu di là — è sempre il Galli che parla — che potei vedere la Terra allontanarsi. Prima la vidi come se fossi su uno dei nostri apparecchi, poi, quando eravamo già nella zona buia, grande quanto la Luna e infine un punto luminoso. Come fosse Venere o Marte».

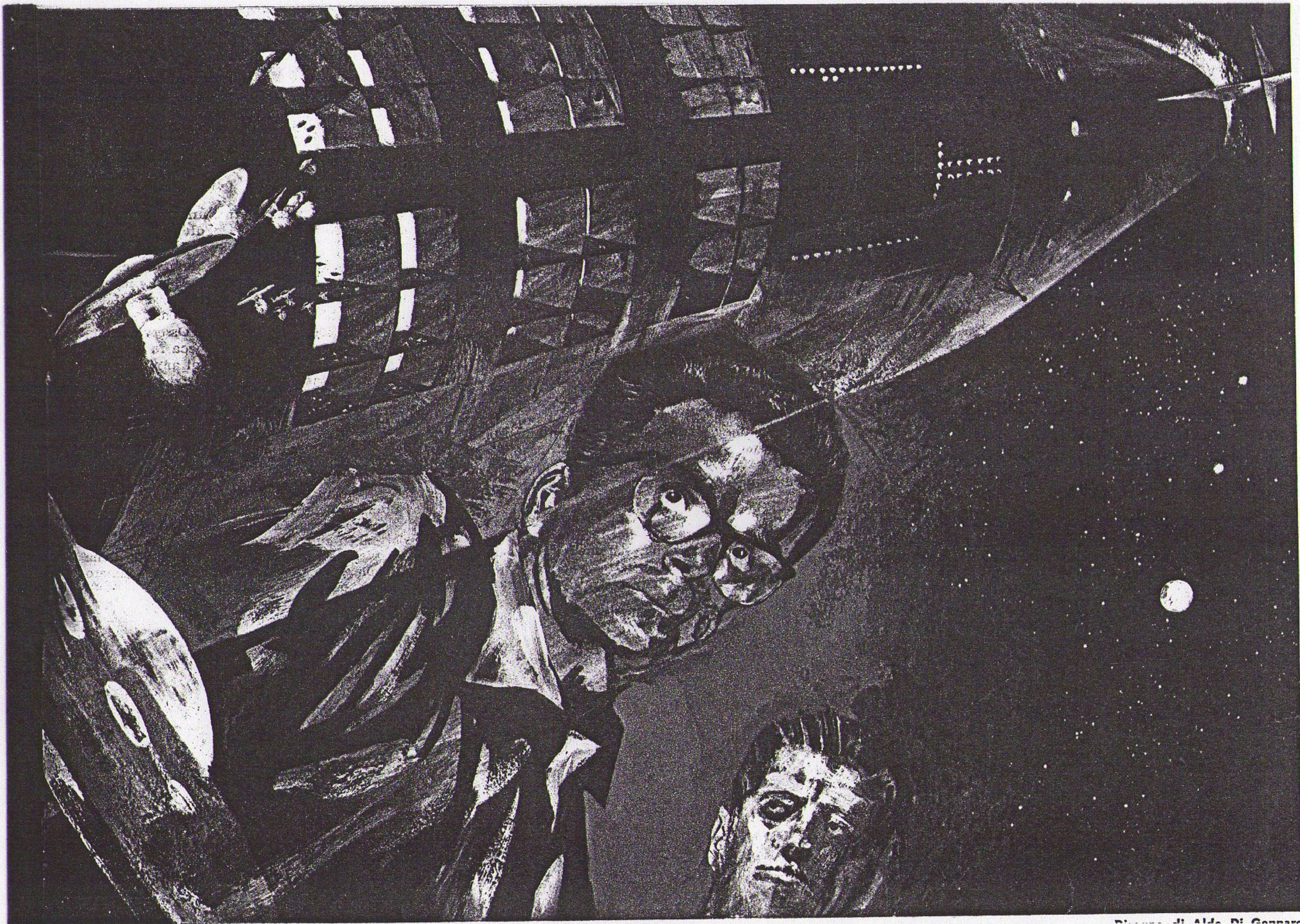
«Riusciva a comunicare con l'individuo che lei chiama il "comandante"?». «Perfettamente». «E in che lingua si esprimeva?». «In un italiano perfetto. Anzi io gli chiesi come avesse fatto a imparare così bene la nostra lingua; e lui rispose che aveva avuto modo di apprenderla molto bene». Ad un tratto, da un "video" laterale Galli vide la sagoma di un dirigibile con la coda mozzata, come fosse un sigaro. Emanava una luce fosforescente. Sembrava illuminato da fari invisibili. Galli giudicò che poteva essere lungo circa 600 metri. A poppa, sulla coda mozza, si vedevano sei portelloni, per così dire, da cui entravano e uscivano i dischi volanti. I portelloni erano divisi in tre piani, tre di qua, tre di là, uno su l'altro. «Questa è una delle nostre astronavi», disse il signore che accompagnava Galli.

E qui Luciano Galli all'atto di scoprire l'astronave entra in una narrazione da fantascienza e a lui affidiamo tutta la responsabilità di quanto dice. I piani dei portelloni corrispondevano a tre immensi "hangars" che contenevano ciascuno una cinquantina di dischi volanti. Attorno a quegli apparecchi il meccanico bolognese giura che vide per lo meno quattrocinquecento persone, uomini e donne. Tutti erano vestiti con una tuta che sembrava plastica o seta e quando gli passavano vicino, gli sorridevano. Le donne, fa osservare il nostro interlocutore, erano molto belle e piacenti ma non destavano desideri umani. «Riuscii ancora a conferire col mio accompagnatore e gli chiesi di dove venisse la sua astronave. "Da quel pianeta che voi chiamate Venere" rispose».

Galli fu poi condotto in una sala che sembrava un'immensa biblioteca, quindi in un'altra grande sala che sembrava quella dei comandi. «Non ricordo aggiunse — se mi fu offerto da bere e da fumare». Fu fatto risalire sul disco volante e ricondotto alla Croara, sempre in compagnia del signore dai baffetti neri e l'aria di angelo in borghese. Era partito per l'astronave di Venere alle 14,30 del 7 luglio 1957 (o '59) e rientrò nella sua officina di vicolo delle Dame a Bologna che erano precisamente le ore 17,20 dello stesso giorno, dello stesso mese, dello stesso anno. Aveva impiegato in tutto tre ore meno dieci minuti!

A conclusione di questa strana intervista, ho chiesto al Galli se era sicuro che il suo viaggio spaziale a bordo di un disco volante l'avesse compiuto "fisicamente" o soltanto in stato di "trance". «Io non sono mai stato ipnotizzato — ha risposto Luciano Galli. — La mia partecipazione fisica a questo viaggio è indiscutibile. Quanto ho esposto è la pura verità».

Renato Albanese



Disegno di Aldo Di Gennaro



Disegno di Aldo Di Gennaro

# Del diametro apparente di mezza luna

**Roma. Lo scenografo Paolo Di Girolamo.** Abita con a moglie, signora Simonetta, e la figliola in via Dei odesti 16. Paolo Di Girolamo, oriundo romagnolo e i padre abruzzese, ha 35 anni, fa l'animatore di artoni animati, cioè lo scenografo presso la INCOM, isiede nella capitale da diversi anni. Ha iniziato la ua carriera in Cile, a Santiago, nel 1948. Sin da al-ora si interessava ai "platillos voladores" come chia-nano nel Sud-America i dischi volanti.

Nel giugno del '59 verso le 21-21,30 osservò, nel cielo di Roma, proprio sopra casa sua, a tre, quattro-cento metri di altezza, tre oggetti, apparentemente solidi, di luce molto diffusa di un fluorescente giallo, erano del diametro apparente di una mezza luna e procedevano a fortissima velocità non uniforme ma a scatti improvvisi. Riuscì anche a fotografarli. Quella sera il generale De Gaulle, il quale si trovava in visita ufficiale in Italia, era ospite del Quirinale.



Lo scenografo Paolo Di Girolamo ha iniziato la sua carriera in Cile. Nel 1948 cominciò a interessarsi di dischi volanti.



Questa foto, eseguita con una piccolissima macchinetta giapponese, una Steky, ci mostra Paolo e Simonetta Di Girolamo a Roseto Abruzzi (Pescara) sulla spiaggia. L'immagine venne scattata il 14 agosto del 1961 fra le ore undici e dodici antimeridiane e costituì una sorpresa. Quando si passò alla stampa del negativo ci si avvide dell'oggetto sospeso dietro le due figure. Era forse un disco volante?



SEGUE

(Continuazione dalle pagine precedenti)



Il dottor Giorgio Michelini

# Una sfera enorme volava sopra di noi

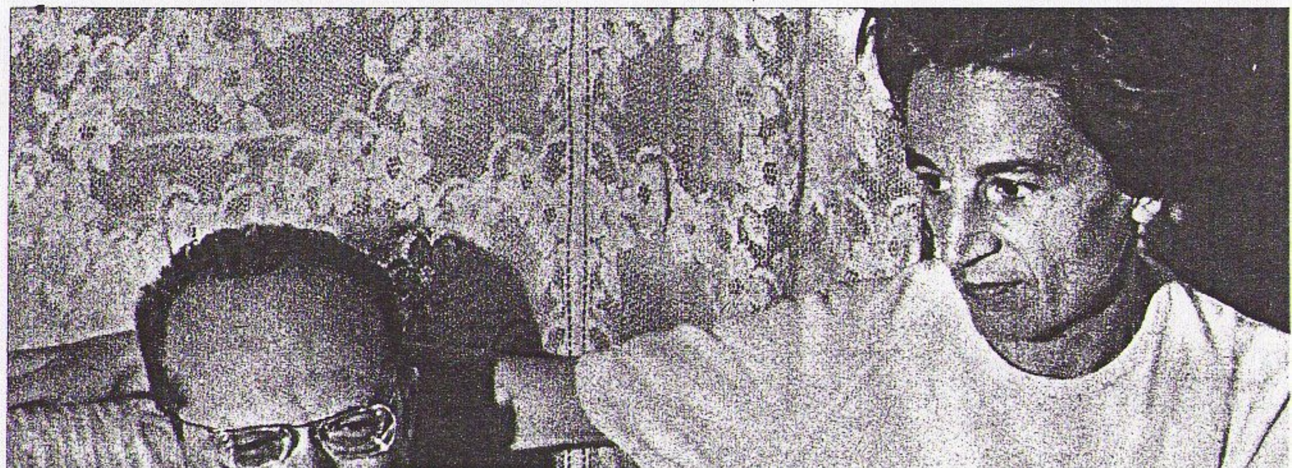
**Roma. Il dottor Giorgio Michelini.** Animatore di cartoni animati della INCOM, ha 31 anni e abita, con la moglie, signora Romilde, in via Andrea Bregno, 45. Ha fatto un avvistamento nel maggio del 1960. Si trovava in compagnia della moglie, in macchina, verso Prima Porta, al km. 10 della Flaminia. Erano forse le venti e stava dirigendosi nella direzione indicata quando sopra di lui, ad una altezza di 2000 metri, apparve una sfera enorme e da essa si partirono quattro oggetti di una luce bianca intensissima che si disposero a croce con arresto immediato. « Mentre accadeva ciò — racconta il dott. Michelini — io e mia moglie ci siamo sentiti come in una campana di silenzio, nemmeno più avvertivamo il rumore delle macchine che tuttavia sfrecciavano

# Sento il desiderio di poterlo riveder

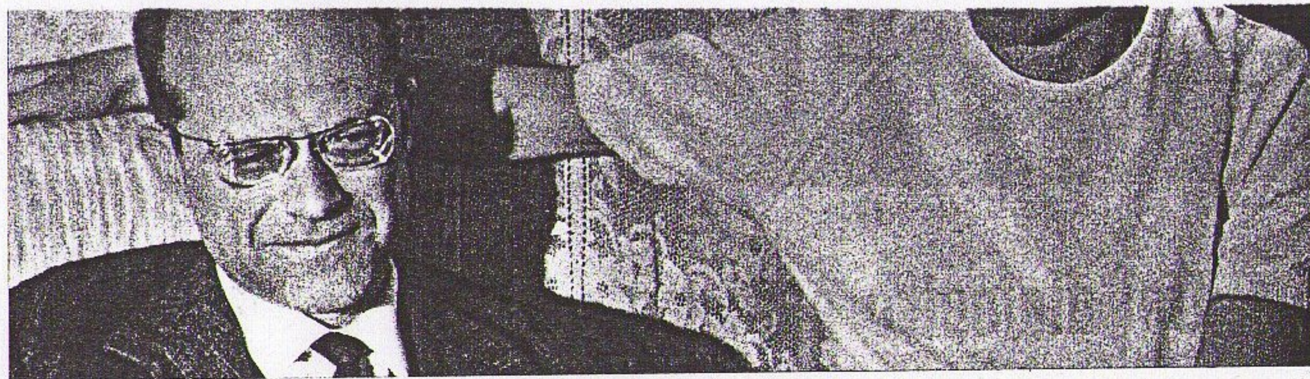
**Cagliari. L'ingegnere Sirio Vocca e sua moglie Marisa Romano.** Ambedue i coniugi Vocca, abitanti in via Ozieri, 41, sono testimoni di un avvistamento fatto il 1° agosto 1956 verso le ore 20. « Quel giorno — racconta l'ing. Vocca, che ha 41 anni ed è attualmente dirigente delle Ferrovie complementari sarde — mi trovavo con mia moglie in piazza Galilei, qui a Cagliari. Eravamo andati a far visita a certi nostri amici e stavamo dirigendoci verso casa. Si parlava allegramente, creda, si pensava a tutto fuorché ai dischi volanti, anche perché, noi, di oggetti simili non ne avevamo mai visti fino allora.

« Improvvisamente, allo zenit, apparve un corpo luminoso, saettante, e mia moglie lo vide contemporaneamente a me, veniva da ponente e si dirigeva verso levante. La sua grandezza poteva raggiungere la metà della luna piena, apparentemente solido, di forma circolare, di un colore verde smagliante, come le insegne luminose al neon. Viaggiava ad una altezza imprecisabile e a grande velocità. Non faceva nessun rumore. La durata dell'avvistamento fu soltanto di alcuni secondi, poi l'oggetto scomparve a 45° dall'orizzonte con una scia rossastra. Quella visione, benché siano passati tanti anni, non mi abbandona mai. Sento il desiderio di rivedere qu[...] l'oggetto ».

All'ing. Vocca abbiamo rivolto la domanda di ri[...] « Ingegnere, lei crede nei dischi volanti? ». « Riten[...] che qualcosa di vero ci sia ». Sirio Vocca, oriun[...] napoletano, è figlio di un noto astronomo, spent[...] nel 1954, Paolo Vocca, che diresse l'Osservatorio [...] Brera per tre anni. L'astronomo Vocca fu uno st[...]dioso di questi fenomeni. Dopo alcuni anni di osse[...]vazione aveva notato lo strano apparire a peric[...] dei misteriosi oggetti, che noi chiamiamo « disc[...] volanti », e si era accorto che tali periodi di ma[...]sima apparizione (della durata di sei-otto mesi) [...] stavano fra di loro di circa due anni e due mesi. [...] mise allora alla ricerca di un fenomeno che seguis[...] appunto tale periodo e dopo aver esaminato i fen[...]meni terrestri, pensò a quelli del sistema solare tr[...]vando appunto quello che cercava: le « opposizion[...] di Marte con la Terra. Le « opposizioni » rappreser[...]tano i periodi in cui il pianeta Marte si trova ma[...]giormente vicino al pianeta Terra. Vocca rilevò cl[...] i « dischi volanti » apparivano in maggior nume[...] quando Marte passava accanto alla Terra.



di 2000 metri, apparve una sfera enorme e da essa si partirono quattro oggetti di una luce bianca intensissima che si disposero a croce con arresto immediato. « Mentre accadeva ciò — racconta il dott. Michelini — io e mia moglie ci siamo sentiti come in una campana di silenzio, nemmeno più avvertivamo il rumore delle macchine che tuttavia sfrecciavano accanto alla nostra. Romilde è di carattere un po' scettico, non crede a certe cose. Ma di fronte a quella manifestazione ebbe paura. Quel fenomeno ebbe una durata di cinque-sei minuti, ma quando noi riprendemmo la marcia continuava ancora. Non ho pensato, il giorno successivo, di interrogare amici e conoscenti per accertare se qualcuno avesse assistito allo strano fenomeno.



L'ingegnere Sirio Vocca con la moglie Marisa Romano nel salotto della loro casa a Cagliari.

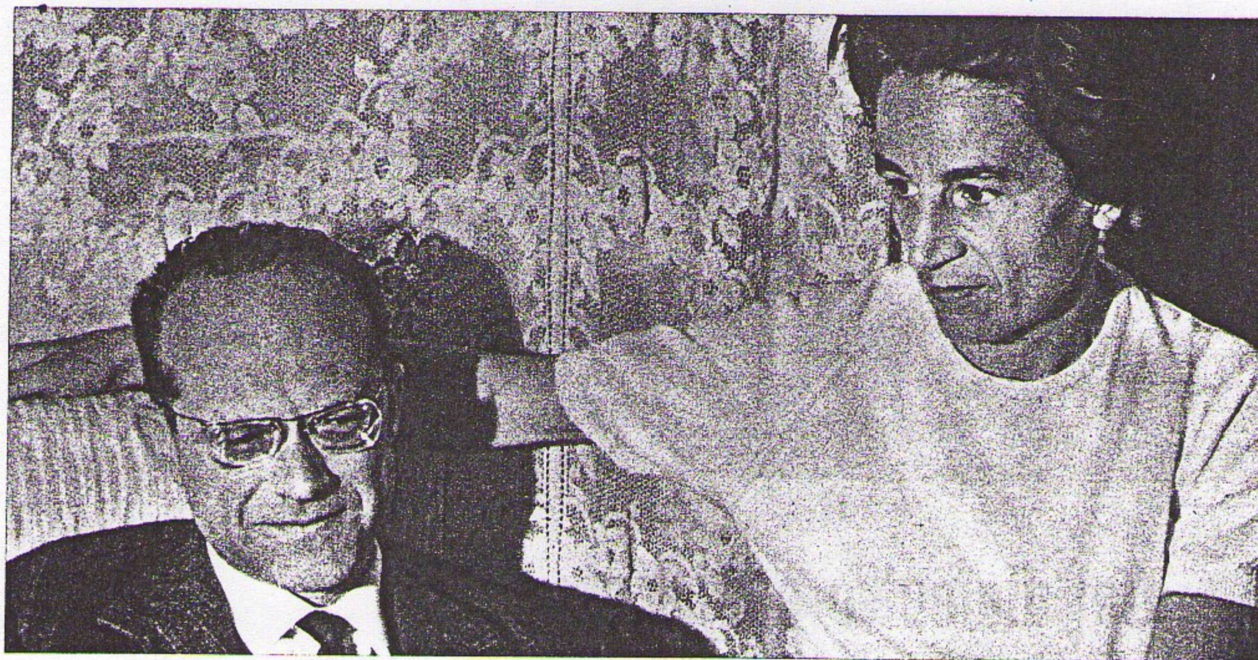
dischi volanti
Continua

# Sento il desiderio di poterlo rivedere

**Cagliari. L'ingegnere Sirio Vocca e sua moglie Marisa Romano.** Ambedue i coniugi Vocca, abitanti in via Ozieri, 41, sono testimoni di un avvistamento fatto il 1° agosto 1956 verso le ore 20. « Quel giorno — racconta l'ing. Vocca, che ha 41 anni ed è attualmente dirigente delle Ferrovie complementari sarde — mi trovavo con mia moglie in piazza Galilei, qui a Cagliari. Eravamo andati a far visita a certi nostri amici e stavamo dirigendoci verso casa. Si parlava allegramente, creda, si pensava a tutto fuorché ai dischi volanti, anche perché, noi, di oggetti simili non ne avevamo mai visti fino allora.

« Improvvisamente, allo zenit, apparve un corpo luminoso, saettante, e mia moglie lo vide contemporaneamente a me, veniva da ponente e si dirigeva verso levante. La sua grandezza poteva raggiungere la metà della luna piena, apparentemente solido, di forma circolare, di un colore verde smagliante, come le insegne luminose al neon. Viaggiava ad una altezza imprecisabile e a grande velocità. Non faceva nessun rumore. La durata dell'avvistamento fu soltanto di alcuni secondi, poi l'oggetto scomparve a 45° dall'orizzonte con una scia rossastra. Quella visione, benché siano passati tanti anni, non mi abbandona mai. Sento il desiderio di rivedere quel l'oggetto ».

All'ing. Vocca abbiamo rivolto la domanda di rito: « Ingegnere, lei crede nei dischi volanti? ». « Ritengo che qualcosa di vero ci sia ». Sirio Vocca, oriundo napoletano, è figlio di un noto astronomo, spentosi nel 1954, Paolo Vocca, che diresse l'Osservatorio di Brera per tre anni. L'astronomo Vocca fu uno studioso di questi fenomeni. Dopo alcuni anni di osservazione aveva notato lo strano apparire a periodi dei misteriosi oggetti, che noi chiamiamo « dischi volanti », e si era accorto che tali periodi di massima apparizione (della durata di sei-otto mesi) distavano fra di loro di circa due anni e due mesi. Si mise allora alla ricerca di un fenomeno che seguisse appunto tale periodo e dopo aver esaminato i fenomeni terrestri, pensò a quelli del sistema solare trovando appunto quello che cercava: le « opposizioni » di Marte con la Terra. Le « opposizioni » rappresentano i periodi in cui il pianeta Marte si trova maggiormente vicino al pianeta Terra. Vocca rilevò che i « dischi volanti » apparivano in maggior numero quando Marte passava accanto alla Terra.



L'ingegnere Sirio Vocca con la moglie Marisa Romano nel salotto della loro casa a Cagliari.

dischi volanti Continua

L'AFFASCINANTE ROMANZO DEI "DISCHI VOLANTI"

# 663 OGGETTI CHE NESSUNO HA SPIEGATO

Su 11.074 segnalazioni registrate negli ultimi vent'anni dai centri ufficiali degli Stati Uniti, 663 si riferiscono a "oggetti non identificati". In tutto il mondo saranno, però, almeno due o tremila. Vi sono sintomi che l'intera questione possa essere chiarita già nel corso del 1967

due o tremila. Vi sono sintomi che l'intera questione possa essere chiarita già nel corso del 1967



Due spettacolosi dischi volanti nel cielo di Melbourne. Questa foto, che fa parte di una serie, è assai suggestiva, ma certamente è prodotto di un trucco tecnico.

Servizio di FRANCO BANDINI, GIANCARLO MASINI e BARTOLO PIEGGI **2ª PUNTATA**

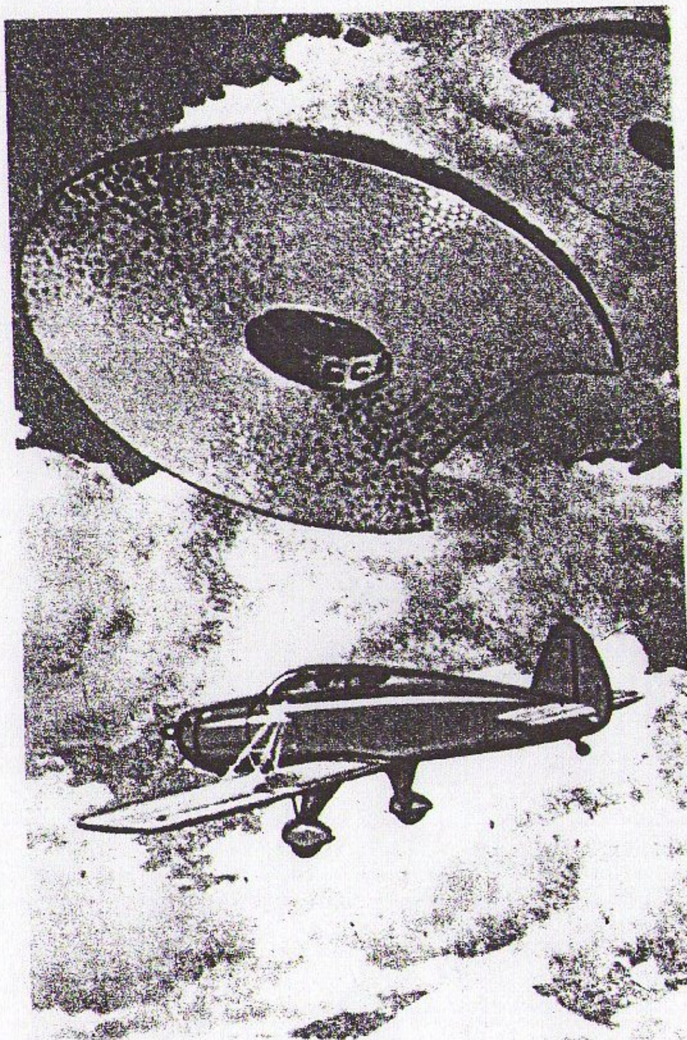
5-3-67

Il 24 giugno 1947, dunque venti anni fa, un certo Kenneth Arnold, pilota civile americano che stava volando sullo Stato di Washington alla ricerca di un apparecchio che si supponeva precipitato, si vide raggiungere, sorpassare e lasciare indietro da una formazione di nove dischi volanti. Erano simili a gigantesche boccole di bronzo, curiosamente smangiate da una parte: e con un diametro non inferiore ai 35 metri. Kenneth Arnold si dimenticò all'istante della sua missione, scese a terra precipitosamente e dette al mondo la notizia fulminante dell'esistenza dei « piatti volanti ».

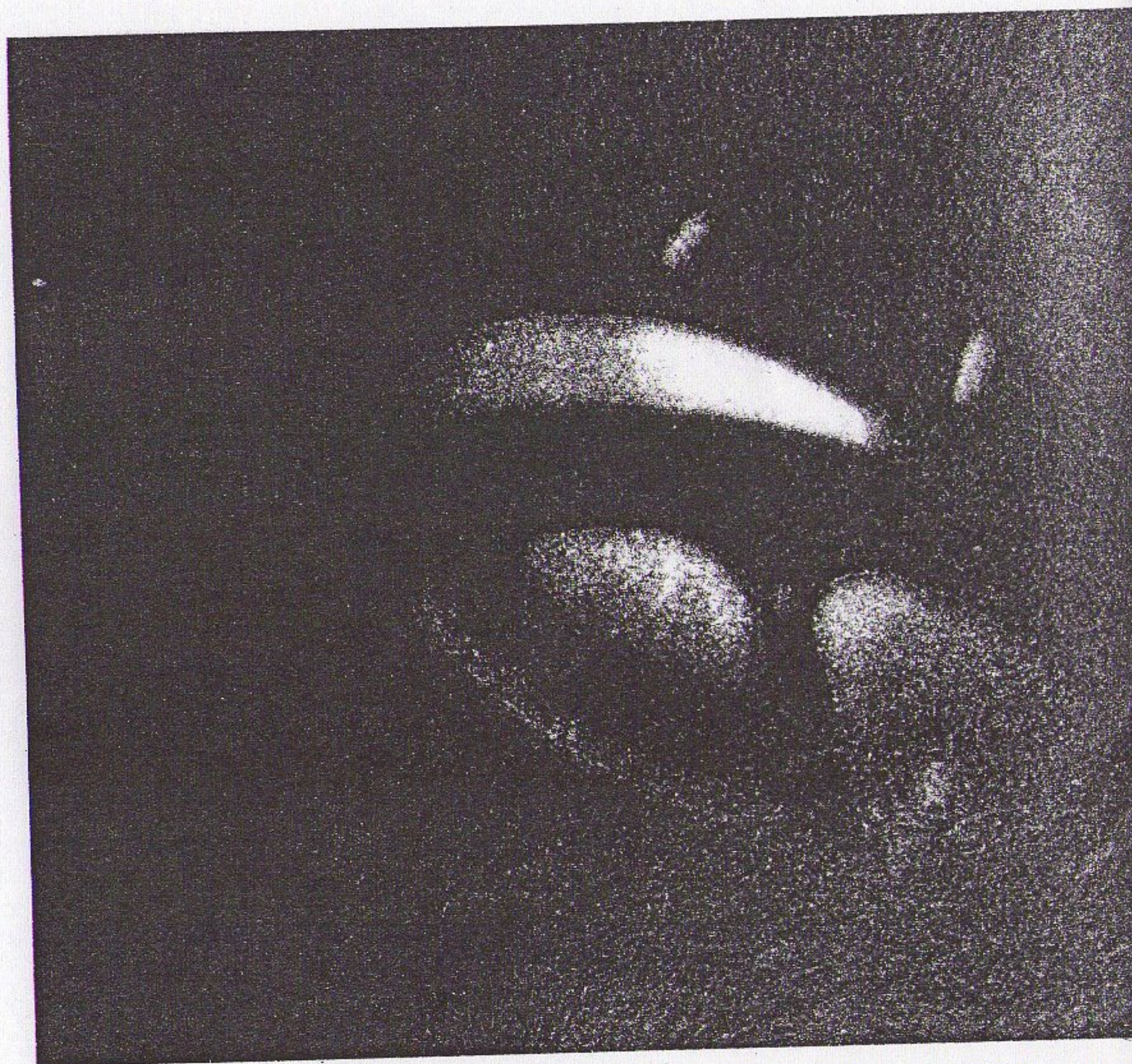
Da allora, un calcolo stimato fa ascendere ad almeno 150.000 il numero degli avvistamenti, un buon terzo dei quali avvenuti da parte di più persone contemporaneamente. In pratica, se si eccettuano vasche da bagno, culle per neonati e ferri da stiro, in cielo è stato visto di tutto, compresi bricchi da caffè, teiere, trottole e cappelli a cilindro. Un ventennale « Salone del Disco », che ha finito per far perdere non solo alla umanità stupefatta, ma anche a chi si occupa più da vicino di queste cose, il senso delle proporzioni e probabilmente il significato più profondo di certi singolari fenomeni.

Attualmente i due grandi partiti che si sono formati quasi immediatamente all'ombra di questa che può essere chiamata « la questione », si trovano in posizione di stallo. I sostenitori dei « dischi », naturalmente divisi in scuole e sottoscuole dei più varî colori e sfumature, ritengono di aver accumulato abbastanza prove per « documentare » la reale esistenza di questi sfuggenti « oggetti »: ma è giusto dire che se anche si tratta di prove, in alcuni casi particolarmente suggestive e perfino impressionanti, manca tuttavia quella decisiva. I « clipeologhi » (così si chiamano dal termine latino « clipeus », che poi significa scudo), sostengono però che le « vere prove » sono in mano, da anni, dei tecnici militari, soprattutto di quelli americani della U.S.A.F., la Air Force di Washington: ma rimane sempre da comprendere perché solo i militari, e soltanto loro, siano riusciti a catturare, archiviare e metter sotto chiave le « prove vere », che agli altri, per quanto accaniti, non è mai accaduto di mettere insieme.

Dal canto loro i tecnici, soprattutto quelli incaricati delle ricerche, hanno manifestato una sorprendente abilità nello stendere, a volta a volta, comunicati evasivi, veri capolavori di diplomazia, nei quali l'arte del «nì» giunge a fastigi impensati. Dicendo in sostanza che su 11.074 avvistamenti, quanti ne sono stati denunziati in vent'anni alla loro commissione, negli Stati Uniti, 10.411 trovano una spiegazione soddisfacente in fenomeni assolutamente normali, compresa l'allucinazione singola o collettiva, l'equivoco visuale con stelle e pianeti, i miraggi e le inversioni: e limitandosi a classificare come «non identificati » i residui 663 casi. Ma che significa « non identificati »? E che ipotesi sono state fatte su un così forte numero di avvistamenti, molti dei quali basati anche (lo si sa per certo) su immagini fotografiche, sia pure poco nitide? La mancata identificazione — si dice — non è conseguenza di « dati insufficienti » perché sotto questa voce troviamo classificati, negli ultimi 12 anni, ben 1.248 avvistamenti: e dunque si tratta di casi nei quali i dati furono sufficienti, ma non spiegati. A questi, che son soltanto casi americani, occorre aggiungere la massa di quelli verificatisi nel resto del mondo, in ben maggior numero: non pare inverosimile che in questi ultimi vent'anni vi siano stati tre o quattromila

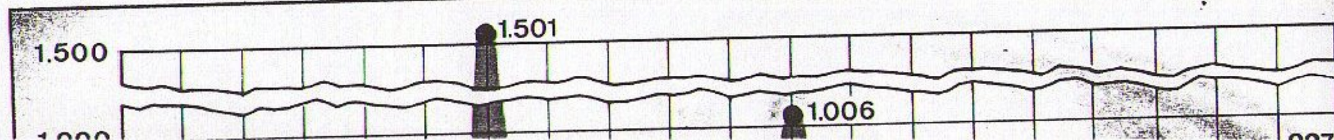


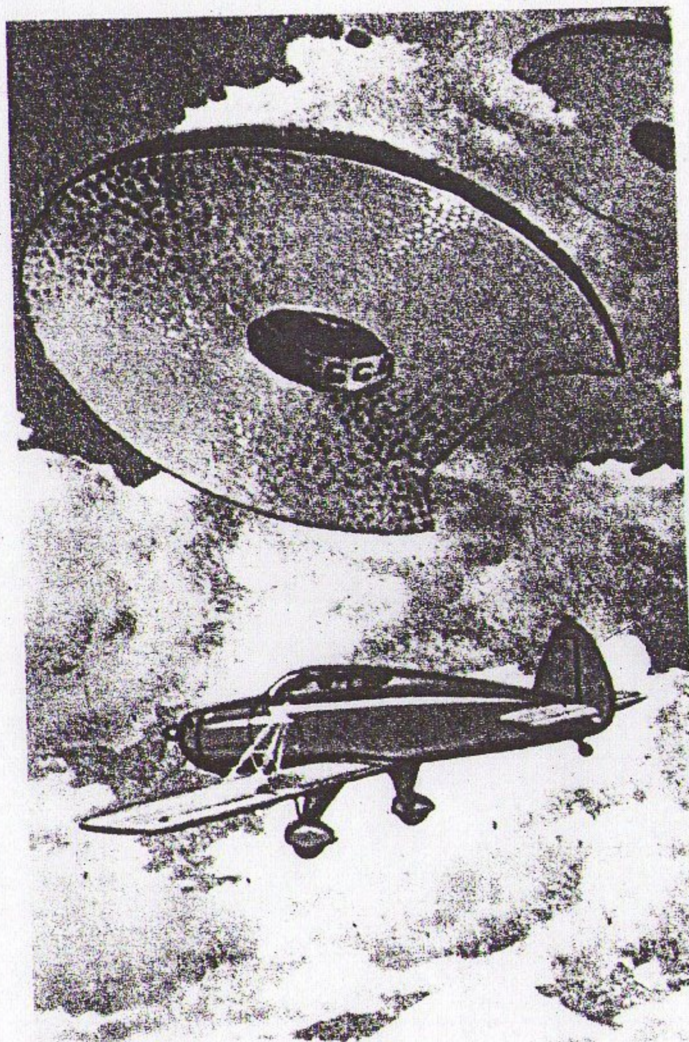
**IL PADRE PUTATIVO**. Kenneth Arnold, pilota civile americano, è il primo ad aver avvistato i «piatti volanti» moderni. Ecco la scena del suo incontro, il 24 giugno 1947, con una ricostruzione esatta di ciò che vide.



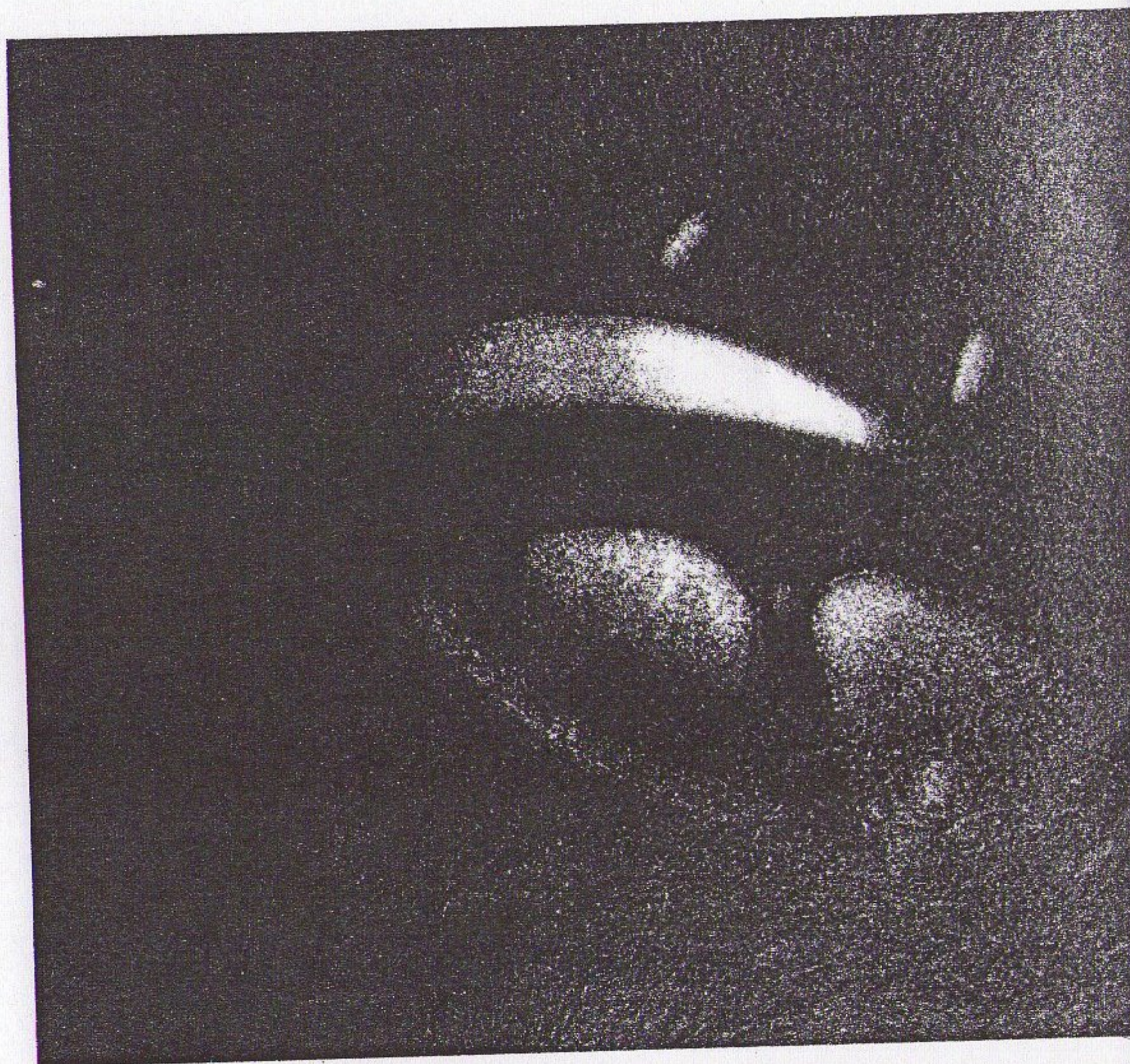
**RECENTISSIMA A COLORI**. Questa foto è stata scattata alle 1,45 della notte del 2 agosto 19
dal giovane Alan Smith, di Tulsa, Oklahoma. Secondo il parere degli esperti interrogati, l'oggetto
tografato aveva una brillantezza doppia di quella della Luna piena e poteva trovarsi a circa un chi
metro e mezzo da terra. Da notare che le luci del «disco» erano pulsanti e variabili di colo

# 663 OGGETTI CHE NESSUNO



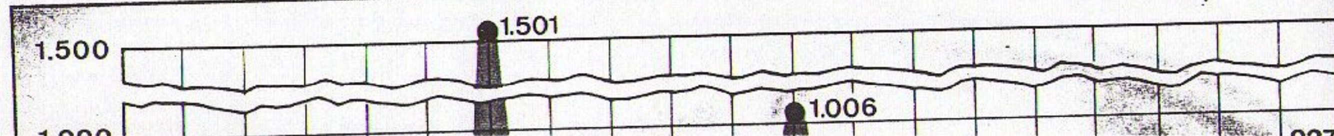


**IL PADRE PUTATIVO**. Kenneth Arnold, pilota civile americano, è il primo ad aver avvistato i « piatti volanti » moderni. Ecco la scena del suo incontro, il 24 giugno 1947, con una ricostruzione esatta di ciò che vide.



**RECENTISSIMA A COLORI**. Questa foto è stata scattata alle 1,45 della notte del 2 agosto 19 dal giovane Alan Smith, di Tulsa, Oklahoma. Secondo il parere degli esperti interrogati, l'oggetto fotografato aveva una brillantezza doppia di quella della Luna piena e poteva trovarsi a circa un chi metro e mezzo da terra. Da notare che le luci del « disco » erano pulsanti e variabili di colo

# 663 OGGETTI CHE NESSUNO



ti » moderni. Ecco la scena del suo incontro, il 24 giugno 1947, con una ricostruzione esatta di ciò che vide.

tografato aveva una brillantezza doppia di quella della Luna piena e poteva trovarsi a circa un chilometro e mezzo da terra. Da notare che le luci del « disco » erano pulsanti e variabili di colore.

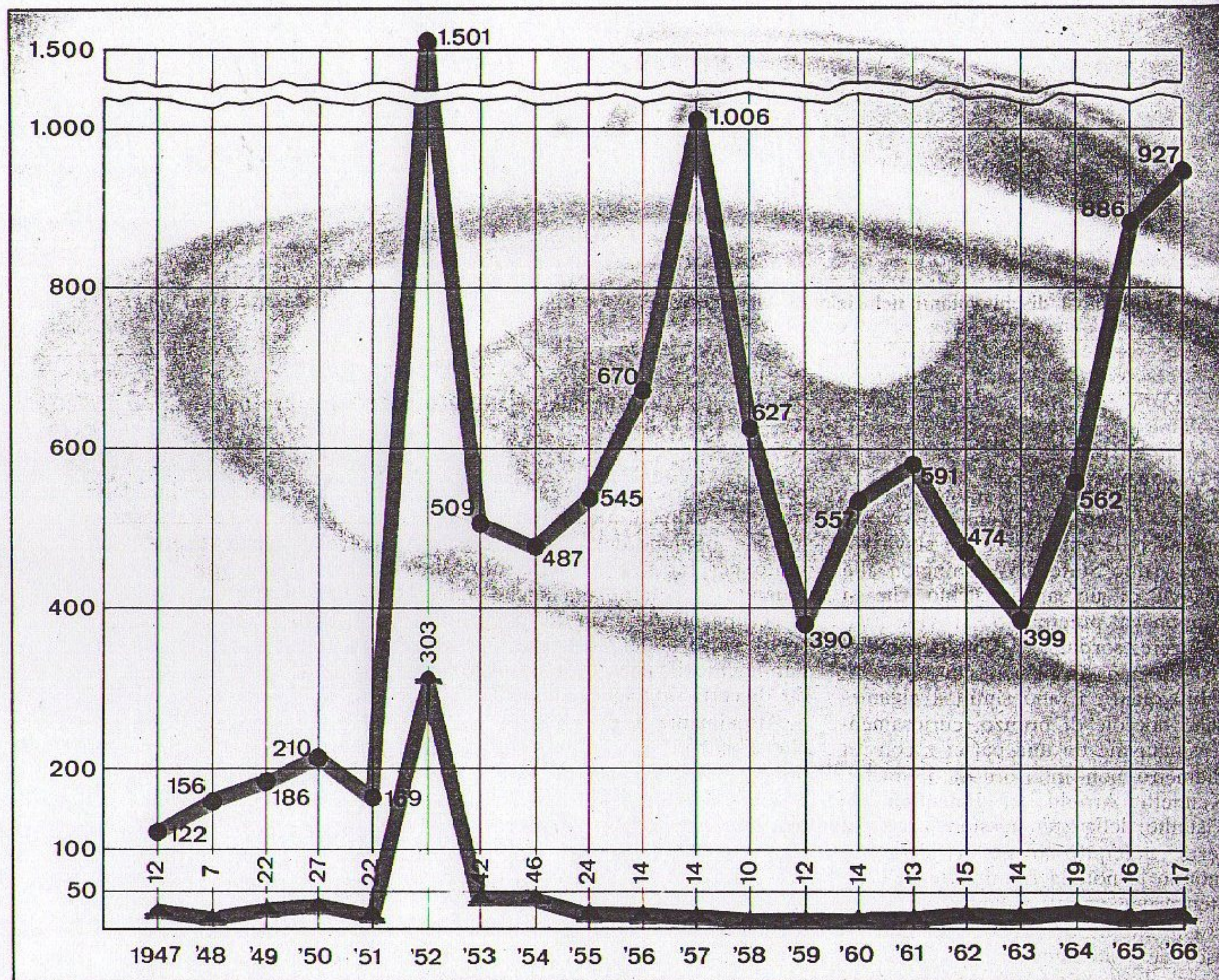
# 663 OGGETTI CHE NESSUNO HA SPIEGATO

Seguito dalla pagina precedente

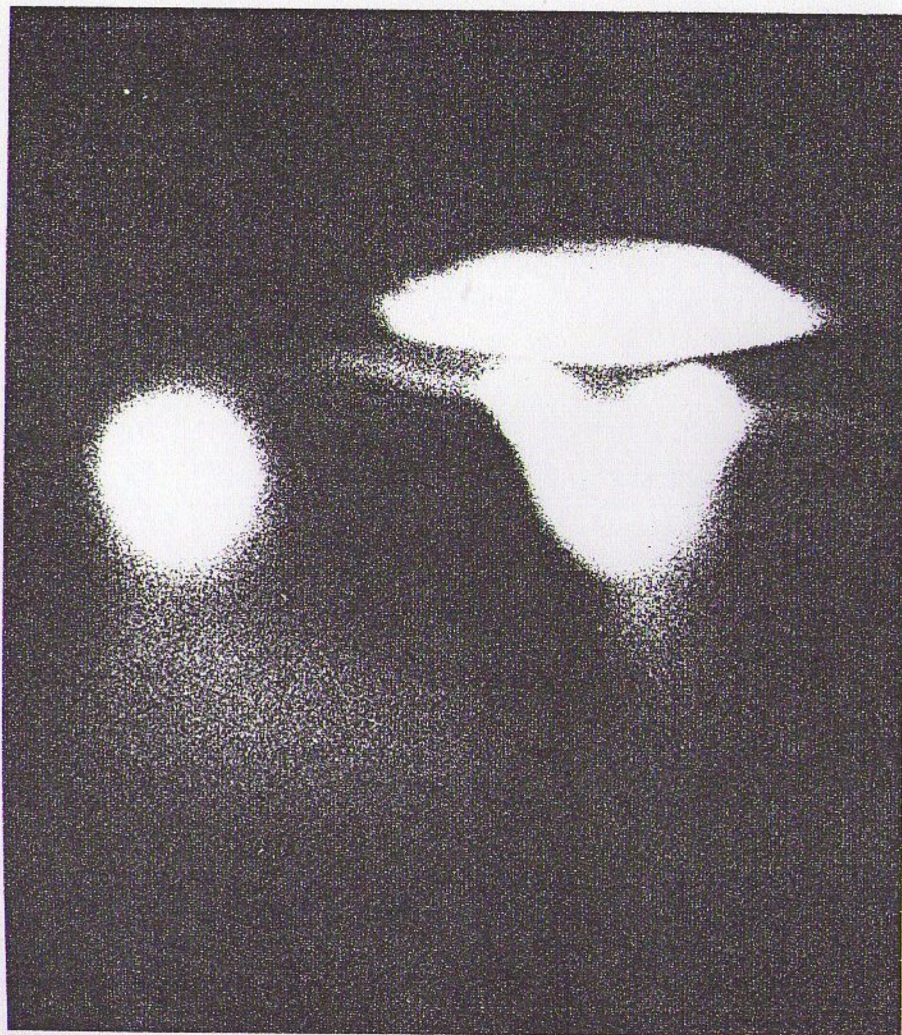
avvistamenti non spiegabili a termini delle nostre normali conoscenze: troppi per non costituire un mistero che richiede una spiegazione.

Il numero di questi casi importerebbe ancora poco, se non fosse per la « qualità » di alcuni di essi: vedremo nelle prossime puntate di questo servizio quale immenso corteo di trucchi, scherzi, addirittura truffe, si sia messo nella scia dei « dischi volanti ». E quanta gente, in questi cinque lustri, abbia cercato una effimera notorietà, o addirittura una facile fonte di denaro, collocandosi al centro dell'opinione pubblica più credula. Ma esistono una dozzina di testimonianze, meglio di fatti, che sembrano costruiti apposta per sbrigliare le fantasie più pigre.

Il primo, nonostante siano passati diciannove anni, rimane uno degli indovinelli più sorprendenti della nostra epoca. Il 7 gennaio 1948, uno smisurato disco (si parlò di 80 metri di diametro) venne avvistato sulla verticale di Fort Knox, negli Stati Uniti: fu visto da centinaia di persone, e tra le altre dal comando del locale aeroporto militare. Un colonnello di questo dette subito ordine di mettersi in caccia della « cosa » ad una pattuglia di « F 51 », comandata dal capitano Thomas Mantell, già in aria. Gli « F 51 » si avvicina-




**IL RIASSUNTO IN CIFRE DI UNA STORIA FANTASTICA** - Nel diagramma qui sopra sono riportate le cifre ufficiali pubblicate recentemente dal « Blue Book » americano. Il « Blue Book » è il progetto statunitense per lo studio dei « dischi »; stabilito sin dal 1948 e passato attraverso varie denominazioni: « Project Sign », « Project Grudge », ed ora « Project Blue Book ». In pratica, si tratta dell'attività di ricerca delle forze aeree americane: secondo le rilevazioni, l'anno di più intensa segnalazione è il famoso 1952, seguito dal non meno famoso 1957. Dall'anno 1963 la curva si impenna bruscamente. La curva azzurra in basso indica i « corpi sconosciuti » anno per anno. In totale, appunto, sono 663.



**IL DISCO SURREALISTA** - Ecco la fotografia scattata l'8 agosto 1965 da James Lucci, astronomo amatore, a Beaver Falls, Pasadena, Stati Uniti. La singolarità della foto consiste nel fatto che, stando alle dichiarazioni del Lucci, essa venne ripresa utilizzando la macchina ed il piccolo telescopio di sua proprietà.



**UN FACILE ABBAGLIO** - Questa è la fotografia della bellissima nebulosa spirale « N.G.C. », così come la si vede in un buon telescopio astronomico. Con modesti ingrandimenti, può benissimo essere scambiata per un disco volante e fotografata come tale. In 12 anni gli abbagli « astronomici » sono stati 805.

rono e Mantell cominciò a trasmettere brevi frasi smozzicate: « La cosa sembra di metallo ed è gigantesca... Adesso comincia a salire... Va

dar attorno a Washington che « batte» una nutrita formazione di dischi: si alzano aerei da caccia, di fronte ai quali i dischi fuggono. Gente a ter-

« ondate » che percuotessero l'opinione pubblica nello stesso istante: ma, al contrario, i « dischi » seguivano una specie di escalation geo-

facile, dalle ore di avvistamento, dedurre che esso seguiva la sua rotta con velocità costante attorno ai 2.500 chilometri l'ora: messa sulla carta la

**mes Lucci, astronomo amatore, a Beaver Falls, Pasadena, Stati Uniti. La singolarità della foto consiste nel fatto che, stando alle dichiarazioni del Lucci, essa venne ripresa utilizzando la macchina ed il piccolo telescopio di sua proprietà.**

**rale « N.G.C. », così come la si vede in un buon ... modesti ingrandimenti, può benissimo essere scambiata per un disco volante e fotografata come tale. In 12 anni gli abbagli « astronomici » sono stati 805.**

rono e Mantell cominciò a trasmettere brevi frasi smozzicate: « La cosa sembra di metallo ed è gigantesca... Adesso comincia a salire... Va alla mia stessa velocità... ». Ad un certo punto Mantell ordinò ai due gregari di tenersi indietro e proseguì da solo, sempre trasmettendo: si udirono altre frasi, come di terrore, poi più nulla. L'apparecchio era esploso, e se ne trovarono i frammenti su una vastissima area.

Questi fatti son molto curiosi, e tantopiù lo diventano in quanto un rapporto ufficiale sulla fine di Mantell non risulta sia mai stato pubblicato dalla Air Force americana. Non si è nemmeno in grado di stabilire se le frasi del capitano furono realmente dette o no. Ma il silenzio delle fonti ufficiali, del resto incomprensibile, è stato sempre interpretato più come una conferma che come una smentita.

Saltiamo al 1949, esattamente al 20 di agosto. Clyde Tombaugh, notissimo astronomo e passato alla storia come scopritore di Plutone, sta prendendo il fresco davanti alla sua casa di Las Cruces, nel Nuovo Messico. All'improvviso, molto alti nel cielo, vede passare otto rettangoli di luce azzurrina, uno in coda all'altro: forzando la vista, riesce ad intravedere una specie di enorme fuso, del quale le luci sembrano quasi i finestrini: « Restai così stupefatto — racconterà poi — che la mia coscienza ne fu profondamente turbata ». Quella sera nacque quello che i francesi poi battezzarono « le grand cigare », il « gran sigaro », vuoi orizzontale, vuoi verticale.

Ancora un salto fino al luglio 1952. Questa volta è una catena radar attorno a Washington che « batte» una nutrita formazione di dischi: si alzano aerei da caccia, di fronte ai quali i dischi fuggono. Gente a terra li vede, giganteschi nella luce dell'alba. Fu veramente la « notte dei dischi », con un considerevole panico nella popolazione, e nessuna smentita ufficiale. I radar che avevano effettuato la scoperta erano almeno sette, e nessuno risultò guasto o difettato.

Ma forse il caso più sconcertante, anche per le sue implicazioni politiche è quello verificatosi nel luglio 1965, quando un distaccamento scientifico argentino, dislocato nell'Antartide, vide e fotografò uno straordinario oggetto volante di colore rapidamente mutevole, che volava ad una decina di chilometri dalla loro base. Ci fu un comunicato ufficiale del ministero della Marina argentina, che ebbe il potere di rinfocolare le vecchie polemiche nate attorno a nove fotografie scattate nel 1957, al largo di Trinidad, da un fotografo imbarcato su una antiquata corazzata brasiliana impegnata in lavori scientifici per conto dell'Anno geofisico internazionale. Si trattava, più o meno, dello stesso oggetto: e sulla autenticità delle foto, subito contestate dal governo brasiliano, si ebbe poi un comunicato « colpo di scena » che le definiva autentiche. Rimane molto misterioso tutto il lato politico della questione ed anche la fine delle foto famose.

Vi sono anche altri fatti, di altro tipo. Tra il 1950 ed il 1955 la serie degli avvistamenti in Europa, diligentemente schedata dagli appassionati, mise in rilievo un fatto senza dubbio straordinario. Non esistevano « ondate » che percuotessero l'opinione pubblica nello stesso istante: ma, al contrario, i « dischi » seguivano una specie di escalation geografica. Ve ne furono in grandissimo numero in Francia nel 1950, poi nel 1951 si spostarono in Germania. Nel 1952 vennero visti in Italia e quindi successivamente in Grecia e Turchia, secondo una specie di rotta generale che andava da ovest ad est e da nord a sud.

## Cos'è la ortotenia

Non solo, ma un certo numero di apparizioni permise di fondare addirittura una nuovissima scienza, la « ortotenia ». Alcuni scienziati francesi, tra i quali Aimé Michel, notarono che quando andavano a fissare sulla carta geografica i punti successivi nei quali erano stati visti quasi contemporaneamente « dischi volanti », si ottenevano generalmente linee curve, con un raggio costante. Quando invece si trattava di rette, esse si incrociavano in alcuni punti, sempre gli stessi, che vennero subito battezzati « fuochi ortotenici ». Carte giornaliere delle rotte sulla Francia vennero subito stese: e l'insieme di esse permise di stabilire che, se di suggestione collettiva si trattava, essa obbediva a ben strane leggi.

In Italia ci furono episodi sorprendenti, legati a questo genere di considerazioni. Nel 1954 apparve un oggetto luminoso, che seguì una rotta circolare da Brindisi sino a Vienna: fu visto forse da migliaia di persone, che ovviamente non avevano potuto mettersi d'accordo prima. Fu facile, dalle ore di avvistamento, dedurre che esso seguiva la sua rotta con velocità costante attorno ai 2.500 chilometri l'ora: messa sulla carta la sua traiettoria si rivelò un cerchio perfetto, con il centro nel nord della Jugoslavia.

Due anni dopo lo stesso corpo, o uno simile, ricomparve su una rotta inversa, e spostata rispetto alla prima di 200 chilometri. Ma sempre circolare e sempre con lo stesso centro.

Abbiamo elencato alcune considerazioni, ed alcuni fatti, tra i più salienti di questi ultimi vent'anni. Non sono i soli, ma certo i più importanti. Per contro ve n'è una sterminata legione completamente destituita di fondamento buona, al più, ad intorbidare acque già passabilmente misteriose e sconcertanti: tra gli elementi di questa seconda categoria stanno in prima linea, senza alcun dubbio, le fotografie «truccate» che con regolarità la stampa di tutto il mondo pubblica al riguardo. Ed appartengono alla stessa categoria di falsi i numerosissimi racconti di « marziani » scoperti, visti e persino catturati qua e là, generalmente in zone desertiche e sprovviste di testimoni. Non passa giorno senza che spunti, nel Messico come in Italia, in Australia come nella civile ed avanzata Inghilterra, qualcuno che narra di esser stato rapito da un « disco », e portato a spasso magari fino a Venere: e di aver intrattenuto filosofici colloqui con i suoi abitatori, sempre saggissimi e potentissimi, preoccupati del nostro bene e del nostro avvenire. Attorno a queste « partenze per il fantastico », si sono create addirittura filosofie e sette a sfondo religioso. La psicologia è sta-

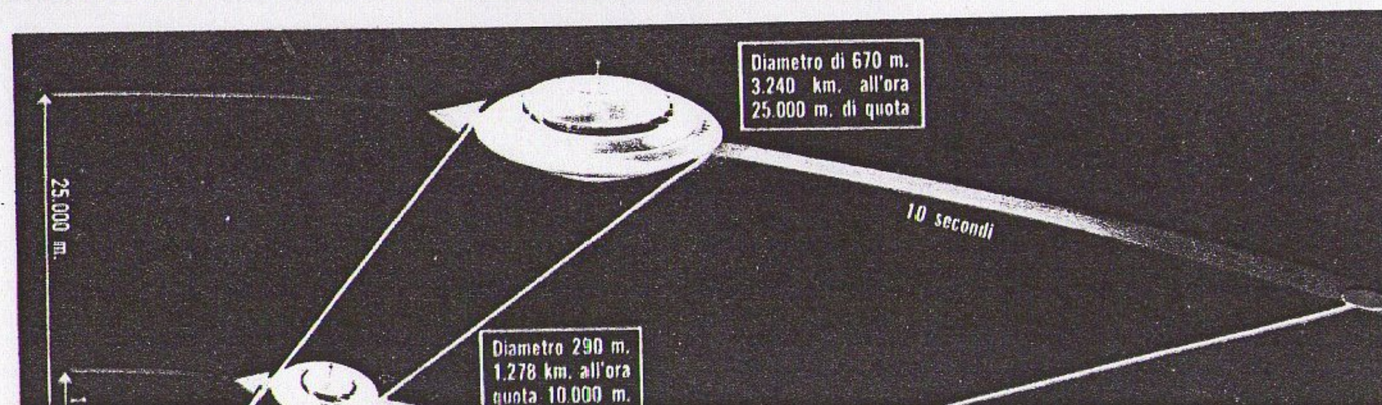
## UNA FOTOGRAFIA TRA LE MEGLIO RIUSCITE

A sinistra la foto scattata il 16 giugno 1963 presso Albuquerque nel New Mexico. Essa fa parte di una serie largamente sfruttata, anche a scopi commerciali. L'avvistamento non è stato ritenuto valido nemmeno dagli organi ed associazioni che sostengono, spesso con serio impegno, l'esistenza dei dischi.

## PERCHÉ È GIUSTO DUBITARE

Un corpo volante è caratterizzato da tre elementi fondamentali: grandezza, quota e velocità. Se noi conosciamo uno dei tre è facile ricostruire gli altri due. Questo succede con gli aerei, dei quali ci è familiare la grandezza. Ma se non conosciamo nessuno dei tre elementi, allora è impossibile decidere: nel disegno qui sotto si vedono tre dischi volanti perfettamente uguali quanto a forma, tutti e tre osservati con l'angolo di un grado da terra. Si suppone che essi compiano in 10 secondi un arco di 25 gradi. Nelle tre tabelline sotto sono raffigurati tre possibili casi, ognuno con i suoi relativi valori diversi di quota, velocità e dimensioni.

# 663 OGGETTI CHE NESSUNO HA SPIEGATO



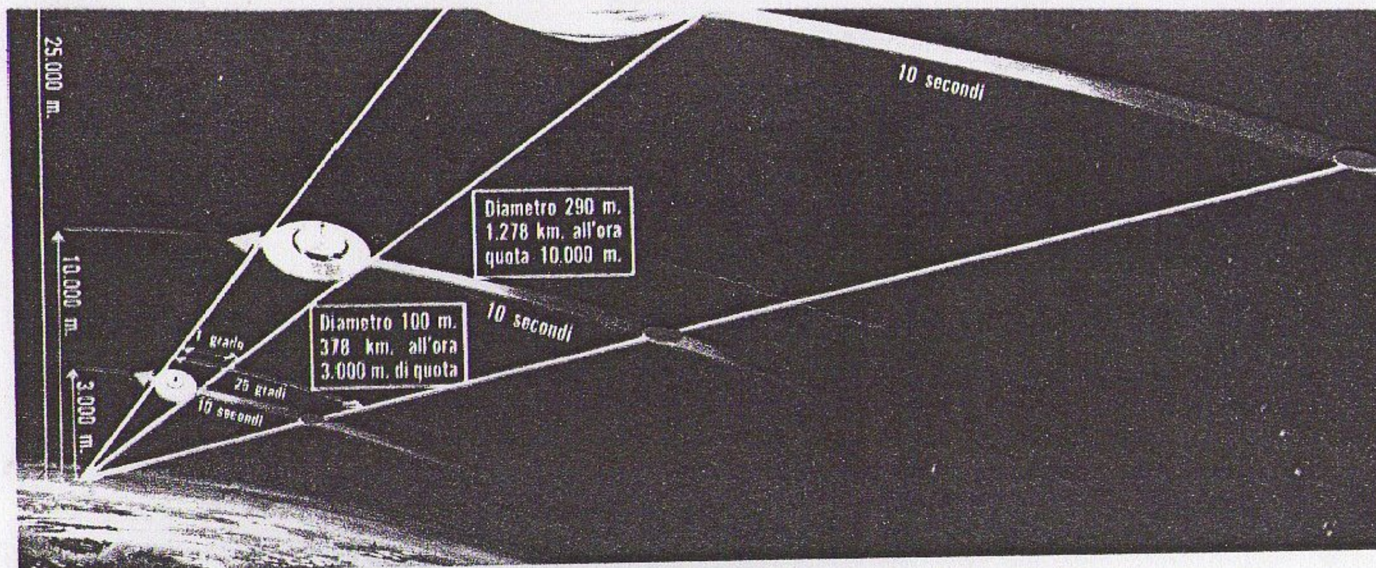
# 663 OGGETTI CHE NESSUNO HA SPIEGATO

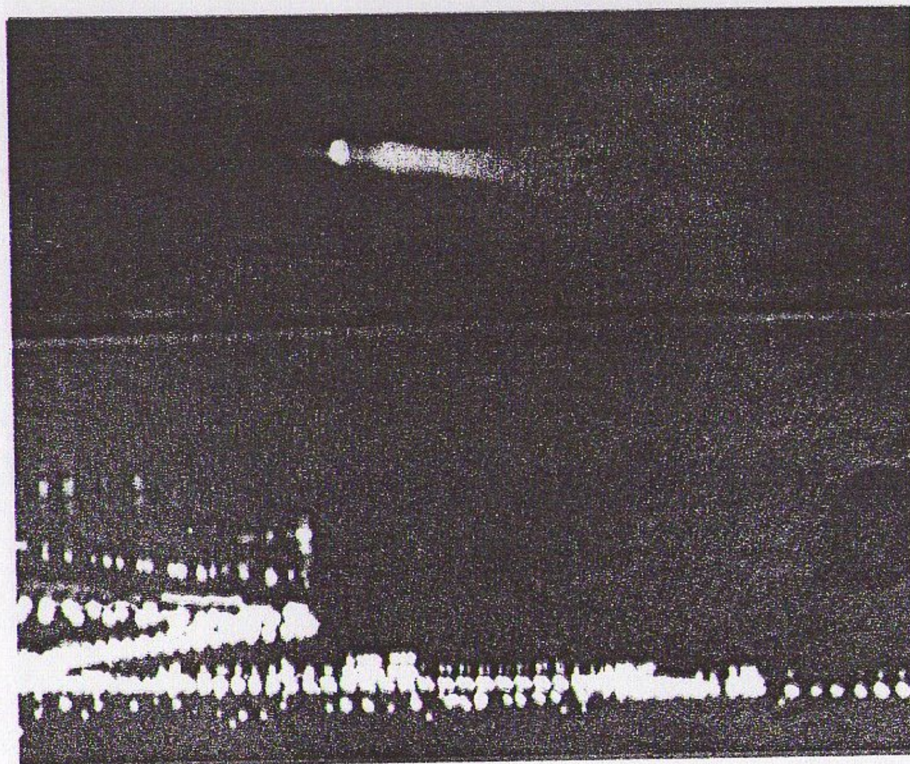
Seguito dalle pagine precedenti

ta costretta ad occuparsi dell'argomento, che costituisce ormai una branca classica della paranoia a vari livelli. Preceduta naturalmente dalla letteratura, che ha trovato nei «dischi» una dimensione ed una possibilità nuove.

Così, i « piatti » avvistati da Kenneth Arnold vent'anni fa sono divenuti ormai parte integrante della nostra vita, senza che alcuno possa dire nulla di attendibile sulla loro realtà. E' probabile, però, che il mondo sia alla vigilia di qualcosa di decisivo in materia, poiché proprio in questo ultimissimo periodo, a parte una recrudescenza del fenomeno, gli organi ufficiali americani hanno deciso di sbloccare tutte le informazioni in loro possesso per affidarle, con un cospicuo stanziamento governativo, ad istituti universitari di ricerca: la misura si presta a varie interpretazioni. Ma, come vedremo prossimamente tracciando la storia della posizione ufficiale della scienza e del governo americani in materia, vi sono sintomi che permetterebbero di dedurre che la decisione sia legata più ad una risposta positiva, sull'esistenza dei « dischi » che a quella opposta. Può darsi perciò che il 1967 ci induca a rivedere, in forme che ancora non conosciamo, la nostra posizione fondamentalmente scettica.

2 - continua



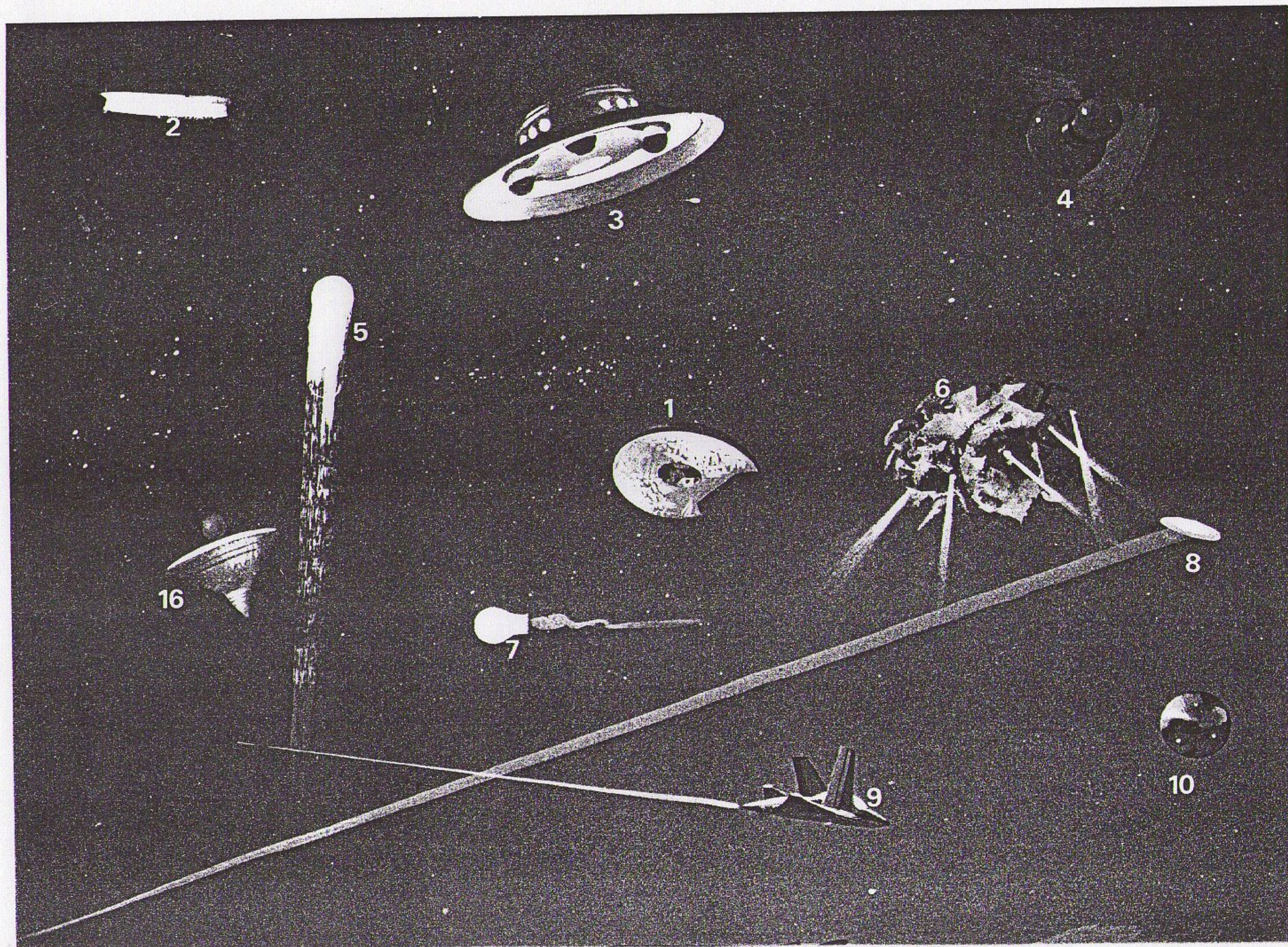



## UN RAZZO STILE ROCOCÒ

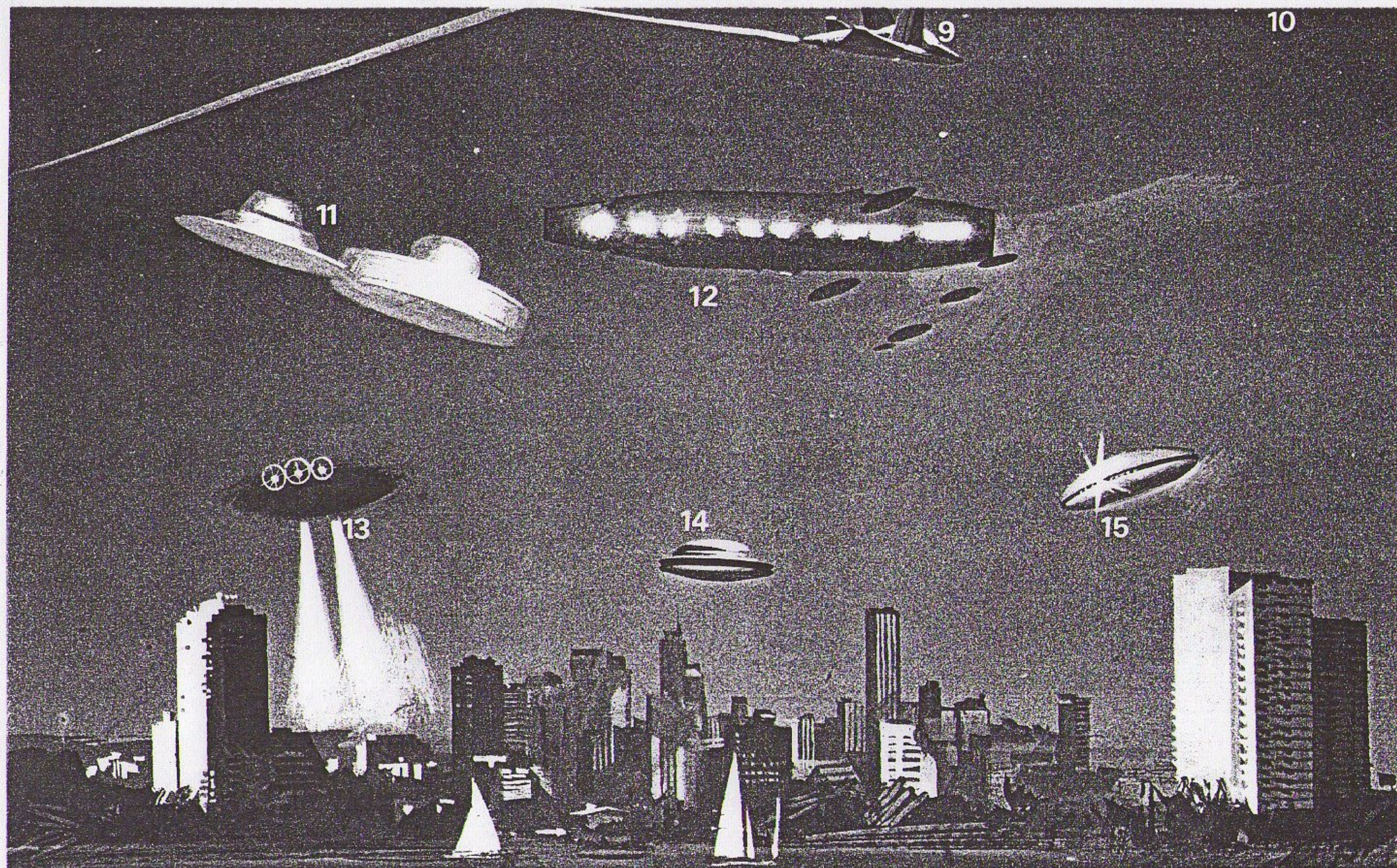
A sinistra la fotografia notturna di una specie di razzo dalle linee ottocentesche, sorpreso a spasso nei notturni cieli di Oakland, California, nel dicembre 1965. Le foto notturne sono anche le più sospette poiché i particolari dei trucchi sfumano nel nero o nel blu intenso, rendendo difficile un controllo. A quanto si sa nessuna fotografia sicuramente ed ufficialmente autentica di dischi è mai stata pubblicata. E' però probabile che tra pochi mesi gli Stati Uniti ne rendano pubblica qualcuna.

Nel prossimo numero

**I FALSARI DEI DISCHI**



2
3
4
5
1
6
16
8
7
10
9

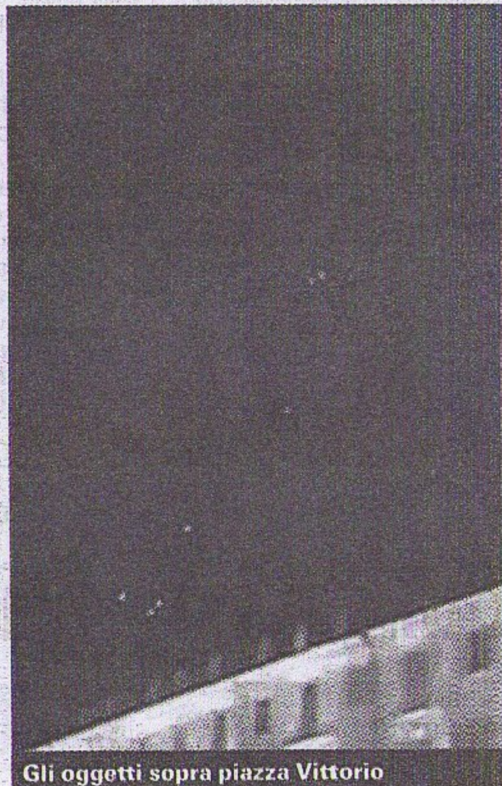



**IL "SALONE DEL DISCO" 1947-1967** - Nella tavola qui sopra sono stati raffigurati i « dischi » più singolari osservati un poco in tutto il mondo durante questi ultimi vent'anni. Il numero 1) è la « grande bronzina » vista in cielo da Kenneth Arnold nel 1947. 2) Una specie di luce rettangolare argentea, alle volte in sequenza, è stata osservata e fotografata in Giappone il 20 giugno 1957. 3) E' il popolarissimo « disco » di George Adamsky, che ha raccontato, anche, di esservi stato ospite per qualche giorno. 4) L'oggetto color rosso vivo a forma di manubrio ginnico è stato osservato dall'ingegner Luigi Nardi, costruttore d'aeroplani, a Milano il 17 settembre 1954. 5) E' una palla di fuoco osservata da Wally Rinaldi, a Modena, il 17 ottobre 1960. 6) Questo corpo spugnoso, ma dotato di luci, venne visto nell'Illinois il 15 settembre 1963. 7) Lampadina rovente e pulsante vista a Milano da Luigi Zanardi il 7 marzo 1962. 8) Il classico disco « inglese » del 1965 e 1966. 9) Il « disco squalo » osservato a Pescara il 27 aprile 1961. 10) E' il disco comparso sulle cascate del Niagara il 15 marzo 1964. 11) Due dischi visti nel 1962 a Melbourne, Australia. 12) Il « gran sigaro » di Clyde Tombaugh, visto il 20 agosto 1949. 13) Un'altra apparizione milanese, il 13 aprile 1962. 14) e 15) Due dischi avvistati nel gennaio 1965 in Francia. 16) Il disco a forma di trottola visto in Messico la settimana scorsa.

*(Disegno di Faganello)*

**IL CASO** Secondo maxi avvistamento in pochi giorni: centinaia di testimoni e altri video

# «Sette sfere su piazza Vittorio» A Torino ormai è psicosi-Ufo


Gli oggetti sopra piazza Vittorio

→ Pare proprio che Torino sia ormai diventata una delle mete preferite dai turisti dello spazio. Dopo le decine di avvistamenti di strane sfere giallo-arancioni sopra la collina il 2 maggio scorso, sabato sera è toccato al centro città. Altre sfere, viste da centinaia di persone intorno alla mezzanotte e poi ancora un'altra, questa volta da sola, due ore più tardi. E, naturalmente, non poteva mancare un filmato, fatto con un cellulare e prontamente pubblicato su youtube, nel quale si vedono sette oggetti, in apparente formazione ad arco, che sorvolano piazza Vittorio.
Numerose anche le testimonianze raccolte dai siti dedicati all'ufologia: «Anche io ero ai Murazzi - racconta Marco - quando ho visto molta gente con il naso all'insù, poco prima delle 2. Ho alzato lo sguardo e ho visto una luce molto intensa di colore arancione. Aveva un semplice moto ascendente. Ha continuato a salire per almeno 10 minuti fino a quando non si è allontanata troppo perchè fosse visibile all'occhio umano. Allontanandosi mi ha dato l'impressione che ogni tanto desse delle fiammate». «Ero in piazza Vittorio - racconta ancora Silvano - ho visto numerosi oggetti luminosi giallo-arancioni, con traiettoria ascendente, a mezzanotte. Poi uno singolo verso le 2 meno un quarto». Cosa poteva essere? Secondo l'ipotesi di alcuni dei testimoni, potrebbe trattarsi di alcune "mini-mongolfiere" rilasciate come trovata pubblicitaria da un locale notturno non meglio precisato. Queste luci, unite alla curiosità scatenata dall'ondata di avvistamenti del 2 maggio, avrebbero scatenato la fantasia dei tanti giovani che la scorsa notte affollavano le vie del centro.
E, mentre si cerca di capire se veramente le cose il 16 maggio sono andate così, ancora ci si interroga sul primo avvistamento, quello del 2 maggio. E spunta anche un secondo video, di qualità decisamente superiore rispetto a quello diffuso la scorsa settimana, delle misteriose sfere che per qualche minuto hanno "danzato" sopra la collina torinese. Un video - che potete vedere insieme agli altri anche sul sito di Cronacaqui - che di sicuro esclude la possibilità di altre "mini-mongolfiere", che non potrebbero muoversi in quella maniera, ma non quella dei fari di una discoteca riflessi dalle nuvole. E, mentre on-line sbucano altre testimonianze "singole" di avvistamenti l'8 e il 9 maggio, c'è addirittura chi monta un video che mette in collegamento gli avvistamenti di Torino con altri simili, avvenuti nelle ultime settimane, a Mosca e nel Maine. Il tutto mentre i filmati degli avvistamenti segnano decine di migliaia di visualizzazioni. Insomma, ormai è scoppiata l'ufomania.

**Claudio Neve**

MISTERO Cinque oggetti filmati dai testimoni. Dischi volanti o fari riflessi dalle nuvole?

# «Un gruppo di Ufo sulla città» Decine di avvistamenti in collina

Claudio Neve

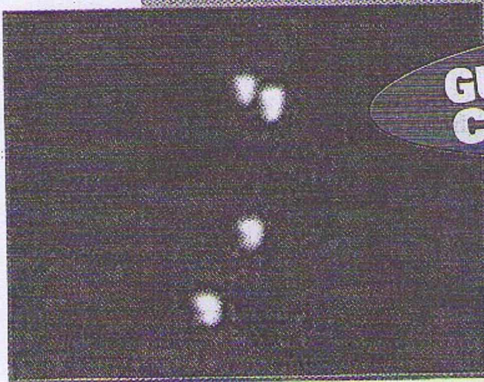
Sabato 2 maggio decine di torinesi si sono ritrovati con il naso all'insù e un'espressione stupita sul volto ad ammirare le straordinarie evoluzioni di cinque oggetti luminosi nei cieli della collina. Almeno uno di loro ha avuto la prontezza di spirito di afferrare il cellulare e girare un filmato che adesso sta facendo discutere il popolo di Internet. E il video degli "Ufo su Torino" sta facendo il giro del mondo.

Un avvistamento che, al contrario di quanto avviene solitamente in questi casi, ha una caratteristica ben precisa: i testimoni sono decine. E tutti sono concordi nel descrivere quello che hanno visto. «Erano circa le 23.15 del 2 maggio - racconta uno di loro - quando sono apparse delle strani luci di colore arancione che avevano un'intermittenza particolare e seguivano strane orbite. Mi sono fermato a guardare, con me c'erano almeno una ventina di persone. A volte gli oggetti sparivano per poi riapparire, e il tutto è durato per almeno 30 minuti». Un altro gruppo, di una decina di persone, si è fermato a guardare «una sola sfera che transitava in direzione sud proveniente da nord, all'inizio sembrava un normale aereo. A questa si sono aggiunte altre 4 sfere giallo/arancioni che seguivano la stessa direzione. Erano sparse, poi una si è messa da parte e le altre si sono messe quasi in fila, spesso si incrociavano e si scambiavano tra loro».

Le testimonianze, giunte numerose sui siti specializzati e al Cisu (Centro italiano studi ufologici) sono tutte simili tra loro. Gli oggetti erano cinque, di cui quattro in formazione, piuttosto lenti e dal moto irregolare e a tratti addirittura fermi (quindi niente aerei o meteore), di colore giallo-arancione. Come si può vedere dalle foto, cambiavano continuamente posizione. E non si sentiva nessun rumore, particolare che porta ad escludere la presenza di elicotteri. E quindi cos'erano? Due le ipotesi. La prima: «Potrebbe trattarsi - ipotizza Edoardo Russo del Cisu - di fari da discoteca "ad effetto laser" posizionati in collina e riflessi dalle nuvole». La seconda? La lasciamo alla voglia del lettore di credere che non siamo soli nell'universo...







GUARDA IL VIDEO SU CRONACAQUI.IT

**LUCI MISTERIOSE**

*Tre fotogrammi tratti dal filmato che si può vedere sul nostro sito. Come si può notare, quattro dei cinque oggetti si muovevano in gruppo, cambiando continuamente formazione*

CORRIERE DI MONCALIERI
MAGGIO 2009 - ANNO 21 - NUMERO 19

# e ufo sulla collina

## asci luminosi derivano da potenti fari laser

A TORINO (VIDEO)

in rete - cod.179455

temi in rete




Edoardo Russo, ufologo, e accanto un'immagine degli avvistamenti sulla collina

*lenziosa, che dopo pochi secondi è volata via velocemente. L'avvistamento stimo sia durato 8 secondi: la sfera era gialla, emetteva raggi, era più grande della luna piena, ma più vicina, più bassa delle nuvole».*

A giudicare dal numero di avvistamenti, così concentrati nel tempo e come area geografica (tra le colline di Moncalieri e Superga), verrebbe da pensare che le avanguardie spaziali stiano preparando uno sbarco in terra piemontese.

Ma a una maggior cautela invita Edoardo Russo, segretario regionale del Cisu: *«Le descrizioni sono abbastanza tipiche e sembrano coerenti con un fenomeno che spesso provoca osservazioni di falsi Ufo: il riflesso di fari da discoteca "a effetto laser" (usati anche in feste all'aperto), che si concretizza in un numero variabile di cerchi luminosi che si muovono in cielo in modo ritmico e sincronizzato. Per questa ragione stiamo verificando se tra le diverse manifestazioni di quel sabato sera, nei dintorni di Torino ce ne fossero con proiezioni luminose».*

Il Cisu quanti avvistamenti registra in un anno? *«Almeno un migliaio, e un centinaio di questi in Piemonte. Si valuta che almeno al 6% della popolazione, guardando in cielo, capiti di vedere "qualcosa di strano": anche se poi la "stranezza" quasi mai si rivela tale per l'esperto che la analizza».*

Infatti, il vostro compito è quello di identificare gli "oggetti volanti non identificati": a quali grandi famiglie appartengono? *«Nel 70% dei casi chi pensa di aver visto un Ufo in realtà ha visto un aeroplano, un meteorite, delle luci da discoteca o dei palloni meteorologici. Negli ultimi tempi, soprattutto in centro Italia, si stanno diffondendo palloncini volanti cinesi con una candelina all'interno, che sono anche pericolosi perché quando tornano a terra possono causare incendi».*

**Enrico Bassignana**




**AVVISTAMENTI**

Tre Ufo in volo sulla collina
Gli esperti: «Forse riflessi provocati da fari laser ➤ PAG. 6

CORRIERE
MARTEDÌ 19 MAGGIO 2009 - A

# Avvistati tre uf

## *Dubbi degli esperti: spesso i fasci lu*

**MONCALIERI** - Tre Ufo in volo nel cielo sulla collina moncalierese: sono stati osservati alle 21,30 di sabato 9 da un operaio trofarellese di 26 anni, che ha inoltrato la segnalazione al Cisu, il Centro italiano di studi ufologici. Ma gli esperti gettano acqua sul fuoco: gli avvistamenti potrebbero essere semplicemente provocati dai riflessi di fari laser, del tipo usato nelle feste o nelle discoteche.

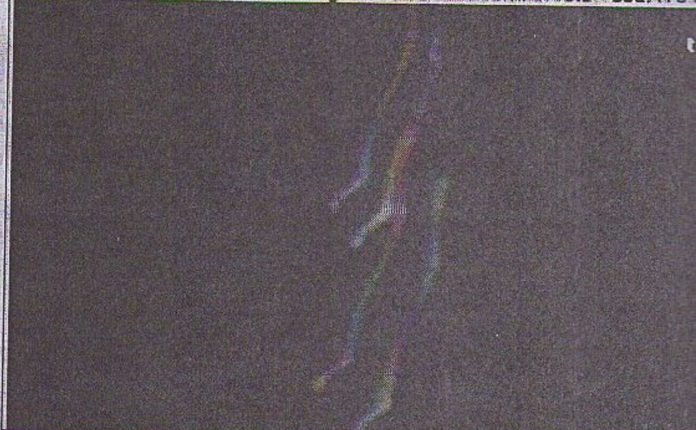
Questo il racconto dell'uomo, che compilando il resoconto di avvistamento sul sito internet del Cisu (all'indirizzo www.cisu.org) ha affermato di chiamarsi Marco: *«Io e due amici eravamo in macchina e abbiamo notato, andando avanti, due sfere arancioni nel cielo, che poi sono diventate tre (probabilmente perchè l'occhio si è poi abituato allo scuro). Queste tre sfere si muovevano piano, erano disposte a triangolo, volavano basse, mi pare più basse ad occhio e croce, degli aerei. Ricordo solo che poi riprendendo a guidare le abbiamo viste sparire nelle nuvole. Luna piena».*

L'avvistamento, in totale, è durato una decina di minuti: le luci si sono mantenute sulla collina sopra Moncalieri, a una quota all'apparenza più bassa rispetto a quella degli aeroplani.

Il Cisu aveva ricevuto notizia di un avvistamento il giorno precedente, venerdì 8, da parte di una anonima impiegata trentottenne di Nichelino, che riferiva di fatti che si erano verificati il 5 maggio.

Le testimonianze, per quella data, sono numerose e addirittura c'è un video girato col telefonino, in cui si vedono le evoluzioni nel cielo notturno di quattro sfere luminose.

Ma l'avvistamento della donna nichelinese è di natura differente: *«Alle 18,30, in pieno centro abitato, ho visto una sfera luminosissima roteante, silenziosa, che do*[...] *di è volata vi*[...] L'avvistamento [...] *rato 8 secondi:* [...]



il Giornale
Martedì 21 luglio 2009

la Valle d'Aosta (nella foto, Alberto Contador).

## Mystère

(21.10 CANALE5)



Quinta puntata della serie francese in prima tv, dedicata al paranormale e al mistero, incentrata sui cerchi nel grano (foto).

## Eli Stone

(21.10 ITALIAUNO)

